

Załuska:
Nie tylko umiędzynarodowienie

Matera:
Musimy ze sobą rozmawiać

Zabielski i in.:
Deklaracja Sztokholmska

FORUM

AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 10/2025

PL ISSN 1233-0930 22 zł (VAT 8%)

Polska bez polonistyki?



Kłodkowski:
Azja zdominuje świat?

Ślęczka, Weintrit, Węstawski:
Akademicka flotylla

Barwiótek i in.:
Kobiety – nowe przywództwo



Politechnika Wroclawska



POLITECHNIKA
WROCLAWSKA
1945-2025

lemprize.pwr.edu.pl



Prof. **Li Tang**

z École Polytechnique Fédérale
de Lausanne (EPFL)

**laureatem
Europejskiej
Nagrody Naukowej
im. Stanisława Lema
za rok 2025**

Doceniony za
„Zmianę paradygmatu w immunoterapii
nowotworów: wykorzystanie
oporności typu drugiego do
opracowania łatwo dostępnej terapii”

**Naukowiec i jego zespół dokonali
przełomowego odkrycia związanego
z działaniem układu odpornościowego
w walce z nowotworami**

Lem Prize ufundowana dla upamiętnienia 100. rocznicy urodzin wybitnego polskiego pisarza i wizjonera Stanisława Lema, doktora honoris causa Politechniki Wrocławskiej z 1981 r. Nagroda jest adresowana do młodych naukowców poniżej 40. roku życia. Przyznaje ją międzynarodowa kapituła, której przewodniczy prof. Maciej Lewenstein z Instytutu Fotoniki w Barcelonie (ICFO).

Partnerzy nagrody:



INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Uczelnia w czasach chaosu – Andrzej K. Koźmiński	6
UW najsilniejszą marką, „FA” w TOP5 mediów	7
Doskonałość naukowa a niedofinansowanie nauki	8
Reforma publikowania naukowego: Deklaracja Sztokholmska – Adam Liebert i in.	11
Cyfrowa przyszłość szkolnictwa wyższego	12
Uniwersytet w mieście	14
Czytanie obniża stres	16
Brawo AZS Kraków! – Robert Zakrzewski	17
W obliczu rosnącej niepewności – Marian Gorynia	18
Rockowe, studenckie – Akademickie Radio Centrum	19
Samorządowcy z ANSów	38
Skrzydlate świnie – Marek Kosmułski	80
Sukces naszego grafika	80

ROZMOWA FORUM

Patrzmy w przyszłość – rozmowa z prof. dr. hab. Wojciechem Załuską, rektorem UM w Lublinie, przewodniczącym KRAUM	20
---	----

CO Z TĄ POLONISTYKĄ?

Polonistyka: jak to możliwe, że nie? – Piotr Kieraciński	24
Nie-szyfowe prace, czyli o zniszczeniu polonistyki – Tomasz Mizerkiewicz	27
Polonistyka bez polonistyki – Dariusz Skórczewski	30
Co poszło nie tak? – Andrzej Skrendo	33
Deklaracja: polonistyka 100% – Dariusz Rott	35

ŻYCIE AKADEMICKIE

Blisko ludzi – rozmowa z prof. dr. hab. Rafałem Materą, rektorem Uniwersytetu Łódzkiego	36
Rektorki piszą nowy rozdział akademii – Magdalena Barwiołek i in.	39
Akademickie starzenie się – Zbigniew Drozdowicz	44

Malarstwo w architekturze – rozmowa z prof. Markiem Jakuszewskim, dzianem Wydziału Malarstwa i Rysunku UA w Poznaniu	47
--	----

Z LABORATORIÓW

„Azjatycka Wielka Gra” – Piotr Kłodkowski	52
Akademicka flotyła – Piotr Kieraciński	58
Szkolenia i reprezentacja – Adam Weintrit	59
Nowy statek dla całego środowiska naukowego – Wojciech Ślęczka	60
Pieniądże na statki badawcze i szkoleniowe	61
Wyjźmy w morze na poważnie – Jan Marcin Węslawski	62
Oceanografem kołysz się słabiej – Piotr Kieraciński	64

W STRONĘ HISTORII

Zygmunt Atanazy Mokrzecki (1865–1936) – Lubow Żwanko, Dmytro Kibkało	65
---	----

Portrety nauki polskiej

Non est necesse vivere – necesse est philosophari – Marcelina Smużewska	70
--	----

OKOLICE NAUKI

Biurokrasfera – Grzegorz Bartosz	75
Książki	
Skąd nasz ród? – Jacek Hnidiuk	77
Ludzie w drodze – Tomasz Klusek	77
Nieoczywisty „sarmatyzm” – Marcin Lutomiński	78
Prawda leży tam, gdzie leży – Anna Jawor	78
Między faktem a fikcją – Weronika Zuzanna Jabłońska	79
Sztuka dominikanów, ciąg dalszy... – Juliusz Gałkowski	79
Projekt okładki – Sławomir Makal	



Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Rok XXXII Nr 10 (383) Październik 2025

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasza Żana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, <http://www.forumakademickie.pl>. **Rada Patronacka:** prof. dr hab. Wiesław Baniś, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Elias, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr hab. inż. Jan Szmidt, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. **Redaguje zespół:** Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieraciński@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). **Stała współpraca:** Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Sławomir Makal (grafika), Marek Wroniński (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. **Promocja, kolportaż, konferencje:** reklama@forumakademickie.pl, Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). **Wydawca:** Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasza Żana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. **Druk:** Drukarnia „Akapit” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Informacje dla autorów: <https://forumakademickie.pl/dla-autorow/>. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. **Prenumerata:** Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

Nowa era krakowskiej stomatologii

KRAKÓW Pierwsze w Polsce symulatory stomatologiczne oparte na technologii haptycznej wirtualnej rzeczywistości trafiły do nowoczesnej sali symulacyjnej, którą otwarto na Uniwersytecie Jagiellońskim Collegium Medicum. Nowe narzędzie pozwoli przyszłym dentystom na bezpieczny i realistyczny trening zabiegów stomatologicznych – od leczenia zachowawczego po zabiegi chirurgiczne. Symulator VR stanowi pomost pomiędzy tradycyjnym treningiem na fantomach a praktyką kliniczną. Umożliwia studentom doskonalenie precyzyjnych umiejętności manualnych, widzenia pośredniego i pracy w różnych dziedzinach stomatologii – od kariologii i protetyki, po endodoncję i chirurgię. Dzięki technologii haptycznej ćwiczący czują różnicę w strukturze materiałów, co odzwierciedla rzeczywiste warunki pracy w gabinecie stomatologicznym. System pozwala także instruktorom na ocenę pracy studentów w dowolnym momencie przy użyciu zdalnego dostępu, a dane o przebiegu nauki i wynikach przechowywane są na centralnym serwerze. Zastosowanie VR oznacza również znaczne oszczędności, eliminuje konieczność używania jednorazowych materiałów czy utylizacji zębów poekstrakcyjnych. Otwarcie sali symulacyjnej zbiega się z jubileuszem 225-lecia nauczania stomatologii na UJ.



Fot. Anna Wojnar

W Warszawie międzynarodowe przedsięwzięcie badawcze Human RNome Project ma za zadanie ustalić sekwencje wszystkich cząsteczek RNA w komórkach ludzkich oraz zmapować modyfikacje chemiczne występujące naturalnie w RNA. Powstaną także bazy danych udostępniające te informacje naukowcom na całym świecie. Opracowanie szczegółowej mapy sekwencji ludzkiego RNA i jego modyfikacji może stanowić krok milowy na miarę zsekwencjonowania genomu ludzkiego w latach 1990–2003. Uzyskane wyniki umożliwią pełniejsze poznanie funkcjonowania cząsteczek RNA, co zrewolucjonizuje nasze rozumienie biologii RNA. Przyspieszy to także przełomowe odkrycia w biotechnologii, medycynie i zrównoważonym rolnictwie, a nawet w technologiach przyszłości, jak przechowywanie danych z użyciem RNA. Wśród inicjatorów i aktywnych uczestników przedsięwzięcia znajduje się zespół prof. Janusza Bujnickiego z Laboratorium Bioinformatyki i Inżynierii Białka w Międzynarodowym Instytucie Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie. Grupa odgrywa kluczową rolę w projekcie za sprawą autorskiej bazy

Znamy już DNA, czas na RNA

WARSAWA Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego podsumowało ostatnią rekrutację na studia. Łącznie na I rok studiów pierwszego stopnia i jednolitych studiów magisterskich w uczelniach nadzorowanych przez ministra nauki i szkolnictwa wyższego zostało przyjętych 450 715 osób. W tym gronie 335 368 młodych ludzi rozpoczęło studia pierwszego stopnia i jednolite studia magisterskie. Na drugim stopniu kształcenie podjęło 115 347 osób. Studia w uczelniach publicznych rozpoczęło 309 927 osób, w tym 81 158 studia II stopnia. W trybie stacjonarnym będzie się kształciło 245 431 studentów, w tym 57 663 na studiach II stopnia.



Fot. Arch. p/walne

danych MODOMICS – najbardziej kompleksowego na świecie zbioru informacji dotyczących modyfikacji RNA. Rozwijana od ponad 20 lat baza danych jest jednym z najważniejszych narzędzi międzynarodowego konsorcjum badaczy zaangażowanych w badania nad modyfikacjami RNA oraz dla konsorcjum Human RNome Project. Badacze z Warszawy w ramach projektu będą współpracować między innymi z ośrodkami w Stanach Zjednoczonych, Niemczech, Francji, Włoszech, Japonii i Singapurze. W ciągu ostatniego roku to międzynarodowe konsorcjum rozrosło się z kilkunastu do ponad 100 członków z ponad 20 krajów.

Polska „czwórka” CESAER

WROCŁAW Politechnika Wrocławska, jako czwarta polska uczelnia, dołącza do sieci CESAER. To organizacja kształtująca politykę i regulacje w obszarze nauki na poziomie europejskim. CESAER (Conference of European Schools for Advanced Engineering Education and Research) skupia obecnie 54 czołowe uczelnie techniczne z 25 krajów Europy i spoza niej. Od momentu powstania w 1990 roku organizacja działa jako wspólny głos uniwersytetów nauki i technologii, uczestnicząc w kreowaniu Europejskiej Przestrzeni Badawczej (ERA), Europejskiej Przestrzeni Edukacyjnej (EEA) oraz Europejskiej Strategii dla Uniwersytetów. Na ostatnim, corocznym zjeździe CESAER, który odbył się w Brnie, podjęto decyzję o włączeniu do sieci Politechniki Wrocławskiej. Pełnoprawnym członkiem wspólnoty uczelnia z Dolnego Śląska stanie się 1 stycznia 2026 roku. Zyska wówczas możliwość aktywnego współtworzenia europejskiej polityki naukowej, edukacyjnej i innowacyjnej. Przedstawiciele PWR będą mogli brać udział w grupach tematycznych dotyczących zrównoważonego rozwoju, innowacji i transferu technologii, a także współtworzyć rekomendacje dla instytucji Unii Europejskiej. Z Polski do CESAER należą obecnie: Politechnika Gdańska, Politechnika Poznańska i Politechnika Warszawska.

Otwarta droga do nowego źródła energii

SZCZECIN Przełomowe wyniki badań nad tzw. zimną fuzją jądrową uzyskali naukowcy z Uniwersytetu Szczecińskiego. Zespół kierowany przez prof. Konrada Czerskiego zidentyfikował nowy, wysoko wzbudzony stan rezonansowy w jądrze helu-4, który prowadzi do znaczącego wzrostu prawdopodobieństwa zajścia fuzji deuteronów w temperaturze pokojowej. Odkrycie jest efektem wieloletnich eksperymentów prowadzonych w Centrum Fizyki Eksperymentalnej eLBRUS USZ. Wyposażone jest ono w unikalny w skali światowej akcelerator z ultrawysoką prędkością. Naukowcy po raz pierwszy zarejestrowali promieniowanie anihilacyjne i promieniowanie hamowania pochodzące z rozpadu nowego, wąskiego poziomu rezonansowego w jądrze helu-4 o energii wzbudzenia 23,8 MeV. Stan ten powstaje w reakcji deuteron-deuteron i rozpada się głównie przez tworzenie pary elektron-pozyton. Wcześniej jego istnienie przewidziano jedynie teoretycznie, a obecne eksperymenty po raz pierwszy potwierdziły te przypuszczenia doświadczalnie. Odkrycie otwiera nowe perspektywy badawcze nad tworzeniem pierwiastków chemicznych we wszechświecie oraz wykorzystaniem tzw. zimnej fuzji jądrowej do opracowania wydajnego, taniego, czystego i bezpiecznego źródła energii – podkreśla prof. Czerski. Jest to alternatywa dla reakcji termojądrowych, które mogą być wykorzystane tylko w bardzo dużych urządzeniach, takich jak tokomaki czy stelleratory, gdzie plazma jest utrzymywana przy bardzo wysokich temperaturach powyżej 100 mln stopni.

Psychologia najpopularniejsza

WARSAWA Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego podsumowało ostatnią rekrutację na studia. Łącznie na I rok studiów pierwszego stopnia i jednolitych studiów magisterskich w uczelniach nadzorowanych przez ministra nauki i szkolnictwa wyższego zostało przyjętych 450 715 osób. W tym gronie 335 368 młodych ludzi rozpoczęło studia pierwszego stopnia i jednolite studia magisterskie. Na drugim stopniu kształcenie podjęło 115 347 osób. Studia w uczelniach publicznych rozpoczęło 309 927 osób, w tym 81 158 studia II stopnia. W trybie stacjonarnym będzie się kształciło 245 431 studentów, w tym 57 663 na studiach II stopnia.

Do uczelni niepublicznych (w tym KUL) przyjęto 140 788 kandydatów, wśród nich 34 189 na studia II stopnia. Prawie 39,9 tys. będzie się uczyło w trybie stacjonarnym, w tym 4,6 tys. na studiach II stopnia. Najpopularniejsze kierunki studiów według ogólnej liczby zgłoszeń kandydatów to: psychologia (43 562), kierunek lekarski (30 597 – z wyłączeniem danych z uczelni nadzorowanych przez ministra zdrowia) i zarządzanie (27 368). Uwzględniając liczbę kandydatów na jedno miejsce, najbardziej obleganym kierunkiem była orientalistyka – japonistyka (22,2). Biorąc pod uwagę ogólną liczbę kandydatów, najwięcej zgłoszeń odnotowały: spośród uniwersytetów – Uniwersytet Warszawski (48 749), spośród uczelni technicznych – Politechnika Warszawska (33 363), spośród uczelni ekonomicznych – Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie (15 102), spośród uczelni zawodowych – Akademia Tarnowska (2826). Najchętniej wybierana uczelnia niepubliczna to SWPS Uniwersytet Humanistyczno-społeczny z siedzibą w Warszawie (5965).

Polska chce przyciągnąć najlepszych

WARSZAWA Narodowa Agencja Wymiany Akademickiej uruchomiła nowy program – TOP200 im. Weigla. To inicjatywa, która ma przyciągnąć do Polski uczonych z najlepszych ośrodków naukowych świata. Budżet pilotażowego naboru wynosi ok. 20 mln złotych. Wnioski można zgłaszać do 27 lutego 2026 roku. Program ma na celu wzmocnienie potencjału badawczego polskich instytucji naukowych oraz stworzenie w Polsce optymalnych warunków do rozwoju międzynarodowych karier badawczych. Dzięki nowej inicjatywie możliwe będzie zatrudnienie zagranicznych naukowców na okres od dwóch do czterech lat z możliwością utworzenia przez nich własnych grup projektowych i prowadzenia badań o kluczowym znaczeniu dla nauki i gospodarki. Program obejmuje dwie ścieżki – Junior Fellow i Senior Fellow – dostosowane do etapu kariery naukowca. Do programu mogą dołączyć badacze z obywatelstwem innym niż polskie, mający doświadczenie naukowe zdobyte w czołowych ośrodkach znajdujących się w pierwszej dwusetce światowych rankingów: Academic Ranking of World Universities, QS World University Rankings i Times Higher Education World University Rankings. Beneficjenci będą mogli prowadzić badania w Polsce, zakładać własne zespoły projektowe oraz aplikować o krajowe i międzynarodowe granty badawcze. Program zapewni finansowanie wynagrodzeń dla kierownika projektu, członków grupy projektowej oraz tzw. osoby zapraszającej – naukowca z instytucji goszczącej, który wspiera przyjeżdżającego badacza w rozpoczęciu pracy i integracji z zespołem. Wyniki zostaną ogłoszone do końca lipca 2026 r.



Wnioski można zgłaszać do 27 lutego 2026 roku. Program ma na celu wzmocnienie potencjału badawczego polskich instytucji naukowych oraz stworzenie w Polsce optymalnych warunków do rozwoju międzynarodowych karier badawczych. Dzięki nowej inicjatywie możliwe będzie zatrudnienie zagranicznych naukowców na okres od dwóch do czterech lat z możliwością utworzenia przez nich własnych grup projektowych i prowadzenia badań o kluczowym znaczeniu dla nauki i gospodarki. Program obejmuje dwie ścieżki – Junior Fellow i Senior Fellow – dostosowane do etapu kariery naukowca. Do programu mogą dołączyć badacze z obywatelstwem innym niż polskie, mający doświadczenie naukowe zdobyte w czołowych ośrodkach znajdujących się w pierwszej dwusetce światowych rankingów: Academic Ranking of World Universities, QS World University Rankings i Times Higher Education World University Rankings. Beneficjenci będą mogli prowadzić badania w Polsce, zakładać własne zespoły projektowe oraz aplikować o krajowe i międzynarodowe granty badawcze. Program zapewni finansowanie wynagrodzeń dla kierownika projektu, członków grupy projektowej oraz tzw. osoby zapraszającej – naukowca z instytucji goszczącej, który wspiera przyjeżdżającego badacza w rozpoczęciu pracy i integracji z zespołem. Wyniki zostaną ogłoszone do końca lipca 2026 r.

Pangenom owsa rozszyfrowany

LUBLIN Międzynarodowe konsorcjum z udziałem badaczy z Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie opracowało pangenom owsa. Idea sekwencjonowania wielu genotypów reprezentujących różne gatunki



z rodzaju Avena zrodziła się w instytucie IPK Leibniza w Gatersleben w Niemczech w 2017 roku. Początkowy plan sekwencjonowania egzomu przekształcono wówczas w plan utworzenia pangenomu. Stworzono konsorcjum PanOat, w skład którego weszło 17 jednostek naukowych. Zespół pod kierownictwem dr. Martina Maschera opracował pangenom owsa w oparciu o sekwencje genomów 33 genotypów oraz pantranskryptom w oparciu o analizę 23 linii. Z kolei zespół kierowany przez dr. Nicka Tinkera zbadał pochodzenie heksaploidnego owsa w oparciu o analizę 9 tys. genotypów z całego świata. Polskim wkładem jest zsekwencjonowanie genomu i transkryptomu krajowej odmiany Bingo wyhodowanej w Hodowli Roślin Strzelce. To przełom w badaniach nad tym gatunkiem, którego struktura genetyczna była do tej pory trudna do zrozumienia.

Wręczono Zachodniopomorskie Noble

SZCZECIN Najbardziej prestiżową nagrodę naukową na Pomorzu Zachodnim przyznano ośmiorgu laureatom. W dziedzinie nauk humanistycznych laureatką została dr Aleksandra Grzemska z Uniwersytetu Szczecińskiego.



W dziedzinie nauk podstawowych: dr hab. inż. Xuecheng Chen z Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie. W dziedzinie nauk technicznych nagrodzono dwie osoby z ZUT: dr hab. inż. Marcina Wardacha i dr. hab. inż. Adama Zielińskiego. W dziedzinie nauk ekonomicznych nagroda trafiła do dr. Wojciecha Lewickiego z ZUT. W dziedzinie nauk rolniczych laureatem został prof. Mariusz Szymczak z ZUT. W dziedzinie nauk medycznych: dr hab. Dorota Kostrzewa-Nowak z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego. W dziedzinie nauk o morzu: dr hab. Paweł Terefenko z Uniwersytetu Szczecińskiego.

Nowy skład Rady NAWA

WARSZAWA Prof. Agnieszka Chłoń-Domińczak, prorektorka ds. nauki oraz dyrektorka Instytutu Statystyki i Demografii Szkoły Głównej Handlowej, została nową przewodniczącą Rady Narodowej Agencji



Wymiany Akademickiej. W kadencji 2025–2029 jej zastępcą będzie dr hab. Łukasz Zamęcki z Uniwersytetu Warszawskiego. W skład nowej rady weszli także: dr hab. Maria Winclawska, politolożka z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu; prof. Katarzyna Byrka, psycholożka społeczna z Uniwersytetu SWPS; Justyna Chrzanowska, dyrektorka Departamentu Konsularnego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych; dr hab. Marek A. Dąbrowski, ekonomista z Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie; dr n. med. i n. o zdr. Joanna Smolarczyk ze Śląskiego Uniwersy-

tetu Medycznego w Katowicach; Wojciech Tomaszewicz z Parlamentu Studentów RP. Rada jest najważniejszym organem opiniodawczo-doradczym NAWA, kluczowym dla wyznaczania strategicznych kierunków rozwoju internacjonalizacji polskiej nauki oraz wspierania międzynarodowej wymiany akademickiej.

Zawarto Wrocławski Sojusz Badawczy

WROCŁAW Rozwój badań podstawowych i interdyscyplinarnych, kształcenie doktorantów i wspieranie młodych naukowców – to główne cele Wrocławskiego Sojuszu Badawczego im. Maxa Borna. Został zawiązany



Fot. PWR

przed trzy instytucje ze stolicy Dolnego Śląska: Politechnikę Wrocławską, Instytut Immunologii i Terapii Doświadczalnej PAN oraz Instytut Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych PAN. – Razem będziemy prowadzić badania w obszarach matematyki, fizyki, chemii i medycyny. Nie chodzi jedynie o wspólne publikacje czy pozyskiwanie grantów, lecz przede wszystkim o wsparcie młodych naukowców i doktorantów, którzy dzięki umowie będą mogli korzystać z potencjału wszystkich trzech instytucji. To szansa na szybszy rozwój ich karier – zapowiada prof. Arkadiusz Wójs, rektor PWR. W planach jest m.in. stworzenie międzyinstytucjonalnych zespołów badawczych, w szczególności interdyscyplinarnych oraz z udziałem młodych badaczy, ułatwienie wzajemnego dostępu do zasobów badawczych, wspieranie się w kształceniu i rozwoju naukowym doktorantów, współpracę na rzecz rozwoju kadry naukowej oraz wspólną organizację imprez naukowych i popularyzujących naukę.

Najmłodszy profesor z medalem

WARSZAWA Prof. Mateusz Hołda z Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego – Collegium Medicum otrzymał Medal Młodego Uczniogo. Wyróżnienie przyznawane jest przez Politechnikę Warszawską za



Fot. PWR

wybitne i uznane osiągnięcia w dziedzinie nauki i innowacji technicznej oraz inne wybitne osiągnięcia twórcze. Nadawany jest osobom, które nie przekroczyły 35 roku życia. Hołda to pierwszy polski naukowiec, któremu przyznano tytuł profesora przed ukończeniem 30 roku życia. W 2017 roku zakończył przewód doktorski, będąc studentem VI roku kierunku lekarskiego. Był to wówczas pierwszy taki przypadek w Polsce, kiedy stu-

dent przed ukończeniem studiów magisterskich otrzymał stopień doktora nauk medycznych. Od lat związany jest z Katedrą Anatomii UJ CM, przy której w 2013 roku założył międzynarodowy zespół naukowy HEART, będący obecnie jednym ze światowych liderów w obszarze swoich zainteresowań badawczych. Zajmuje się architekturą ludzkiego układu sercowo-naczyniowego na każdym z jego poziomów: od molekularnego, przez mikroskopowy i makroskopowy na badaniach obrazowych kończąc.

Dyrektor NCN w zarządzie Science Europe

OSLO Prof. Krzysztof Józwiak, dyrektor Narodowego Centrum Nauki, wszedł w skład zarządu Science Europe na kadencję 2025–2027. Organizacja powstała w październiku 2011 r. Skupia obecnie 40 instytucji z 30 krajów. To czołowi europejscy gracze w zakresie publicznego finansowania badań naukowych. W sumie wydają na ten cel ponad 25 miliardów euro rocznie. Science Europe reprezentuje agencje finansujące badania naukowe i instytucje badawcze w dialogu z instytucjami unijnymi, przygotowuje rekomendacje dotyczące polityki badawczej oraz wzmacnia współpracę międzynarodową i standardy finansowania badań. Narodowe Centrum Nauki jest członkiem organizacji od 2012 roku. Prof. Józwiak stoi na czele agencji od 2023 roku (wcześniej, w latach 2012–2020, był członkiem Rady NCN). Jest związany z Wydziałem Farmacji Uniwersytetu Medycznego w Lublinie. Prowadzi badania z zakresu farmakologii molekularnej i chemii leków substancji działających na receptory błonowe o potencjalnym zastosowaniu w leczeniu chorób neurodegeneracyjnych i cywilizacyjnych. Przewodniczącą Science Europe została Mari Sundli Tveit z Research Council of Norway. Będzie to jej druga kadencja na tym stanowisku.



Zdjęcie: NCN

PAN przyzna 400 tys. zł za wybitne osiągnięcia

WARSZAWA Na ostatnim posiedzeniu Prezydium Polskiej Akademii Nauk podjęto uchwałę o ustanowieniu prestiżowej nagrody za osiągnięcia naukowe o potencjale międzynarodowym, powstała w oparciu o badania prowadzone w Polsce. Będzie przyznawana raz w roku, a jej wartość wynosi 400 tys. zł. Jej celem ma być wzmocnienie pozycji polskich zespołów badawczych w globalnym obiegu nauki oraz podkreślenie roli doskonałości naukowej. Nagroda będzie przyznawana w drodze konkursu. Nagradzane badania powinny się charakteryzować potencjałem dalszego rozwoju oraz perspektywą zdobycia najbardziej prestiżowych wyróżnień naukowych na świecie. Pod uwagę będą brane osiągnięcia w zakresie dyscyplin nauk reprezentowanych przez wydziały PAN. Nagrodę przyzna Prezydium PAN na podstawie rekomendacji Kapituły, w skład której wejdą po dwie osoby spośród członków każdego wydziału, wskazane przez wiceprezesa nadzorującego prace danego wydziału. Nagroda trafi w ręce jednego badacza lub badaczki, ale uhonorowany może być też zespół, przy czym nie większy niż trzyosobowy. W przypadku zespołu nagroda pieniężna będzie podzielona równo pomiędzy wszystkich jego członków. Nagroda PAN przebijie wartością dotychczasowe wyróżnienia przyznawane w naszym kraju: Nagrodę Fundacji na rzecz Nauki Polskiej o wartości 250 tys. zł, Nagrodę Heisiga (200 tys. zł), Nagrodę Lema (100 tys. zł) czy Nagrodę Narodowego Centrum Nauki (50 tys. zł).

Aż 8 stypendiów L'Oréal

WARSZAWA Nie sześć, jak dotąd, ale osiem polskich badaczek zostało nagrodzonych podczas jubileuszowej 25. gali programu L'Oréal-UNESCO Dla Kobiet i Nauki, która odbyła się w Muzeum Historii Polski. Wybrano



Fot. L'Oréal

je spośród rekordowej liczby 389 zgłoszeń. W kategorii magisterskiej (25 tys. zł) doceniono mgr inż. **Barbarę Fabjanowicz** z Wydziału Chemii Uniwersytetu Warszawskiego i Instytutu Chemii Organicznej Polskiej Akademii Nauk. W kategorii doktoranckiej (35 tys. zł) beneficjentkami zostały: mgr inż. **Aneta Magiera** z Warszawskiej Szkoły Doktorskiej Nauk Ścisłych i BioMedycznych Instytutu Chemii Fizycznej Polskiej Akademii Nauk; lek. **Zuzanna Nowicka-Kaszkowiak** z Zakładu Biostatystyki i Medycyny Translacyjnej Uniwersytetu Medycznego w Łodzi; mgr inż. **Aleksandra Rudzka** z Katedry Biotechnologii Środków Leczniczych i Kosmetyków Wydziału Chemicznego Politechniki Warszawskiej. W kategorii habilitacyjnej (40 tys. zł): dr inż. **Anna Jarzab** z Instytutu Immunologii i Terapii Doświadczalnej im. Ludwika Hirszfelda Polskiej Akademii Nauk; dr **Katarzyna Majzner** z Wydziału Chemii Uniwersytetu Jagiellońskiego; dr **Aleksandra Milewska** z Małopolskiego Centrum Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego; dr **Lidia Wróbel** z Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie. W Polsce, łącznie z tegoroczną edycją, stypendiami L'Oréal wyróżniono już 137 badaczek.

Nowa prezydent eCAADe

ŁÓDŹ Dr hab. inż. arch. Anetta Kępczyńska-Walczak, jedna z najbardziej rozpoznawalnych polskich ekspertek w dziedzinie technologii cyfrowych w architekturze, została wybrana na prezydenta Education and Research in Computer Aided Architectural Design in Europe (eCAADe). To najważniejsza europejska organizacja naukowa zajmująca się technologiami cyfrowymi w architekturze, urbanistyce i budownictwie. Jej misją jest promowanie dobrych praktyk i wymiana informacji na temat wykorzystania technologii cyfrowych w badaniach i edu-



Fot. Arch. prywatne

kacji w architekturze i zawodach pokrewnych. Organizacja została założona w 1983 roku i od ponad 40 lat wyznacza trendy i integruje środowisko specjalistów podczas corocznych konferencji naukowych. Nowa prezydent kieruje Zakładem Technologii Cyfrowych w Architekturze i Urbanistyce Instytutu Architektury i Urbanistyki Politechniki Łódzkiej. W orbicie jej zainteresowań naukowych znajdują się technologie cyfrowe w architekturze i urbanistyce, dziedzictwo kulturowe, rewitalizacja, zrównoważony rozwój. Jest jedyną przedstawicielką Polski w Radzie New European Bauhaus Academy Pioneer Hub for Sustainable Built Environments.

PAU przyznała Nagrody im. Kopernika

KRAKÓW Polska Akademia Umiejętności przyznała Nagrody Naukowe im. Mikołaja Kopernika. Wręczane są co pięć lat uczynom, którzy są autorami prac wyróżniających się szczególnie wysoką wartością naukową. W dziedzinie astronomii: dr **Przemysław Mróz** z Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Warszawskiego za pracę zatytułowaną *Badania ciemnej materii we wszechświecie*. W dziedzinie ekonomii: prof. **Mateusz Machaj** z Zakładu Ogólnej Teorii Ekonomii na Wydziale Prawa, Administracji i Ekonomii Uniwersytetu Wrocławskiego za pracę *Monetary Policy and Inflation. Quantity Theory of Money*. W dziedzinie filologii klasycznej: dr hab. **Karol Zieliński** z Centrum Interdyscyplinarnych Badań Relacji między Kulturą Oralną i Piśmienniczą na Wydziale Neofilologii Uniwersytetu Wrocławskiego za monografię *The Iliad and the Oral Epic Tradition*. W dziedzinie matematyki: prof. **Mariusz Mirek** z Zakładu Analizy Funkcjonalnej na Wydziale Matematyki i Informatyki Uniwersytetu Wrocławskiego za wybitny wkład w rozwój współczesnej matematyki, ze szczególnym uwzględnieniem przełomowych wyników dotyczących hipotezy Furstenberga-Bergelsona-Leibmana w zakresie zbiorczych punktowej niekonwencjonalnych średnich ergodycznych. W dziedzinie filozofii przyrody: dr hab. **Paweł Polak** z Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie za cykl prac o historii krakowskiej filozofii przyrody („filozofii w nauce”) w XIX i XX wieku. W dziedzinie kosmologii i astrofizyki: prof. **Ewa Szuszkiewicz** z Instytutu Fizyki Uniwersytetu Szczecińskiego za niezwykle istotny wkład w międzynarodowe badania nad dynamiką pozasłonecznych układów planetarnych oraz przygotowanie eksperymentu z astrobiologii, jednego z 13 prowadzonych na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej przez dr. Sławosza Uznańskiego. W dziedzinie medycyny: prof. dr hab. n. med. **Marcin Magierowski** z Ośrodka Biomedycyny i Nauk Interdyscyplinarnych na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego – Collegium Medicum za cykl prac *Interdyscyplinarne podejścia farmakologiczne i nowe mechanizmy molekularne w patogenezie schorzeń przewodu pokarmowego* oraz zespół w składzie dr hab. **Magdalena Zielińska**, dr **Mariusz Popek** i dr **Karolina Orzeł-Gajowik** z Zakładu Neurotoksykologii Instytutu Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej im. M. Mossakowskiego PAN za cykl publikacji na temat identyfikacji mechanizmów odpowiedzialnych za udział komórek nienerwowych mózgu w patogenezie ostrej encefalopatii wątrobowej. W dziedzinie nauk o Ziemi: dr hab. **Edyta Łokas** z Zakładu Spektrometrii Mas w Instytucie Fizyki Jądrowej PAN za pracę *Identyfikacja źródeł Pu w środowisku glacialnym północnej i południowej półkuli*. W dziedzinie prawa: prof. **Wojciech Załuski** z Katedry Filozofii Prawa i Etyki Prawniczej na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego za pracę *The InsanityDefense: A Philosophical Analysis*.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Andrzej Charytoniuk, Ewa Chojnacka, Michał Ciepelski, Monika Jaskowiak, Dorota Kosowicz, Agnieszka Lizak, Krzysztof Szymański, Łukasz Wspaniały

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej
www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku i na platformie X

Uczelnie w czasach chaosu

Prof. Andrzej K. Koźmiński, twórca Akademii Leona Koźmińskiego, wybitny specjalista z zakresu zarządzania, wskazuje na zagrożenia czyhające na uniwersytety w czasach chaosu, ale też proponuje adekwatny do nich styl działania.

Kiedy w 1993 r. powstawała Akademia Leona Koźmińskiego (jeszcze pod inną nazwą), jej misją było wykształcenie nowoczesnej polskiej klasy średniej: menedżerów, przedsiębiorców i urzędników. Deficyt takich zasobów ludzkich w warunkach transformacji wzbudzał emocjonalne zaangażowanie i dowodził pilności misji. Dziś w sytuacji bezpośredniego zagrożenia Europy i cywilizacji europejskiej podobnie można sformułować naszą misję w odniesieniu do Europy. W warunkach chaosu kształcimy „ratowników Europy”. To zadanie angażuje emocjonalnie i zapewnia spójność społeczności akademickiej narażonej na naciski, wyzwania i pokusy. Przychodzi nam bowiem realizować tę misję w szczególnych warunkach: w warunkach chaosu.

Nauka zarządzania zna i stosuje od dawna pojęcia ryzyka i niepewności. Dynamika zmian zachodzących w ostatnich dekadach wymusiła jednak wprowadzenie kolejnego pojęcia, określającego wyższe natężenie niepewności i powszechność jej występowania. Chodzi o uogólnioną lub radykalną niepewność. Nawet radykalna niepewność jest jednak w miarę bezpieczna, ponieważ z definicji nie zagraża istnieniu podmiotów uczestniczących w grze. Sytuacja zmienia się, gdy niepewność obejmuje konflikty zbrojne, przemoc czy dążenie do zniszczenia organizacji i instytucji, a nawet państw oraz filozofii czy ideologii leżących u podstaw ich funkcjonowania. Mówimy wówczas o chaosie. Chaos nie jest aberracją, po której szczęśliwym zakończeniu nastąpi powrót do równowagi. Chaos wygeneruje z siebie następny porządek świata. Chaos zmienia istotę misji uczelni. Nie chodzi już o dogonienie czasu, jak w warunkach niepewności, lecz o wyprzedzenie czasu: zaproponowanie i wdrożenie własnego wariantu rzeczywistości.

W sytuacji chaosu jako dominujący jawi się imperatyw rozwoju. Oznacza on bowiem koncentrację sił żywotnych i silne spięcie uczelni z jej najważniejszymi interesariuszami. W warunkach chaosu to rozwój w większym stopniu gwarantuje przetrwanie niż przetrwanie zapewnia rozwój, jak dzieje się w czasach umiarkowanej niepewności. Odpowiedzią na chaos jest intensywny rozwój wygrywających podmiotów, takich choćby jak big techy. Wiąże się to z postulatem hiperzwinności, czyli zdolności do wypatrywania, może nawet wyczuwania słabych sygnałów – szans i zagrożeń w otoczeniu, a następnie do błyskawicznego reagowania na nie. W warunkach chaosu ociąganie się potęguje zagrożenia. Konieczne jest działanie dynamiczne (high speed management), bo szanse i zagrożenia pojawiają się i znikają jak w kalejdoskopie.

Tradycyjne procedury akademickie muszą więc ulec uproszczeniu i przyspieszeniu. Powinna temu towarzyszyć proinnowacyjna tolerancja dla działań i zachowań niekonwencjonalnych, niepowodzeń i błędów. Stosunkowo rzadko występuje ona w akademickich kulturach organizacyjnych. Potrzeba nam odwagi w obydwu wymiarach funkcjonowania uczelni: sprawnościowym (fabrycznym) i akademickim: agory, czyli miejsca

spotkania, konfrontacji i rozwoju prawd naukowych wyjaśniających świat.

W warunkach chaosu zaniedbanie jednej lub drugiej części tej hybrydy zagraża istnieniu instytucji. Zbiurokratyzowana fabryka przestaje być uczelnią, a niesprawna i niewydajna organizacja przestaje istnieć, bankrutuje. Imperatywem jest równowaga społeczna między wartościami Fabryki i Agory: z jednej strony efektywnością, a z drugiej prawdą naukową i kumulacją wiedzy. Najgroźniejszy jest jednak brak wartości: bezideowość, obojętność, cynizm i pustka. W warunkach chaosu przywódcy akademicy muszą zadbać o wartości. Uczelnia powinna kierować się tą refleksją na płaszczyźnie etyki akademickiej: poszukiwania prawdy.

Na tym tle rodzi się pytanie o etykę biznesu czy jakiegokolwiek zorganizowanego działania. W warunkach chaosu jest to szczególnie istotne pytanie, bo także dzięki technologii skala możliwości działania jawi się jako niemal nieograniczona i żadna kontrola nie jest w stanie tego zmienić. Jedynym hamulcem jest etyka, a kluczem do niej zdolności autonormotwórcze aktorów, czyli zdolność narzucania sobie samemu norm i granic. Kluczowym problemem współczesnego zarządzania jest to, że nie wiemy, na jakim systemie etycznym mamy opierać te zdolności normotwórcze. Mimo ton zadrukowanego papieru, zarówno teoria, jak i praktyka uciekają od tego zagadnienia z fatalnym skutkiem: do świata bez moralności i prawa. Trudno sobie wyobrazić jego kontynuację. Konieczne jest zaproponowanie systemu działania, choćby w biznesie, opartego na jakiejś platformie etycznej, której nie znamy jeszcze, a której potrzebujemy, by w wymiarze czysto ludzkim przetrwać i rozwijać się w świecie chaosu.

Presje wywierane na uczelnie w warunkach chaosu mają różnorodny i trudny do przewidzenia charakter, np. polityczny, społeczny, prawny, ekonomiczny, technologiczny, organizacyjny, o nieprzewidywalnym i zmiennym natężeniu ocierającym się niekiedy o poziom zagrażający destrukcją. Przykładem jest nacisk obecnej administracji amerykańskiej na uczelnie Ivy League. Na podobnej zasadzie pojawiają się szanse dające „na chwilę” możliwości rozwoju. Taka okresowa koncentracja energii z zewnątrz wymaga adekwatnej odpowiedzi energetycznej ze strony uczelni.

Jedyną możliwością jest współużytkowanie zasobów zewnętrznych poprzez sieci współpracy, koalicje, wspólne i współfinansowane przedsięwzięcia. Wybuchem energii w otoczeniu towarzyszą więc eksplozje aktywności w uczelni. Wymaga to wrośnięcia uczelni w środowiska zewnętrzne, a zwłaszcza w biznes. Wskazywałoby to na dominację logiki biznesowej w przyszłości i dlatego tak istotne jest akademickie antidotum zapewniające równowagę funkcjonalną między Fabryką a Agorą, dwiema sprzecznymi ze sobą logikami działania, które musimy pogodzić w czasach chaosu.



Fot. A.K.

UW najsilniejszą marką, „FA” w TOP5 mediów

Uniwersytet Warszawski to wciąż najsilniejsza medialna marka wśród polskich uczelni – wynika z corocznego zestawienia, które obejmuje treści z prasy, internetu i social mediów. Najnowsza analiza powstała na podstawie 28,5 mln materiałów (w tym 1,3 mln tekstów prasowych), 10,1 mln publikacji na portalach internetowych i 17,1 mln wpisów w mediach społecznościowych.



W badanym okresie (1 lipca 2024 – 30 czerwca 2025) **Uniwersytet Warszawski** pojawił się w 158 422 publikacjach. Najwięcej uwagi poświęcono tragicznemu wydarzeniu, do którego doszło na kampusie głównym UW: 22-letni student Wydziału Prawa i Administracji zamordował pracownicę uczelni i zranił strażnika. Głośno było

o sycet im. Adama Mickiewicza (19,6%). W sumie na Facebooku, X, Instagramie czy YouTube pojawiło się ponad 73,5 tys. materiałów o uczelniach, z czego najwięcej, bo 28,5 tys., na X. Dla porównania w pięciu tytułach prasowych najczęściej piszących o nauce i szkolnictwie wyższym było nieco ponad 3,7 tys. publikacji. W tradycyjnym segmencie najwięcej skorzystał UJ (6,6%).

W TOP5 mediów zajmujących się tym sektorem po raz kolejny w czołówce znalazło się **„Forum Akademickie”**. Zajęliśmy tym razem 5 miejsce, za „Rzeczpospolitą”, „Perspektywami”, „Gazetą Wyborczą” i „Dziennikiem Gazetą Prawną”.

Zestawienie „Top Marka” to największa na polskim rynku ana-

liza medialności brandów. Po raz osiemnasty przygotowaliśmy ją magazyn „Press” i „PRESS-SERVICE Monitoring Mediów”. Zweryfikowano 1020 marek z 50 branż: od mediów, przez banki, energetykę, po handel i szkoły wyższe. W każdym z sektorów wyłoniono 10 brandów najczęściej pojawiających się w mediach. W kolejnym etapie szczegółowo przeanalizowano materiały dotyczące każdej marki, biorąc pod uwagę liczbę wzmianek, indeks sentymentu oraz dotarcie. Aby otrzymać indeks sentymentu, oceniono analizowane treści pod kątem ich wydźwięku. W przypadku całkowicie negatywnego wzmianki przyporządkowywano wartość 10, w 100% pozytywnego – wartość 5, zaś wzmiankom o wydźwięku neu-

TOP MARKA 2025					
UCZELNIE – TOP 5 MAREK					
	RANKING MAREK	IMPACT	INDEKS SENTYMENTU	LICZBA PUBLIKACJI	SILA MARKI
1.	 UNIWERSYTET WARSZAWSKI	1 655 280 671	1,70	158 422	3 376 968
2.	 UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI W KRAKOWIE	970 246 237	1,90	80 313	2 216 392
3.	 SGH	630 474 838	2,19	61 821	1 658 457
4.	 UNIWERSYTET IM. ADAMA MICKIEWICZA W POZNANIU	621 500 674	1,94	66 952	1 447 844
5.	 Politechnika Warszawska	478 919 248	2,39	49 457	1 376 030

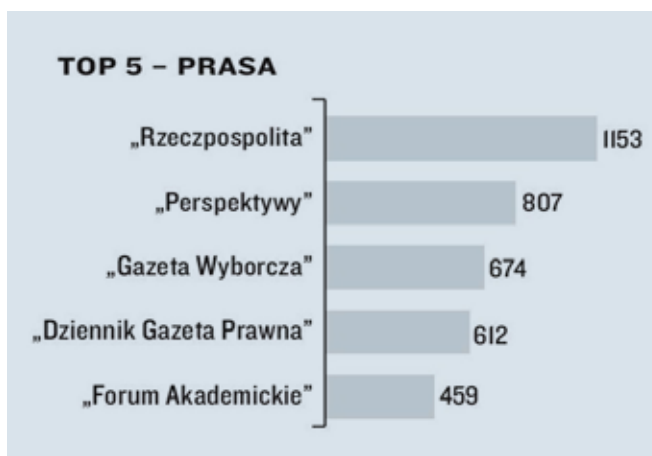
też o dziekanie Wydziału Nauk i Studiów Międzynarodowych, który został zwolniony po oskarżeniach o mobbing i molestowanie. Szerokim echem w mediach odbiło się również zatrzymanie w Nigerii sześciu studentów afrykanistyki i ich wykładowczyni. Od 2020 roku, gdy uczelnie uwzględniono w rankingu „Top Marka” po raz pierwszy, UW pozostaje liderem w tym sektorze.

Drugie miejsce w rankingu, również bez zmian, zajął **Uniwersytet Jagielloński** z prawie o połowę mniejszą niż UW liczbą wzmianek (80 313). Podium uczelni, podobnie jak przed rokiem, zamyka **Szkoła Główna Handlowa** (61 821 informacji). Tuż za podium znalazł się **Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu**, który zamienił się miejscami z Politechniką Warszawską. W pierwszej dziesiątce uczelnianych marek znalazły się jeszcze: **Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II**, **Uniwersytet Śląski**, Akademia Górniczo-Hutnicza, **Uniwersytet Gdański** i **Śląski Uniwersytet Medyczny**.

Najwięcej publikacji o uczelniach pojawiało się na portalach internetowych. Ze wszystkich uczelni to właśnie tam największy udział miała Politechnika Warszawska (84% wszystkich wzmianek o uczelni). W „społecznościówkach” – Univer-

salnym – wartość 1. Potem wyliczono proporcje między liczbą wzmianek pozytywnych, negatywnych i neutralnych dla wizerunku danej marki, czyli właśnie indeks sentymentu. W ten sposób w rankingu uwzględniono w sumie 500 marek, w tym 10 szkół wyższych.

MK



Doskonałość naukowa a niedofinansowanie nauki

System polskiej nauki wciąż funkcjonuje w logice zarządzania kryzysem, a nie rozwoju, zaś ramy dzisiejszego myślenia o nauce, jakości i reformach nadal wyznaczają **polityka oszczędności i terapia szokowa lat dziewięćdziesiątych** – taką tezę stawiają autorzy raportu przygotowanego przez **Pracownię Komunikacji Naukowej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu**.

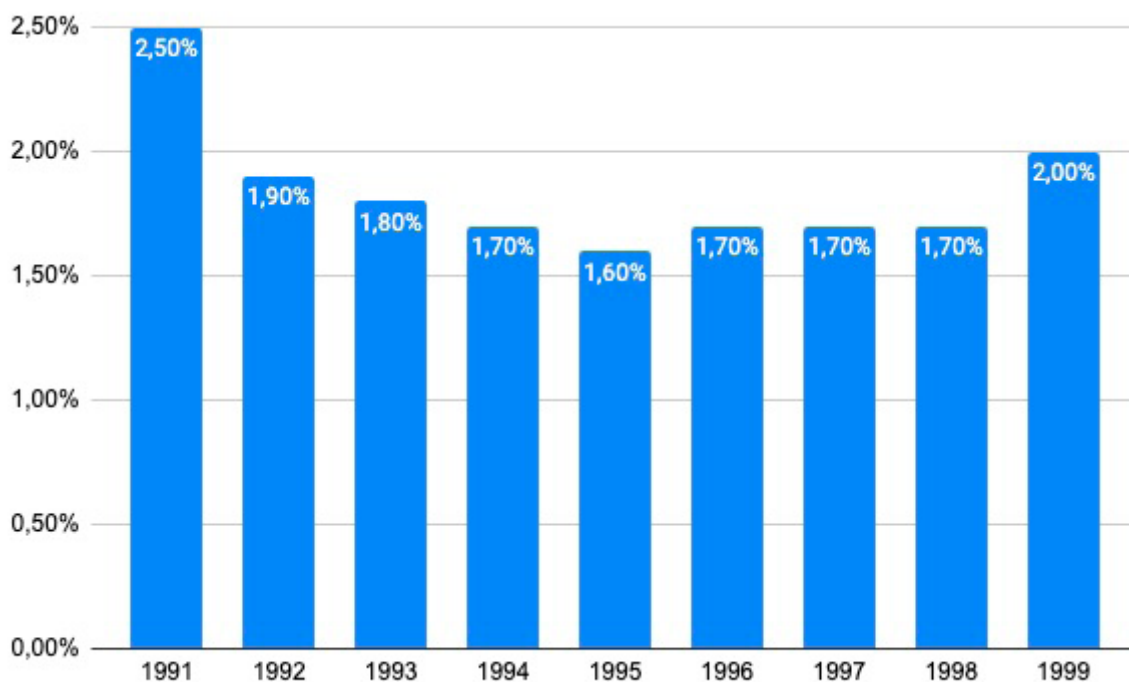
W centrum swoich analiz dr Jakub Krzeski, Olga Łojewska i dr hab. Krystian Szadkowski postawili pojęcie doskonałości naukowej. Nie mają wątpliwości, że to ona organizuje dzisiejszą naukę, określa, co w danym momencie uznaje się za wartościowe, a co za marginalne. Tworzy wspólny język dla naukowców, urzędników i polityków, którzy – występując w imię troski o jakość – ustanawiają jednocześnie produktywność jako podstawową miarę wartości nauki.

Pojęcie kluczowe dla wdrożonych w ostatnich latach, ale także dopiero projektowanych reform sprowadza się do tego, co mierzalne, a więc liczby publikacji, cytowań, grantów czy miejsc w rankingach. „Współczesny dyskurs doskonałości nie tylko legitymizuje reformy i porządkuje język nauki, ale również stabilizuje układ sił w systemie – utrwała istniejące hierarchie, wzmacnia zależność od globalnych centrów wiedzy i przenosi ciężar odpowiedzialności za niedostatki systemu na samych badaczy. W ten sposób doskonałość pełni funkcję dyscyplinującą: wymusza nieustanne dostosowanie do zewnętrznych wzorców, jednocześnie utrudniając refleksję nad alternatywnymi modelami rozwoju” – piszą autorzy raportu.

Chcąc pojęcie doskonałości ubrać w definiujące je kryteria, odwołują się do dyskusji z lat 2016–2018, tuż przed wejściem w życie tzw. ustawy Gowina. Właśnie wtedy naznaczono przyszłą Konstytucję dla Nauki duchem doskonałości. Dokonało się to w trzech wymiarach: produkcji wiedzy, instytucjonalnej organizacji nauki oraz spo-

sobie finansowania. W tym pierwszym chodziło o komunikowanie badań w prestiżowych czasopismach o zasięgu międzynarodowym. W odniesieniu do drugiego wymiaru doskonałość stała się mechanizmem silnie różnicującym. Nie wszyscy naukowcy są przecież doskonali, a jak zagospodarować tych, którzy zasługują na takie miano? Można pozwolić, by byli rozbitkami na „wyspach doskonałości” albo skoncentrować w inicjatywach typu IDUB czy centrach doskonałości naukowej. Wreszcie, trzeci wymiar – finansowy. Doskonałość przecież kosztuje, najlepszym trzeba zapewnić realne warunki uczestnictwa w międzynarodowej konkurencji. Jak czytamy w raporcie, obietnica finansowania pojawia się jednak dopiero w momencie realizacji doskonałości, a nie jako jej warunek wstępny. „Innymi słowy, to nauka ma najpierw udowodnić swoją doskonałość, by zasłużyć na większe środki, zamiast otrzymać je po to, by tę doskonałość rozwijać” – piszą twórcy analizy.

Na ilustrację tego paradoksu wybrali budżet Narodowego Centrum Nauki. Od 2018 roku, czyli momentu, gdy – ich zdaniem – pojęcie doskonałości naukowej osiągnęło największą wagę w dyskursie publicznym, budżet największej w Polsce agencji finansującej badania podstawowe i mającej w zamierzeniach realizować politykę doskonałości naukowej – określanej przez Jarosława Gowina mianem „polskiej racji stanu” – zaczął realnie topnieć. Nie mogąc nadążyć za inflacją, rósł w zasadzie tylko na papierze. Zarazem średni wskaźnik sukcesu w konkursie OPUS od 2017 roku obniżył się z 22,98% do rekordowo niskich 12,55% w 2022 roku, co sprawia, że doskonałościowe finansowanie nie jest dostępne nawet dla najlepszych projektów i badaczy. „Instytucja, która miała realizować politykę doskonałości naukowej, w praktyce stała się zakładnikiem logiki, którą sama miała urzeczywistniać” – komentują badacze. I dodają: „Trudno o dobitniejszą



Procentowy udział nakładów na naukę w całości wydatków budżetowych. Źródło: Dąbrowa-Szeffler M., *System nauki i szkolnictwa wyższego. Funkcjonowanie i elementy zarządzania*. Warszawa: Centrum Badań Polityki Naukowej i Szkolnictwa Wyższego, 2003

ilustrację faktu, że proliferacja dyskursu doskonałości naukowej jednocześnie rozmija się z materialnymi warunkami jej realizacji”.

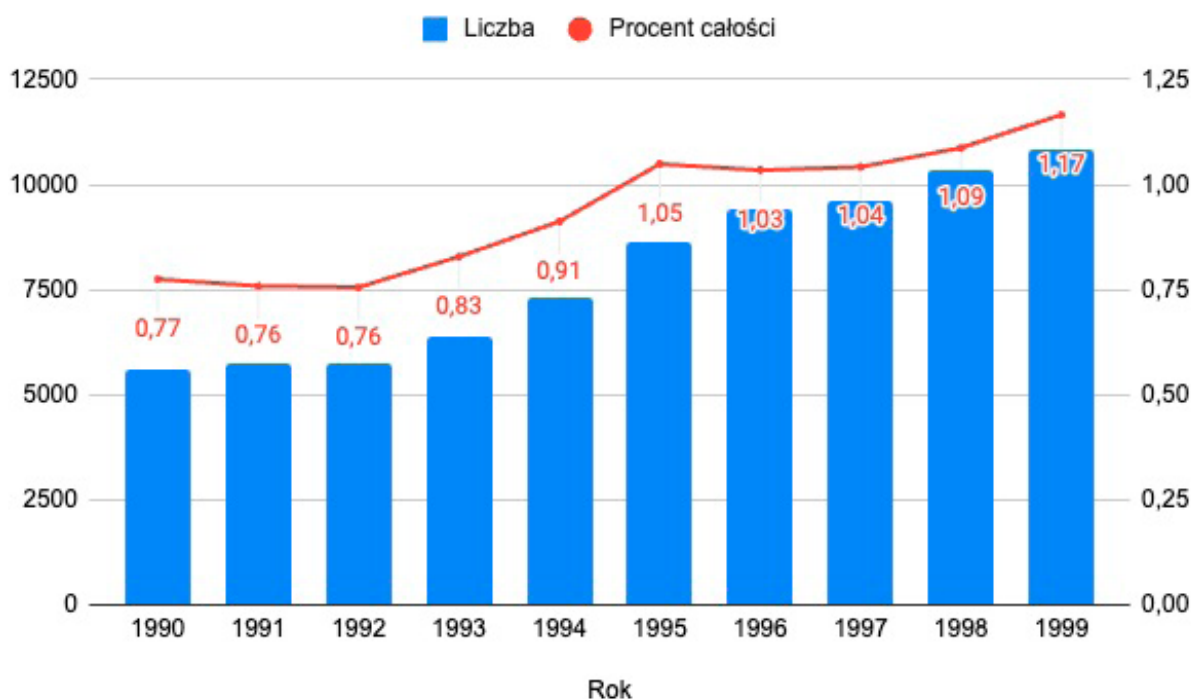
Zaznaczają jednocześnie, i to jest *clou* ich badań, że problemy te, jak i narzędzia do ich rozwiązania, nie są nowe. „Równanie do »najlepszych« i realizacja tego zadania pod sztandarem doskonałości naukowej w warunkach trwałego niedofinansowania sektora już raz znalazły się w centrum wysiłku modernizacji polskiej nauki i społeczeństwa” – przypominają, wskazując lata dziewięćdziesiąte, kiedy nauka została włączona w logikę terapii szokowej: gwałtownej prywatyzacji, liberalizacji, urynkowienia oraz cięcia publicznych wydatków, które zdefiniowały ramy myślenia o państwie, gospodarce i wiedzy na kolejne dekady. Konsekwencje tej terapii – zdaniem badaczy z UAM – odczuwamy do dziś.

W ich ocenie, kluczową rolę odegrał Komitet Badań Naukowych, który – chcąc przebudować system na wzór i podobieństwo nauki zachodniej – połączył finansowanie z ewaluacją i wprowadził do polskiej nauki darwinowską logikę selekcji. KBN stał się tym samym poligonem wdrażania idei doskonałości naukowej: to tam ukształtowały się pierwsze procedury ewaluacyjne, systemy punktowe i próby parametryzacji. Wszystkie te mechanizmy miały wspólny cel: uzasadnić, że niedobór środków może być racjonalny, jeśli te wąte środki rozdzielane są w imię jakości. Jak wskazano w opracowaniu, filozofią pierwszego kierownictwa KBN (przewodniczącym nowego organu został w 1991 roku Witold Karczewski) było wspieranie najlepszych kosztem słabych. Kryterium jakości badań, niezależnie czy prowadzonych w uczelniach, Polskiej Akademii Nauk, czy w instytutach badawczo-rozwojowych, stało się kluczem do przebudowy i scalenia całego systemu. Nie przewidziano jednego – drastycznego spadku publicznego finansowania (zredukowane o 37% przez całą dekadę nie podnosi się powyżej poziomu z 1991 roku). To w połączeniu z niskim politycznym znaczeniem sfery nauki musiało zwiastować nadchodzącą katastrofę. „W konsekwencji idealistyczna wizja wspólnoty działającej »dla dobra doskonałej nauki« zderzyła się z realiami zacieklej rywalizacji o bardzo ograniczone i niewystarczające zasoby” – diagnozuje raport.

Jego autorzy przywołują znamienne wypowiedź Jana Frąckowiaka, sekretarza KBN: „Generalną zasadą, jaką będziemy się kierować, jest utrzymanie konkurencyjnego podejścia do finansowania badań naukowych i od tego nie zamierzamy odchodzić. Przy tak małej kwocie budżetowej konkurencja będzie ostra, a stawiamy sobie zadanie, aby przetrwały najlepsze zespoły i najlepsze placówki naukowe”. Język ten, wzięty wprost z koncepcji darwinizmu społecznego, właśnie wtedy na stałe wszedł do naukowego imaginarium. Wówczas tłumaczono nim transformacyjne boleści. „Polska zastosowała raczej ciężkie »Darwinowskie« podejście, dając (już w 1991 roku) niemal nic albo bardzo mało środków budżetowych miernym »badawczym Lewiatanom«, oraz ponad 60% wszystkich dostępnych środków – mniej więcej 30% instytucji badawczych znajdujących się na szczycie listy rankingowej (stworzonej w trybie peer-review przez samych naukowców)” – to jeszcze raz sekretarz KBN.

Kryzys finansów państwa i ograniczanie środków na sektor nauki nie były w stanie zmienić raz obranego kursu reformy. Jak podkreślają autorzy opracowania, zmienił się jedynie dyskurs doskonałości – z ofensywnego został zepchnięty do defensywy. Środowisko akademickie szukając sposobów na lepsze finansowanie, zaczęło wykorzystywać system grantowy, w efekcie czego niektóre panele notowały 50-proc. wskaźnik sukcesu. Mechanizmy konkurencji, opisują autorzy raportu, uruchomione jako narzędzie modernizacji, w praktyce prowadziły do partykularyzacji i gry interesów. „Wprowadzenie finansowania opartego na wynikach oraz założenie malejącego udziału finansowania podmiotowego na rzecz grantów (...) wyznaczyło wstępnie miejsce ucierającemu się dyskursowi doskonałości naukowej w procesie terapii szokowej (...) Wytworzone w ten sposób mechanizmy finansowania, kategoryzacja jednostek naukowych i przyjmowane kryteria oceny stały się już nie tylko retoryką towarzyszącą reformie, ale trwały infrastrukturą systemu” – piszą naukowcy z UAM.

To wszystko nie obyło się bez środowiskowego oporu. Najwyraźniej swój sprzeciw wyrażali przedstawiciele Polskiej Akademii Nauk. Dominowała argumentacja podkreślająca sprzeczną z duchem



Publikacje w Web of Science (1990-1999) a procent całości. Źródło: Web of Science

nowych czasów monopolizację dystrybucji środków na badania przez KBN. Głębokie rozczarowanie wyrażał też Instytut Biologii Doświadczalnej im. Nenckiego PAN, w którym zagrożonych zwolnieniem było 40% pracowników: „Nie apelujemy o ratowanie całej nauki polskiej, ale o to, by utrzymać te jej dziedziny, które ten światowy poziom osiągnęły” – postulowano, wpisując się w darwinowską koncepcję przetrwania. Ten przykład pokazuje, że nawet najwyższa kategoria A oznaczała w praktyce drastyczny spadek realnego finansowania. Wszelkie listy, oświadczenia czy apele – podobnie jak dziś – nie odmieniły jednak losu nauki w Polsce.

Badacze z UAM zwracają uwagę, że w kolejnych latach doskonałość przestała być narzędziem brutalnej selekcji. Cóż z tego, skoro stała się racjonalnym sposobem radzenia sobie z biedą: „nauka polska jest biedna, nie stać jej na bylejakosć”, jak mawiał drugi przewodniczący KBN, Aleksander Łuczak. W tamtym czasie dzieje się coś równie istotnego, niedostatek środków wymusza jeszcze większe przywiązanie do „obiektywnych” kryteriów jakości, a naukowcy i instytucje, pozbawieni realnych alternatyw, zaczynają internalizować tę logikę jako jedyny możliwy sposób przetrwania. Parametryczny system oceny staje się więc w miarę tanim narzędziem wymuszania bezkosztowych wzrostów efektywności w skrajnie niedofinansowanym systemie – jasno stawiają sprawę autorzy raportu.

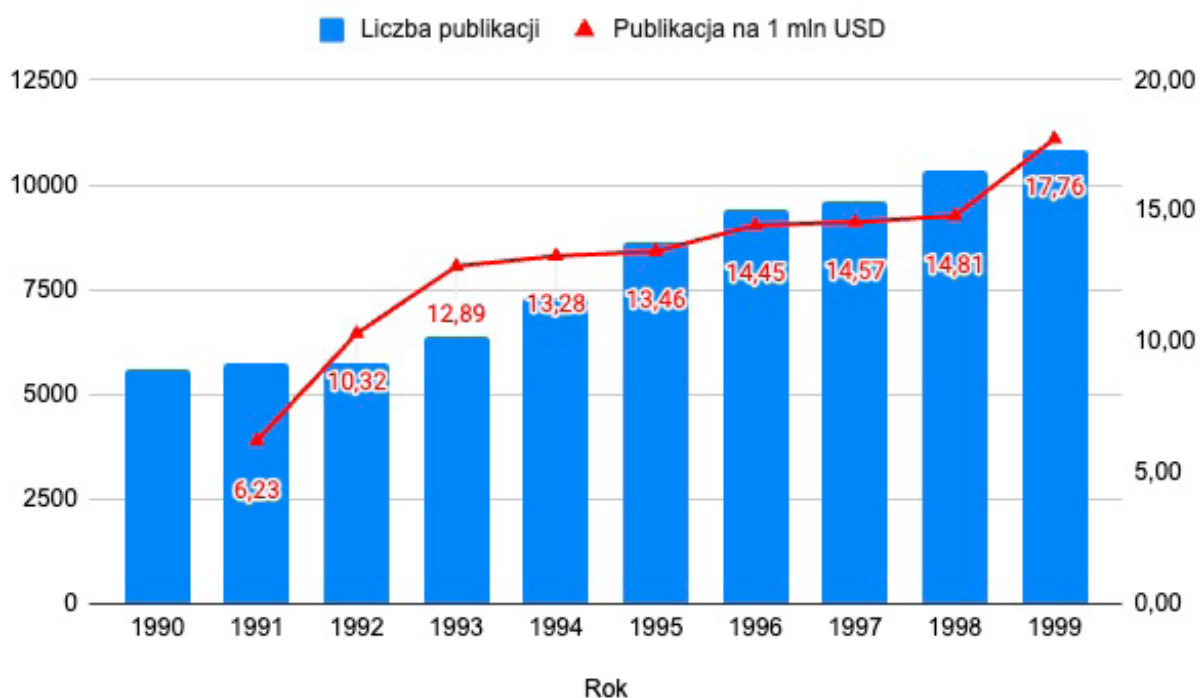
Ówczesne sprężenie doskonałości z oszczędnością miało niebagatelne znaczenie dla dzisiejszego języka „konkurencyjności”, „innowacyjności” czy „parametryzacji” – jest to kontynuacja logiki wypracowanej w epoce, gdy niedobór został zrjonalizowany jako strażnik jakości, a polityka rozwoju ostatecznie ustąpiła miejsca polityce selekcji i kontroli. Działania te wygenerowały politykę przetrwania, którą dziś obserwować można w całej okazałości. Tym sposobem doskonałość naukowa przestała być ideą rozwoju, a stała się językiem adaptacji do biedy: moralną i administracyjną technologią, która pozwalała utrzymać spójność systemu w stanie permanentnego kryzysu – uważają autorzy raportu. I dodają: modernizacja nauki miała być „beznakładowa”, osiągnięta poprzez zmianę zachowań badaczy

i redystrybucję prestiżu, a nie przez inwestycje w badaczy i prowadzone przez nich zespoły czy wzmocnienie instytucji. W efekcie system coraz częściej koncentruje się na zapewnianiu zgodności z algorytmem. Jedną z konsekwencji takiego stanu rzeczy jest utrwalanie peryferyjnego charakteru polskiej nauki. Inną – przechylenie wagi na stronę aktywności sprawozdawczej i publikacyjnej, traktowanej jako miernik produktywności. Skutkuje to m.in. przybierającym na sile zjawiskiem tzw. papierni.

Co zatem należy uczynić? W raporcie zarekomendowano trzy zasadnicze kierunki działania: konieczność zwiększenia finansowania nauki przed wprowadzeniem kolejnych reform; potrzebę odejścia od taniej, ilościowej ewaluacji na rzecz jakościowej oceny społecznej wartości badań; powiązanie polityki naukowej z długofalowymi priorytetami rozwojowymi państwa. „Jeżeli ewaluacja ma pełnić funkcję narzędzia polityki naukowej, a nie jedynie taniego mechanizmu alokacji środków, wymaga odpowiednich zasobów finansowych i organizacyjnych. Dotychczasowa coraz silniejsza ewolucja systemu ewaluacji w stronę wskaźników ilościowych okazała się efektywna kosztowo, ale poznawczo uboga. Nowy system oceny powinien więc łączyć metody ilościowe z jakościową oceną dyscyplin i instytucji, zapewniając przy tym środki na pogłębioną analizę, eksperckie recenzje, a także na opracowywanie praktycznych zaleceń dla ocenianych jednostek. Tylko wtedy ewaluacja stanie się realnym instrumentem polityki naukowej, a nie administracyjnym rytuałem potwierdzającym istniejące hierarchie” – podsumowują twórcy analizy.

Otwiera ona serię trzech opracowań poświęconych konsekwencjom transformacji dla współczesnego szkolnictwa wyższego i nauki w Polsce. Kolejne części dotyczyć będą przemian życia studenckiego i zapomnianych form oporu wobec reform.

MK

(na podstawie raportu *Narodziny dyskursu doskonałości naukowej z ducha terapii szokowej*)

Liczba publikacji na 1 mln USD budżetu nauki (1991–1999). Źródła: Web of Science; ustawy budżetowe; NBP.

Reforma publikowania naukowego: Deklaracja Sztokholmska

Nasz artykuł w kwartalniku PAN „Nauka”, poprzedzony skróconym dokumentem opublikowanym w „Forum Akademickim”, spotkał się z dużym zainteresowaniem środowiska naukowego. Za wszystkie głosy, także te polemiczne, bardzo dziękujemy. Wiele osób wskazywało, że zgadza się z naszą diagnozą, obserwują zjawiska przez nas opisane w swoim miejscu pracy: uczelni, instytucje naukowe czy naukowo-badawczym. Wielu z czytelników naszego artykułu obawia się, że nie istnieją skuteczne mechanizmy pozwalające na uzdrowienie globalnego systemu publikacji naukowych. Jesteśmy w tej kwestii realistami – bez szerokiego, środowiskowego porozumienia, bez silnego, wspólnego oddziaływania na decydentów nic się w tej sprawie nie wydarzy.

Jak wskazywaliśmy w artykule, procesy przez nas opisywane mają charakter ogólnosiwiatowy, nie są ograniczone do polskiej rzeczywistości. Na początku listopada brytyjskie The Royal Society opublikowało komunikat podsumowujący wyniki niedawnej konferencji zorganizowanej w Sztokholmie przez Royal Swedish Academy of Sciences. Uczestnicy konferencji przygotowali deklarację o konieczności reform systemu publikacji naukowych zwaną „Deklaracją Sztokholmską”. Argumentacja autorów deklaracji jest zbieżna z naszymi argumentami: wskazują oni, że nauka opiera się na uczciwości i wiarygodności, i że coraz częściej jest zagrożona przez fałszywe publikacje naukowe, a do obiegu naukowego trafiają corocznie ogromne liczby fałszywych prac, co prowadzi do marnowania pieniędzy, utraty zaufania i zniekształcenia wiedzy.

Aby przywrócić kontrolę społeczności akademickiej nad systemem publikacji naukowych, autorzy Deklaracji proponują opracowanie globalnego planu reformy publikowania naukowego. Wskazują przy tym, że współczesny system publikowania wyników prac naukowych zmaga się z poważnymi problemami: (1) proces publikacji został w dużej mierze skomercjalizowany – wielkie wydawnictwa osiągają ogromne dochody z opłat za publikacje finansowane ze środków publicznych; (2) obserwuje się gwałtownie rosnącą falę niskiej jakości publikacji, które nie są poddawane procesowi rzetelnej recenzji; (3) rośnie zagrożenie ze strony „fabryk artykułów”, które masowo produkują fałszywe prace naukowe i sprzedają autorstwo badaczom działającym pod presją wymogów publikacyjnych; (4) postę-

puje „punktoza”, w której uczelnie i instytuty oceniają naukowców głównie na podstawie liczby publikacji i cytowań, a nie jakości badań, co sprzyja powstawaniu treści o niskiej jakości; (5) postępuje zanieczyszczenie literatury naukowej fałszywymi raportami, a odróżnienie wiarygodnych wyników od fałszywych staje się coraz trudniejsze. Ten proces istotnie spowalnia rzeczywisty postęp nauki.

Deklaracja Sztokholmska zaleca:

1. Przywrócenie naukowcom kontroli nad systemem publikacyjnym. Wydawnictwa naukowe powinny działać bez zysku (non-profit), być prowadzone przez uczelnie, akademie, stowarzyszenia naukowe i biblioteki, a autorzy powinni zachowywać prawa do swoich tekstów.

2. Nagradzanie za jakość badań, a nie ilość publikacji czy cytowań. System ocen i nagród powinien skupiać się na rzetelności metodycznej i znaczeniu badań prowadzonych przez naukowców, a nie na liczbie publikacji i wskaźnikach bibliometrycznych typu impact factor i indeks Hirscha.

3. Wykrywanie i zwalczanie oszustw naukowych. Powinny powstać niezależne organizacje, które wykrywają i katalogują fałszywe prace, prowadzą rejestry nieuczciwych wydawnictw oraz uczą i propagują zasady etyki publikowania.

4. Wprowadzanie regulacji prawnych dotyczących publikacji naukowych. Powinny zostać wprowadzone przepisy karzące produkcję i sprzedaż fałszywych artykułów, przekupstwo w publikacjach oraz nieuczciwe praktyki autorów.

Deklaracja skierowana jest do uczelni, akademii nauk, fundacji i rządów i ma zjednoczyć środowisko naukowe na całym świecie wokół wspólnego celu, jakim jest odbudowanie zaufania do nauki, ograniczenie liczby oszustw i uczynienie wiedzy bardziej dostępną i wiarygodną.

Podzielamy argumentację zawartą w Deklaracji, apelujemy do polskich instytucji naukowych o przyłączenie się do tej inicjatywy oraz rozpowszechnianie idei „czystego publikowania” w krajowych i międzynarodowych instytucjach naukowych.

Adam Liebert, Romuald Zabielski, Michał Mrozowski



Siedziba Królewskiej Szwedzkiej Akademii Nauk

Cyfrowa przyszłość szkolnictwa wyższego

Podsumowanie XI Konferencji LUMEN 2025 oraz Gali Liderów Transformacji Cyfrowej PCG Academia

Jedenasta edycja konferencji LUMEN, która odbyła się 25–26 listopada 2025 r. w Krakowie, ponownie potwierdziła, że jest to najważniejsze w Polsce forum wymiany doświadczeń w obszarze zarządzania uczelniami oraz cyfryzacji szkolnictwa wyższego. Wydarzenie, organizowane przez PCG Academia we współpracy z Uniwersytetem Jagiellońskim jako gospodarzem tegorocznej edycji, zgromadziło kilkuset przedstawicieli kadry zarządczej, administracyjnej i naukowej ze wszystkich typów uczelni oraz licznych instytucji sektora publicznego.

W roku 2025 konferencja LUMEN odbyła się w odświeżonej formule, łącząc tradycyjne wystąpienia ekspertów z nowymi elementami, w tym specjalnymi sesjami poświęconymi kierunkom rozwoju cyfryzacji, jakości kształcenia, dostępności, wykorzystaniu AI, a także bezpieczeństwu danych i zarządzaniu procesowym. Uczestnicy mieli okazję wziąć udział zarówno w debatach z udziałem rektorów i kanclerzy, jak i w praktycznych prezentacjach, w których uczelnie dzieliły się realnymi wdrożeniami i doświadczeniami w zakresie transformacji cyfrowej.

Jednym z głównych tematów tegorocznej edycji był wpływ nowych technologii – w tym rozwiązań low-code, zaawansowanej analityki danych, narzędzi AI oraz zintegrowanych platform dydaktycznych – na rozwój uczelni oraz na ich potencjał w pozyskiwaniu środków zewnętrznych i realizacji dużych projektów modernizacyjnych. Wiele uwagi poświęcono również rosnącej roli współpracy międzyuczelnianej, standaryzacji procesów oraz wymianie wiedzy w ramach społeczności użytkowników poszczególnych systemów.



Nowa odłona współpracy i integracji środowiska akademickiego

LUMEN 2025 to także bardzo silna obecność partnerów technologicznych i instytucjonalnych, którzy odgrywają kluczową rolę w procesach modernizacji uczelni.

Patronat honorowy nad konferencją sprawował Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Konferencja objęta była patronatami Prze-

wodniczącej KRASP, Konferencji Rektorów Publicznych Uczelni Zawodowych, Ośrodka Przetwarzania Informacji – PIB, Stowarzyszenia Forum Administracji Akademickiej, Fundacji Rozwoju Systemu Edukacji, International Relations Offices Forum, Konfederacji LEWIATAN oraz Stowarzyszenia PR i Promocji Uczelni Polskich „PRom”. Patronat medialny nad konferencją sprawowało „Forum Akademickie”.

Partnerami LUMEN 2025 byli: Anthology, Academic Software, Arcus SI, AVC Edukacja, Bugeto, DoxyChain, Hushoffice, Inespera, Panopto, Revas, Samsung, Uniwersytet WSB Merito Warszawa, WEBCON, Wolters Kluwer oraz Żabka.

Niezwykle istotną częścią tegorocznej edycji były także rozmowy kularowe oraz możliwość nawiązywania partnerskich relacji, które – jak pokazują doświadczenia poprzednich lat – często przeradzają się w realne projekty i wspólne inicjatywy.

Gala Liderów Transformacji Cyfrowej PCG Academia – święto uczelni, które wyznaczają kierunek zmian

Centralnym punktem konferencji LUMEN 2025 była uroczysta **Gala Liderów Transformacji Cyfrowej PCG Academia**, podczas której wyróżniono uczelnie i instytucje szczególnie zaangażowane w rozwój nowoczesnych, zintegrowanych i efektywnych ekosystemów cyfrowych.

Nagrody PCG Academia przyznawane są uczelniom, które w sposób szczególny wykorzystują technologie informatyczne do podnoszenia jakości kształcenia, modernizacji administracji, rozwijania procesów badawczych oraz zwiększania dostępności dla studentów, doktorantów i pracowników. W tegorocznej edycji wyróżnienia trafiły do uczelni reprezentujących różne typy instytucji: od dużych uniwersytetów publicznych, przez uczelnie techniczne i medyczne, po dynamiczne uczelnie niepubliczne.

Gala była także okazją do podkreślenia roli zespołów projektowych, bibliotek, działów IT oraz administracji uczelnianej – to właśnie oni, często pracując na styku technologii i procesów organizacyjnych, odpowiadają za sukcesy cyfrowej transformacji swoich instytucji. Wyróżnienia PCG Academia są wyrazem uznania dla ich kompetencji, determinacji oraz gotowości do wdrażania zmian na dużą skalę.

Gala wręczenia nagród THE World University Rankings podczas konferencji LUMEN 2025

Stałym elementem Konferencji LUMEN jest od paru lat uroczysta Gala wręczenia Nagród THE dla polskich uczelni sklasyfikowanych w THE World University Rankings, jednym z najbardziej rozpoznawalnych i prestiżowych rankingów uczelni. Gala jest jednym z obszarów współpracy PCG Academia z twórcami rankingów: Times Higher Education.

W tegorocznym rankingu THE World University Rankings 2026 uplasowało się 45 uczelni z Polski, o jedną więcej niż w poprzedniej edycji. Ponadto uczelnie z polskiej czołówki znalazły się wyżej niż we wcześniejszych latach, osiągając grupę miejsc 501–600.

W imieniu Organizatorów serdecznie gratulujemy wszystkim uczelniom wyróżnionym w ramach tegorocznego rankingów. Mamy nadzieję, że nasze wyróżnienia przyniosą Państwu nie tylko satysfakcję z sukcesu, ale i determinację do osiągnięcia jeszcze lepszych wyników w kolejnych rankingach THE.

Kategoria I: Zarządzanie kształceniem na odległość

Partner: Anthology

Nagrody otrzymali: Akademia Leona Koźmińskiego, Collegium Da Vinci, Uniwersytet Medyczny w Białymstoku



Kategoria II: Zarządzanie procesowe

Partner: WEBCON

Laureatami zostali: Politechnika Krakowska im. Tadeusza Kościuszki, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Gdański Uniwersytet Medyczny



Kategoria III: Zarządzanie dorobkiem naukowym

Partner: LYRISIS

Nagrodzone uczelnie to: Uniwersytet Jagielloński w Krakowie, Uniwersytet Warszawski, University of Zurich – ZORA



Kategoria specjalna: Rozwiązanie o zasięgu krajowym

Partner: KRASP

PLLuM – Polish Large Language Model



Nagrody na ręce przedstawicieli uczelni wręczyli: Rosie Sanniti – Regional Director for Europe w Times Higher Education, prof. Jerzy Woźnicki – prezes Fundacji Rektorów Polskich oraz prof. Łukasz Sułkowski – prezes Zarządu PCG Polska. Nagranie uroczystości dostępne jest na kanale YouTube PCG Academia.

Kierunek: LUMEN 2026

Tegoroczna edycja konferencji potwierdziła, że LUMEN nie tylko stanowi platformę wymiany wiedzy, ale także inspiruje do myślenia o uczelni jako o organizacji zarządzanej procesowo, opartej na danych i otwartej na innowacje technologiczne. Dyskusje i prezen-

tacje pokazały, że cyfrowa transformacja uczelni nie jest już przyszłością – jest procesem, który dzieje się tu i teraz, a jego tempo i jakość w dużej mierze zależą od liderów polskiej akademii.

Organizatorzy już dziś zapraszają na przyszłoroczną edycję – LUMEN 2026 – która odbędzie się ponownie w Krakowie i będzie kontynuować misję wspierania polskiego środowiska akademickiego w jego drodze do nowoczesności. Jak pokazały tegoroczne rozmowy, potrzeba takiego spotkania jest większa niż kiedykolwiek, a rola LUMEN – jako miejsca, w którym łączą się wiedza, innowacja i doświadczenie – będzie tylko rosła.



Uniwersytet w mieście

80 lat Uniwersytetu Łódzkiego

Dekretem z 24 maja 1945 powołano Uniwersytet Łódzki. Pod dokumentem widnieją podpisy prezydenta Bolesław Bieruta, premiera Edwarda Osóbki Morawskiego i ministra oświaty Stanisława Skrzeszewskiego. W tym samym akcie ustanowiono strukturę nowej uczelni, którą miały tworzyć wydziały: Humanistyczny, Matematyczno-Przyrodniczy oraz Prawno-Ekonomiczny, jednak już w pierwszym roku akademickim dołączyły do nich kolejne trzy: Farmaceutyczny, Lekarski i Stomatologiczny, które w 1949 roku zostały przekształcone w Akademię Medyczną. W pierwszym roku akademickim UŁ zatrudniał 530 pracowników, a studia rozpoczęło tam 7147 studentów – to duża liczba, zważywszy, że na Uniwersytecie Jagiellońskim było wówczas nieco ponad 8 tys. studentów.

W 1956 strukturę uniwersytetu wzbogaciły jednostki powołanej w 1946 r. Państwowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Łodzi. Pięć lat później to samo stało się z jednostkami Wyższej Szkoły Ekonomicznej. Ostatnim aktem konsolidacyjnym było przyłączenie do UŁ Instytutu Wychowania Fizycznego i Sportu, jednostki zamiejscowej warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego. W swojej historii UŁ miał szereg zamiejscowych ośrodków dydaktycznych, m.in. w Kutnie, Ostrołęce, Kaliszu, Zduńskiej Woli, Piotrkowie Trybunalskim, Bełchatowie, Sieradzu i Skierniewicach. Żaden z wymienionych dziś nie istnieje. Za to wciąż działa utworzona w 1998 roku filia UŁ w Tomaszowie Mazowieckim, gdzie studenci kształcą się na kierunkach: administracja, leśnictwo, turystyka i rekreacja oraz zarządzanie. Po licznych przeobrażeniach strukturę Uniwersytetu Łódzkiego – oprócz wymienionej filii – tworzy obecnie 12 wydziałów: Biologii i Ochrony Środowiska; Chemii; Ekonomiczno-Socjologiczny; Filologiczny; Filozoficzno-Historyczny; Fizyki i Informatyki Stosowanej; Matematyki i Informatyki; Nauk Geograficznych; Nauk o Wychowaniu; Prawa i Administracji; Studiów Międzynarodowych i Politologicznych oraz Zarządzania. Uzupełniają ją 22 ogólnouczelniane, pozawydziałowe lub międzywydziałowe centra i ośrodki badawcze. Badania na rzecz bliskiego otoczenia uniwersytetu, czyli miasta i regionu, prowadzi Centrum Studiów Miejskich oraz Ośrodek Badań Interdyscyplinarnych nad Wielokulturową i Wielonarodową Łodzią i Regionem. Ważną jednostką ogólnouczelnianą jest Biblioteka UŁ, jedna z największych tego typu

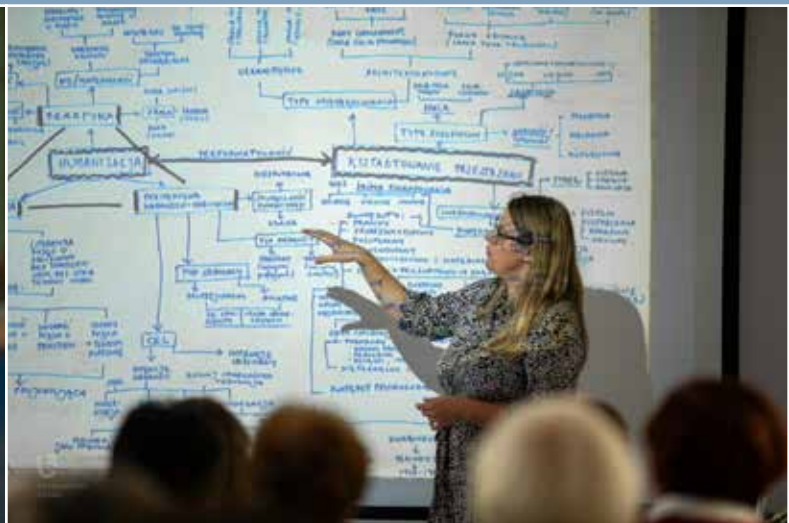
instytucji w Polsce. Inne to Wydawnictwo UŁ i Centrum Transferu Technologii UŁ.

Uniwersytet Łódzki zatrudnia prawie 3,8 tys. pracowników, w tym 2290 nauczycieli akademickich i 1500 innych pracowników. W grupie nauczycieli akademickich jest 207 profesorów tytularnych, 570 profesorów uczelni, 1200 adiunktów, 200 asystentów, 50 wykładowców i 30 lektorów. W ciągu 80 lat uniwersytet nadał 6645 stopni doktora i 2656 stopni doktora habilitowanego. Obecnie na Uniwersytecie Łódzkim działają 4 szkoły doktorskie: Biomedchem UŁ i Instytutów PAN w Łodzi, Nauk Humanistycznych, Nauk Społecznych, Nauk Ścisłych i Przyrodniczych. Jest w nich 410 doktorantów.

Na 168 kierunkach na UŁ kształcą 25 765 studentów, w tym 18 269 na studiach stacjonarnych, a 5020 na niestacjonarnych. W tym gronie jest 14 420 kobiet, co znaczy, że stanowią 56% studentów UŁ. Na uniwersytecie kształcą się blisko 2 tys. obcokrajowców. Z oferty 50 kierunków studiów podyplomowych i MBA korzysta 2038 osób. W ciągu 80 lat dyplomy Uniwersytetu Łódzkiego otrzymało 160 tys. absolwentów.

Kierunek biologia otrzymał od Polskiej Komisji Akredytacyjnej certyfikat doskonałości kształcenia w kategorii Otwarty na świat – doskonałość we współpracy międzynarodowej, a bankowość i finanse cyfrowe – certyfikat doskonałości kształcenia w kategorii Partner dla rozwoju – doskonałość we współpracy z otoczeniem społeczno-gospodarczym. Kilka kierunków posiada akredytację międzynarodową. Chemia i analityka chemiczna posiadają akredytację European Chemistry Thematic Network (ECTN). Ekonomia oraz Business Management – w obu przypadkach w języku angielskim – uzyskała akredytację IACBE – The International Assembly for Collegiate Business Education Accreditation. Kierunek rynek finansowy – doradztwo inwestycyjne ma certyfikat CFA – The Chartered Financial Analyst Certificate. Kierunek Masters's Degree in Women's and Gender Studies (GEMMA) uzyskała akredytację AQAS, która gwarantuje, że program studiów jest zgodny z wymogami określonymi w kryteriach jakości wspólnych programów zdefiniowanych przez European Approach w Europejskim Obszarze Szkolnictwa Wyższego (ESG) oraz Europejskich Ramach Kwalifikacji (EQF).

Fot. UŁ



Wspólnie z instytucjami zagranicznymi prowadzone są studia: Master's Degree in Women's and Gender Studies (GEMMA) II stopnia; Media Arts Cultures II stopnia; polsko-niemieckie I stopnia (kierunek wygaszany – brak w zasadach przyjęć na rok 2026/2027). Z kolei absolwenci filologii angielskiej II stopnia i matematyki I stopnia uzyskują podwójny dyplom UŁ oraz Ruhr Universität Bochum (to jeden z partnerów sieci UNIC).

W ostatniej ewaluacji Uniwersytet Łódzki poddał ocenie 22 dyscypliny w 3 dziedzinach: nauk humanistycznych (archeologia, filozofia, historia, językoznawstwo, literaturoznawstwo, nauki o kulturze i religii, nauki o sztuce), nauk społecznych (ekonomia i finanse, geografia społeczno-ekonomiczna i gospodarka przestrzenna, nauki o komunikacji społecznej i mediach, nauki o polityce i administracji, nauki o zarządzaniu i jakości, nauki prawne, nauki socjologiczne, pedagogika, psychologia) oraz nauk ścisłych i przyrodniczych (informatyka, matematyka, nauki biologiczne, nauki chemiczne, nauki fizyczne, nauki o Ziemi i środowisku). Uzyskał 14 kategorii B+, 7 kategorii A i jedną A+ (nauki o sztuce). Z oceny wynikają uprawnienia akademickie do nadawania stopni naukowych w wymienionych dyscyplinach.

W 2025 roku na Uniwersytecie Łódzkim realizowane są 484 projekty o łącznej wartości 296 mln zł. Tylko w pierwszym półroczu tego roku naukowcy i pracownicy UŁ złożyli ponad 200 wniosków o finansowanie zewnętrzne. W tym samym okresie uczelnia pozyskała ponad 37 mln zł na badania i rozwój. Łącznie od 2020 roku zrealizowano lub wciąż realizuje się na UŁ ponad tysiąc projektów, na które udało się pozyskać ponad 400 mln zł ze źródeł zewnętrznych. Jednym z najważniejszych jest grant dla doświadczonych naukowców Europejskiej Rady Badań Naukowych (ERC Advanced Grant), który w 2022 r. uzyskał prof. Andrzej Idrzejczak, kierownik Katedry Logiki i Metodologii Nauk na Wydziale Filozoficzno-Historycznym UŁ. Ponad 1,6 mln euro zostanie przeznaczone na realizację projektu „Coming to Terms: Proof Theory Extended to Definite Descriptions and other Terms”. Z Narodowego Centrum Nauki w latach 2011-24 badacze z UŁ uzyskali 789 grantów o łącznej wartości ponad 270 mln zł. W samym roku 2024 było to 65 grantów i 42 mln zł. UŁ zajmuje 8. miejsce pod względem liczby uzyskanych w NCN grantów, a 11. pod względem ich wartości.

Uniwersytet Łódzki nie ma zwartego kampusu, jednak jak podkreślają jego władze, większość z niemal 150 budynków uniwersyteckich leży w granicach 15 minut jazdy komunikacją miejską od siebie. W dziesięciu akademikach jest 3,7 tys. miejsc noclegowych. Obiekty UŁ mają ogólną powierzchnię 290 tys. m², z czego budynki wydzia-

łowe mają 165 tys. m², uczelniana administracja zajmuje 40 tys. m², a obiekty studenckie 40 tys. m². Biblioteka UŁ jest jedną z największych w Polsce. Jej nowoczesny gmach ma 25 tys. m², a zbiory liczą ok. 3 mln woluminów.

UŁ rozwija współpracę z uczelniami na całym świecie. Każdego roku około 240 nauczycieli akademickich realizuje wyjazdy dydaktyczne do zagranicznych uczelni partnerskich, a 80 pracowników administracji podnosi swoje kompetencje biorąc udział w zagranicznej mobilności szkoleniowej. Około 400 studentów rocznie spędza semestr na uczelniach zagranicznych, a 150 korzysta z krótkoterminowych form wymiany. Uniwersytet Łódzki organizuje również każdego roku kilka interdyscyplinarnych mieszanych programów intensywnych we współpracy z zagranicznymi partnerami, łącząc naukę stacjonarną z elementami online. W ramach programów wymiany i projektów edukacyjnych co roku na UŁ przyjeżdża ok. tysiąca studentów z całego świata. Uniwersytet Łódzki aktywnie uczestniczy w ok. dwudziestu międzynarodowych projektach edukacyjnych rocznie, zarówno jako partner, jak i koordynator.

Uniwersytet Łódzki należy do sieci UNIC 2.0 (Europejski Uniwersytet Miast w Transformacji Postindustrialnej), która jest kontynuacją współpracy rozpoczętej w ramach sojuszu UNIC (Europejski Uniwersytet Miast Postindustrialnych). Sojusz tworzy 10 uczelni pracujących razem na rzecz rozwoju edukacji i wspierania badań zaangażowanych społecznie, nastawionych na współpracę z miastami postindustrialnymi. Oprócz UŁ są to: University of Deusto (Hiszpania), Ruhr University Bochum (Niemcy), University College Cork (Irlandia), Koç University (Turcja), University of Liège (Belgia), University of Oulu (Finlandia), University of Zagreb (Chorwacja), Malmö University (Szwecja).

Od dziesięciu lat, czyli od 2015 roku, Uniwersytet Łódzki organizuje Konkurs o Nagrodę im. Tadeusza Kotarbińskiego, pierwszego rektora UŁ, na najlepszą książkę z obszaru nauk humanistycznych i społecznych. W tym okresie do konkursu zgłoszono ponad 700 książek, do nagrody nominowano 55 prac, a 11 z nich uzyskało nagrodę, która w ciągu dziesięciu lat stała się jednym z najważniejszych tego typu wyróżnień w Polsce. Ceniona jest nie tylko za wartość symboliczną i finansową, ale także za możliwość debaty o humanistyce, jaką odbywają wspólnie członkowie kapituły oraz laureaci wcześniejszych konkursów i nominowani do ostatniego z nich (więcej na str. 16).

(p)



Czytanie obniża stres

Nagroda im. Tadeusza Kotarbińskiego

„Kto czyta, żyje wielokrotnie. Kto zaś z książkami obcować nie chce, na jeden żywot jest skazany” – rektor Uniwersytetu Łódzkiego prof. Rafał Matera przypomniał to zdanie zapisane przez Józefa Czechowicza (choć i inni mówili podobnie), otwierając 30 listopada jedenastą galę wręczenia Nagrody im. Tadeusza Kotarbińskiego. – Bo czym jest czytanie, jeśli nie każdorazową wyprawą do życia innych osób, istot, społeczeństw, narodów? Także takich, które nie istnieją, a bardzo byśmy chcieli, by były, czy takich, które istnieją, a niekoniecznie nas to cieszy. Za każdym razem jednak, gdy otwieramy książkę, włączamy audiobooka bądź czytamy w inny sposób, głowa zaczyna swoją dobrą robotę. Z każdą linijką tekstu produkuje świat, o którym czytamy. Jedna książka ma więc tysiące, miliony różnych wersji, w zależności od wyobraźni czytających – mówił R. Matera. Potem przytoczył dane z badań naukowych, które mówią, że to „czytanie najlepiej redukuje stres – o niemal 70%. Muzyka o 60%, a kawa czy herbata tylko o połowę”. I dodał z ironią: – Oczywiście z założeniem, że czytamy coś dobrego, bo jako rektor czytam różne dokumenty, sprawozdania, raporty i wtedy stres mnie wcale nie opuszcza.

Nagrodę im. Pierwszego Rektora Uniwersytetu Łódzkiego Profesora Tadeusza Kotarbińskiego otrzymał prof. Przemysław Czapliński, literaturoznawca z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu za książkę *Rozbieżne emancypacje. Przewodnik po prozie 1976–2020*, wydaną przez Wydawnictwo Literackie. W recenzji wydawniczej napisano, że książka przedstawia „aktualną syntezę najważniejszych zjawisk, nurtów i tematów we współczesnej polskiej prozie. Punkty orientacyjne (...) opowieści wyznaczają następujące przez kolejne dekady emancypacje: od opresyjnej władzy, wielkich narracji i stereotypowych modeli tożsamości, od rozmaitych uwikłań w przeszłość i pułapek przyszłości. (...) W ujęciu Czaplińskiego proza jest przewodniczką po zawiraniach polskiej historii najnowszej. Nie tylko przewrotną rejestratorką historycznych zjawisk, ale także ich aktywną uczestniczką i współtwórczynią. (...) Narodziny kultury niezależnej, transfor-

macja, Europa wyobrażona, pisanie kobiet, zwrot ludowy, reportaże, fantastyka i fantasy – to niektóre z tematów podejmowanych w tej książce”.

– Książka liczy 850 stron i 17 rozdziałów, więc jest to akt o podwyższonej szkodliwości społecznej – zaczął laureat nagrody. Jak sobie z tym poradzić? Prof. Czapliński, nawiązując do wcześniejszej wypowiedzi rektora UŁ, radzi: – Spróbujcie państwo włączyć cichą muzykę, wziąć herbatę lub kawę, wziąć książkę do ręki, a wtedy te 850 stron was nie przestraszy.

– Humanistyka dzisiaj jest traktowana jako nieproduktywna i nieweryfikowalna. Z punktu widzenia nauk ścisłych jest nieweryfikowalna, a z punktu widzenia przemysłu jest mało pożyteczna. W wypowiedziach sponsorów zauważyliśmy jednak przekonanie, że jest ona w stanie powstrzymać zbyt pośpieszny rozwój technologii, aby ta nie zacisnęła się na społecznym gardle, aby ta utopia doskonałości nie okazała się zbyt doskonała dla człowieka. Funkcja ostrzegawcza jest istotna z punktu widzenia humanistyki, która jest od tego, żeby wiązać istniejące rozgardiasze w świecie w różne syntezy. Dzięki humanistyce społeczeństwo jest w stanie dojść do głosu. Ona nie rozwiązuje problemów, ale pokazuje, gdzie one tkwią. Na tym polega jej niezwykła rola. Humanistyka prezentuje wielość perspektyw, dzięki którym społeczeństwo jest w stanie dojść do głosu.

Prof. Krystyna Pietrych w imieniu Kapituły Konkursu przedstawiła uzasadnienie werdyktu. – Wydawałoby się, że mamy do czynienia z rozpadem całościowego ujmowania literatury. Przemysław Czapliński nie napisał kolejnego artykułu naukowego, w którym udowadniałby tezę przeciwną. On po prostu taką syntezę napisał. Podjął się kolosalnego zadania: zebrania i uporządkowania wg różnorodnych kryteriów tego, co się działo w polskiej prozie w latach 1976–2020, a ponieważ jest wytrawnym znawcą literatury i krytykiem, oparł swoją syntezę na solidnych podstawach filologicznych i doskonałej znajomości podejmowanych tematów oraz wyjątkowym talentem do szerokiego spojrzenia na

przemiany prozy, usytuowane na rozległym tle kulturowym. Autor opatrzył swoją książkę podtytułem „przewodnik”, co nie oddaje w pełni ani jej specyfiki, ani funkcji tej rewelacyjnej publikacji. To w istocie przebogaty bedeker po ostatnich pięćdziesięciu latach polskiej literatury i kultury, nieoceniony nie tylko dla studentów kierunków humanistycznych, ale dla każdego czytelnika zainteresowanego światem literackim ostatniego półwiecza.

(pk)

„Forum Akademickie” było patronem medialnym tegorocznego konkursu o Nagrodę im. T. Kotarbińskiego.



Fot. UŁ

Brawo AZS Kraków!

To już byli inni studenci niż przed rokiem, ale wygrana smakowała tak samo. Reprezentacja AZS Kraków zwyciężyła w 16. Ogólnopolskim Finału Igrzysk Studentów Pierwszego Roku, który rozegrano w Łodzi.

W Łodzi rywalizowało blisko 600 studentów i studentek z ośmiu środowisk akademickich: Gdańska, Katowic, Krakowa, Lublina, Poznania, Warszawy, Wrocławia/Opola oraz gospodarze. Przez dwa dni na siedmiu obiektach sportowych rozgrywano zawody w siedmiu dyscyplinach: pływaniu, biegach przełajowych, ergometrze wioślarskim, futsalu, tenisie stołowym, siatkówce i koszykówce. Łodzianie wciąż dobrze pamiętają atmosferę Akademickich Igrzysk Europejskich z 2022 roku. Teraz po raz pierwszy w historii gościli najlepszych pierwszorzeczniaków z całego kraju, którzy zwycięsko przeszli przez eliminacje w swoich środowiskach.

– Przez dwa dni Łódź była areną rywalizacji tych, którzy dopiero zaczynają swoją przygodę ze sportem akademickim i mam nadzieję, że zostaną na dłużej w Akademickim Związku Sportowym – powiedział prezes AZS Łódź, Lech Leszczyński, który sam może pochwalić się 50-letnim stażem w organizacji. – Trudno sobie wyobrazić lepszą okazję do świętowania jubileuszu 80-lecia łódzkiego AZS niż zorganizowanie u nas ogólnopolskiego finału Igrzysk Studentów Pierwszego Roku. Jestem bardzo dumny z całego zespołu organizacyjnego i bardzo im dziękuję za tę imprezę. Mam nadzieję, że uczestnicy zawodów spędzili udany czas w Łodzi i że będziemy się z nimi spotykać w kolejnych latach na innych imprezach sportu akademickiego – dodał.

Na sportowych arenach toczyła się zacięta walka o każdy punkt. To właśnie drużynowy charakter Ogólnopolskiego Finału Igrzysk Studentów Pierwszego Roku sprawia, że jest to wydarzenie szczególne. Niezależnie od dyscypliny wszyscy walczyli nie tylko o jak najwyższe miejsca dla siebie, ale też o punkty dla swojego środowiska. Wśród uczestników nie brakowało znanych sportowców, w tym studentki Uniwersytetu Łódzkiego – Zuzanny Wiernickiej, która jest rekordzistką Polski junierek w biegu na 5000 m (15:55.78). Po własnym starcie był też czas, żeby z trybun wspierać kolegów i koleżanki, tak jak na prawdziwych igrzyskach. Z tym wyjątkiem, że minimum na igrzyska olimpijskie sportowcy mogą wywalczyć co cztery lata, a na igrzyska studentów pierwszego roku można wystąpić tylko raz w życiu.

Ponownie najwięcej powodów do radości mieli reprezentanci AZS Kraków. Do ich wygranej przyczynili się siatkarze, zwyciężając w finale z reprezentacją AZS Poznań 2:1, a także pływacy, triumfując w klasy-

fikacji mężczyzn, gdzie zdobyli aż pięć medali. Swoją cegiełkę dołożyły ich koleżanki, zajmując na pływalni drugą lokatę. Drugie miejsce zajęły też reprezentantki AZS Kraków startujące na ergometrze wioślarskim i ich koledzy grający w tenisa stołowego. Z brązowymi medalami turniej zakończyły siatkarki oraz biegacze przełajowi.

Klasyfikacja

Ogólnopolskiego Finału Igrzysk Studentów Pierwszego Roku

1. AZS Kraków 75,5 pkt.
2. AZS Warszawa 73 pkt.
3. AZS Gdańsk 68 pkt.
4. AZS Poznań 67,5 pkt.
5. AZS Katowice 55 pkt.
6. AZS Łódź 48 pkt.
7. AZS Wrocław 46,5 pkt.
8. AZS Lublin 39,5 pkt.

– Przed rokiem wygrana była dla nas większą niespodzianką, bo nie mieliśmy drużyny koszykarek w swoim składzie. Teraz po cichu liczyliśmy na zwycięstwo, a zatem emocji nie brakowało. Zawsze walka z AZS Warszawa toczy się „na żyletki” i tak też było tym razem. Może nie było jednego finału, który by o wszystkim zdecydował, ale moim zdaniem duże znaczenie miał ergometr wioślarski, który tym razem odbywał się drugiego dnia rywalizacji. Bardzo cieszymy się z tej wygranej. Tak samo jak z faktu, że nasza reprezentacja składała się ze studentów i studentek aż siedmiu uczelni małopolskich. Oni biorą udział w naszych wydarzeniach środowiskowych i mam nadzieję, że w przyszłości będą dobrze radzili sobie podczas Akademickich Mistrzostw Polski – mówi Edyta Wienczek z AZS Kraków.

Ostatecznie AZS Kraków zgromadził 75,5 punktu i wygrał igrzyska, wyprzedzając nieznacznie AZS Warszawa (73 punkty). Wspomniane dwa miejsca nie uległy zmianie w porównaniu z zeszłym rokiem. Na podium awansował natomiast AZS Gdańsk, który zgromadził 68 punktów i tylko o pół punktu wyprzedził AZS Poznań.

Gospodarzem zawodów był AZS Łódź, wspierany przez kluby uczelniane AZS Politechniki Łódzkiej, AZS Uniwersytetu Łódzkiego i AZS Uniwersytetu Medycznego w Łodzi.

Ogólnopolski Finał Igrzysk Studentów Pierwszego Roku wspiera Ministerstwo Sportu i Turystyki. Zawody dofinansowane ze środków Miasta Łodzi i Województwa Łódzkiego. Patronami medialnymi imprezy są Onet, Przegląd Sportowy i Pasja AZS. Impreza została objęta patronatem Marszałek Województwa Łódzkiego Joanny Skrzydlewskiej i Prezydent Miasta Łodzi Hanny Zdanowskiej.

Robert Zakrzewski



Fot. Grzegorz Michałowski



W obliczu rosnącej niepewności

Kongresy Ekonomistów Polskich to organizowane co kilka lat wydarzenia, które stanowią platformę do debaty nad kluczowymi wyzwaniami polskiej gospodarki oraz roli ekonomii jako dyscypliny naukowej. Tradycje tych spotkań sięgają roku 1887, kiedy to w Krakowie odbył się pierwszy Zjazd Ekonomistów i Prawników. Tegoroczny XI Kongres był wydarzeniem o szczególnym znaczeniu dla polskiej myśli ekonomicznej, dla debaty publicznej oraz dla przyszłości naszej gospodarki. Warto podkreślić, że okazją do jego zwołania była co najmniej podwójna. Po pierwsze, jest to kolejna odsłona organizowanego cyklicznie najważniejszego wydarzenia intelektualnego przekuwającego uwagę ekonomistów, a wpływającego na całe społeczeństwo. Po drugie, tegoroczny kongres został zorganizowany w 80. rocznicę powołania do życia współczesnej postaci stowarzyszenia polskich ekonomistów – Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego. Powstało ono w Łodzi podczas Zjazdu Założycielskiego, który odbył się w dniach 1-2 grudnia 1945 roku. Nawiązywało do tradycji zawodowych ruchów ekonomistów na ziemiach polskich w XIX wieku oraz warszawskiego Stowarzyszenia Ekonomistów i Statystyków, a także Towarzystw Ekonomicznych działających w Krakowie, Poznaniu i Lwowie w okresie międzywojennym. Połączenie kongresu z jubileuszem 80-lecia PTE podkreśliło znaczenie wielopokoleniowej misji Towarzystwa – wspierania rozwoju nauk ekonomicznych, popularyzacji wiedzy ekonomicznej oraz dialogu między debatą naukową, a praktyką gospodarczą.

Tegoroczny kongres, który odbył się pod hasłem „Ekonomia i gospodarka w czasach niepewności”, został zaprojektowany tak, by w obliczu globalnych napięć gospodarczych, geopolitycznych i klimatycznych spróbować zdefiniować priorytety dla polskiej ekonomii, strategii gospodarczej oraz transformacji społeczno-ekonomicznej. W radzie programowej długo dyskutowaliśmy o tym, czy obrady mają dotyczyć tylko ekonomii (nauk ekonomicznych), czy także gospodarki, albo może samej gospodarki. Myślę, że udało się wypracować fortunny kompromis. Trudno byłoby bowiem zarówno dyskutować o ekonomii bez gospodarki, jak i o gospodarce bez ekonomii. Słowo „niepewność” w hasle kongresu ma bardzo dużą pojemność treściową i dla większości z nas jest uosobieniem turbulencji charakterystycznych dla przesilenia cywilizacyjnego, którego jesteśmy uczestnikami, świadkami, badaczami i analitykami.

Jak na XI Kongres przystało wyznaczaliśmy sobie jedenaście celów, albo racji, zwołania tego spotkania: bo taka jest nasza tradycja; bo chcemy: inspirować i rozwijać debatę na temat najważniejszych zagadnień gospodarczych; podnosić poziom edukacji i świadomości ekonomicznej społeczeństwa; wspierać racjonalne decyzje – w społeczeństwie, biznesie i w państwie; inspirować do pomnażania dobrobytu społeczeństwa; pokazać dorobek transformacji rynkowej i naszej pozycji wśród gospodarek rozwiniętych; wzmacniać myślenie strategiczne i kreować wizje rozwoju gospodarczego Polski; inspirować do lepszego wykorzystania potencjału współpracy międzynarodowej; pokazać, że mamy wpływ na podnoszenie jakości życia – jako ekonomiści i obywatele; budować świadomość postępu gospodarczego jako źródła lepszej jakości życia; diagnozować, to co nie działa i wspólnie szukać skutecznych rozwiązań. Powyższe cele to nic innego jak przekucie na dzisiejsze uwarunkowania i wyzwania celów Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego zapisanych w Statucie organizacji, w którym na pierwszym miejscu wymieniono: krzewienie myśli społeczno-ekonomicznej oraz współtworzenie warunków rozwoju nauk ekonomicznych i prezentowanie ich dorobku.

Obrady pokazały, że nawet w czasach niepewności możliwa jest konstruktywna refleksja i współpraca ekonomistów o odmiennych poglądach na rzecz stabilnego, zrównoważonego i sprawiedliwego



Fot. UEP

rozwoju. W obliczu rosnącej niepewności – globalnej i lokalnej – kluczowe dla stabilności i rozwoju gospodarki są: elastyczność i odporność systemów finansowych; zrównoważony rozwój z uwzględnieniem transformacji energetycznej i wyzwań ekologicznych; wzmocnienie kapitału ludzkiego poprzez kształcenie, kompetencje przyszłości i edukację ekonomiczną; wsparcie dla firm rodzinnych i małych/mikro przedsiębiorstw jako filarów lokalnej gospodarki; budowa inkluzywnego rozwoju uwzględniającego obszary poza centrami metropolitalnymi; szeroki dialog między nauką, biznesem, administracją publiczną i społeczeństwem, co może wzmocnić odporność Polski na globalne turbulencje.

Kongres potwierdził, że niezależna, interdyscyplinarna analiza ekonomiczna oraz otwarta debata to fundament świadomej polityki gospodarczej i strategii rozwoju. Polskie Towarzystwo Ekonomiczne i jego kongres pozostają kluczowym forum, w którym spotykają się różne perspektywy – akademicka, biznesowa, polityczna – z myślą o przyszłości Polski. Organizatorom kongresu nie zależało wyłącznie na okazjonalnym, przejściowym i wyjątkowym nagłośnieniu problematyki ekonomicznej. Jestem przekonany, że tegoroczny kongres, podobnie jak poprzednie, stworzył trwałe podwaliny do kontynuacji, ale także modyfikacji i rozszerzenia wpływu myśli ekonomicznej na społeczeństwo. Symbolicznym tego wyrazem stała się tzw. Deklaracja Poznańska, która została ogłoszona na zakończenie obrad (jej treść można znaleźć na stronie internetowej PTE). Zawarto w niej jedenaście rekomendacji wypracowanych podczas kongresowych debat. Mam nadzieję, że wywrze ona znaczący wpływ na podniesienie poziomu dyskursu ekonomicznego w Polsce, a także wpłynie na prowadzoną przez władze państwowe politykę gospodarczą. Ponadto oczekujemy, że rezultaty wypracowane na XI Kongresie będą stanowić silną podstawę dla nieustającego krzewienia wiedzy ekonomicznej i rozwijania edukacji ekonomicznej polskiego społeczeństwa. Z tego punktu widzenia chcielibyśmy, aby kongres był nie tylko dwudniowym intensywnym wydarzeniem, ale stanowił formułę spotkania, która stanie się trwałym elementem debaty społeczno-ekonomicznej w Polsce.

Prof. Marian Gorynia, prezes Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego

Rockowe, studenckie – Akademickie Radio Centrum

Akademickie Radio Centrum zostało założone w 1953 roku w domu studenckim „Amor” przez grupę studentów, radiowych i dziennikarskich amatorów, ale prawdziwych zapaleńców. Mieli tam tzw. dziuplę, z której nadawali do akademików wszystkich lubelskich uczelni, a w każdym pokoju był wtedy głośnik nazywany „kukuźnikiem”. Jeden z tych entuzjastów stworzył wówczas z motywu muzycznego „Gwiezdných Wojen” pierwszą czołówkę stacji.

Na przełomie lat 60. i 70. zużyty sprzęt i brak środków spowodowały przerwę w nadawaniu. Tylko dzięki pasjonatom i pomocy lubelskiego oddziału Polskiego Radia do studenci dostali nową aparaturę i radio wznowiło działalność.

W 1975 roku działające na terenie lubelskich uczelni rozgłośnie studenckie (Radio Zana na UMCS, Radio Kątek przy Wyższej Szkole Inżynierskiej czy Radio Medyk w Akademii Medycznej) połączyły siły. Wspólny blok programowy wciąż nadawano z DS „Amor”, a na cele połączonych redakcji stanął Jerzy Hofman. Ramówka opierała się na komunikatach dla studentów, ale studenci radiowcy podejmowali także tematy społeczno-polityczne, ekonomiczne, sportowe, kulturalne i rozrywkowe. Później rozgłośnia przeniosła się do Chatki Żaka, gdzie miała znacznie większe możliwości rozwoju.

Praca reportera nie była wtedy łatwa. Poza wyszukiwaniem informacji w terenie czy ze źródeł analogowych, np. tablic ogłoszeniowych na uczelnianych wydziałach czy gazet, trzeba było wspólnie pracować nad rozwojem radia. Dzisiaj radiowiec debiutuje na antenie po okresie próbnym trwającym od miesiąca do dwóch. Dawniej szkolenia trwały o wiele dłużej, rozpoczynano od nagrywania programów, a zanim dziennikarz mógł poprowadzić audycję na żywo, musiał zdać odpowiedni egzamin. Realizatorzy dźwięku musieli opanować procedury na wypadek awarii, co rozwijało umiejętność improwizacji.

Prawdziwe narodziny Radia Centrum miały miejsce jesienią 1995 roku. Wyremontowano pomieszczenia w Chatce Żaka, zakupiono nowy sprzęt, wyszkolono osoby, które miały radio prowadzić. Najważniejszą zmianą było jednak uzyskanie koncesji Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji na nadawanie audycji w eterze. Pierwszym redaktorem naczelnym Radia Centrum został Piotr Jałowicz. Załoga składała się z grupy doświadczonych dziennikarzy, którzy prowadzili studentów rozpoczynających swoją przygodę z dziennikarstwem. Wśród kilkudziesięciu akademickich rozgłośni radiowych Radio Centrum należy do niecałej dziesiątki tych, które nadają w eterze. Właścicielem koncesji, na podstawie której nadaje ARC, jest rektor UMCS.

W 2003 roku ze względu na znaczny koszt działalności, władze UMCS myślały o likwidacji rozgłośni. Jednak przeprowadzono restrukturyzację, utworzono Akademicką Grupę Medialną, do której dołączył portal student.lublin.pl oraz miesięcznik „A4” i udało się radio uratować.

Przez 30 lat Radio Centrum tworzyło kilka tysięcy osób, które później kontynuowały karierę w mediach całej Polski. „Mamy opinię rozgłośni, która dobrze przygotowuje do zawodu dziennikarza. Szkolimy studentów od podstaw, przechodzą przez wszystkie działy i etapy produkcji radiowej. Dzięki temu po kilku latach u nas są naprawdę dobrze przygotowani do rozpoczęcia pracy na swój rachunek. Zwykle to nie oni szukają pracy, ale to ich wybiera nasza „konkurencja” – mówił w czerwcu 2024 roku w rozmowie z „Forum Akademickim” Marek Skowronek, redaktor naczelny ARC, a w przeszłości czo-

nek redakcji FA. Jednym z tych, którzy w czasie studiów pierwsze radiowe szlify zdobywali w Radio Centrum jest Krzysztof Kurianiuk, który potem przez ponad 40 lat pracował w Polskim Radio Białystok, by na emeryturze wrócić na łono akademickiego „eteru”, a dokładnie do Akademickiego Radia AKADERA przy Politechnice Białostockiej.

Najpopularniejsze programy Radia Centrum to „Polskie Nagrania”, prowadzone od piętnastu lat przez Tomka Kowalewicza, który prezentuje na antenie różne zespoły i artystów, nie tylko te rockowych; „Poranna rozmowa Radia Centrum”, w której dziennikarze goszczą ciekawe osoby z całego kraju: od rektorów uczelni, przez sportowców, po ważnych polityków. Oprócz stałej ramówki, która obowiązuje od lat, jest również miejsce na nowe audycje. Każdego roku członkowie redakcji zgłaszają własne pomysły, które po konsultacjach zostają



wcielone w życie. Radio Centrum skupia się głównie na muzyce rockowej, ale oferuje audycje o różnej tematyce, m.in. „Grzybo Branie” z muzyką psychodeliczną, „Z Roku na Rock” poświęconą przebojom z kolejnych lat czy „uROCKI Świata”, w której można poznać muzykę z różnych zakątków globu. Słuchać ich można także przez internet.

Na antenie pojawiają się również krótkie programy, w których słuchacze mogą zdobyć dodatkową wiedzę z różnych dziedzin. Przykładowo „Pokaż Język” skupia się na zagadnieniach związanych z językiem i jego użyciem.

Jedną z inicjatyw Radia Centrum jest „Scena w Centrum”, zorganizowana przez redakcję muzyczną Tomka Kowalewicza od maja 2018 roku. Zaproszone zespoły mają okazję pokazać się szerszej publiczności w Chatce Żaka podczas występu na żywo, który jest również transmitowany na antenie.

W 2025 roku Akademickie Radio Centrum świętuje jubileusz trzydziestolecia nadawania w obecnej formule. Rozgłośnia jest jednostką uniwersytecką, działającą w strukturze Akademickiego Centrum Kultury i Mediów UMCS Chatka Żaka. Audycje przygotowuje ponad 70 osób, w większości studentów dziennikarstwa oraz produkcji medialnej z Wydziału Politologii i Dziennikarstwa UMCS. „Jest też grupa absolwentów uniwersytetu, którzy już po studiach zostali w Radiu Centrum i np. grają swoje autorskie audycje muzyczne. I to już jest świadectwo prawdziwej pasji” – mówił redaktor naczelny ARC we wspomnianym wywiadzie dla FA.

Obecnie w strukturze ARC funkcjonują trzy redakcje: informacyjno-kulturalna, sportowa i muzyczna, kierowane odpowiednio przez Julię Kaproń, Bartosza Litwina i Tomka Kowalewicza. W rozgłośni tylko dwie osoby pracują na etacie: redaktor naczelny i specjalista odpowiadający za produkcję materiałów dźwiękowych emitowanych przez stację. Pozostali pracownicy, a jest ich ponad siedemdziesięcioro, są zatrudnieni na umowach zlecenia lub na wolontariacie.

(opr. na podstawie materiałów UMCS)

Rozmowa z prof. dr. hab. Wojciechem Załuską, rektorem Uniwersytetu Medycznego w Lublinie, przewodniczącym Konferencji Rektorów Akademickich Uczelni Medycznych.

Patrzymy w przyszłość

W ciągu ostatniej dekady zwiększyliśmy liczbę polskich studentów o około 15 procent. Reaktywowaliśmy również program studiów niestacjonarnych na wydziale lekarsko-dentystycznym. Być może z punktu widzenia obywateli polskich to właśnie jest najważniejsze – zwiększenie naboru na studia lekarskie po polsku, bo ich absolwenci w większości zostaną w kraju i będą nas leczyć.

Uniwersytet Medyczny w Lublinie był jednym z pionierów, a potem liderów kształcenia studentów zagranicznych.

Wydział Lekarski prowadzi anglojęzyczne studia lekarskie od 1995 roku. Obecnie mamy też studentów międzynarodowych na kierunku lekarsko-dentystycznym. Pierwsi studenci przybyli do nas z USA. W roku akademickim 2024-2025 na kierunku lekarskim łącznie mieliśmy 632 studentów z 51 krajów.

To znacznie mniej niż w poprzednich latach, gdy ich liczba przekraczała półtora tysiąca. Co się stało? Jak to się ma do ogólnej liczby studentów?

Znacznie mniej, ale to nadal jest około 10 procent wszystkich studentów, gdyż mamy łącznie siedem tysięcy studentów wraz z międzynarodowymi. Na Wydziale Lekarsko-Dentystycznym w chwili obecnej kształcimy 83 studentów z 12 krajów, a to jest nawet więcej niż 10 procent. O ile mi wiadomo, wciąż jesteśmy jednym z liderów, jeśli chodzi o liczbę studentów anglojęzycznych. To się zmieniło od 2019 roku ze względu na pewne procesy, które wszyscy obserwowaliśmy, czyli pandemia covid, a następnie wojna na Ukrainie. Potem pojawiły się problemy z wizami. Być może to nie dotyczyło naszych studentów w jakimś wielkim stopniu, ale myśleliśmy między innymi o studentach z Indii i okazało się, że są bardzo duże trudności w uzyskaniu przez nich wiz studenckich. Faktycznie od roku 2019 straciliśmy około 300 osób, ale problemy administracyjne są naprawdę duże, a wojna tuż za naszą granicą też dla wielu kandydatów jest problemem.

W tym roku obchodzicie 30-lecie kształcenia anglojęzycznego. Jak to się zaczęło? Wiem, że miał pan w tym spory udział.

To był splot korzystnych okoliczności. Nasz amerykański partner – Medical Instytut z Virginii w USA – miał amerykańskich studentów na Węgrzech. Doszło tam jednak do jakichś trudności logistycznych i postanowiono przenieść ich gdzieś indziej, czyli właśnie do nas i na uczelnię w Katowicach. Były dwie polskie uczelnie, które 30 lat temu zaczęły program kształcenia lekarzy w języku angielskim (podobny program we współpracy z instytucją z Włoch powstał na Uniwersytecie Jagiellońskim, jednak początkowo nie odniósł sukcesu – red.). Na początku obcokrajowców nie było zbyt wielu, ale potem ich liczba sukcesywnie rosła. O ile pamiętam, do tej pory mamy około 900 absolwentów ze Stanów Zjednoczonych. Ogółem w ciągu 30 lat

UML wykształcił 2522 absolwentów zagranicznych, w tym 1941 na kierunku lekarskim, a resztę na lekarsko-dentystycznym.

Czy wasi absolwenci nie mają problemu z uzyskaniem praw wykonywania zawodu lekarza w swoich krajach? Mam na myśli nie tylko Amerykanów, ale i pozostałe nacje kształcące się w Lublinie?

Wszyscy nasi amerykańscy absolwenci, aby móc ubiegać się o rezydencję w swoim kraju, muszą zdać egzamin licencyjny, który ma dwa etapy: teoretyczny i praktyczny. Studenci amerykańscy, żeby studiować – bo te studia nawet u nas są dosyć drogie, choć oczywiście nieporównywalnie tańsze niż w Stanach Zjednoczonych – korzystali z kredytów federalnych. Żeby je otrzymać, stopień zdawalności egzaminów w grupie, w której studiowali, w tym wypadku w grupie naszych absolwentów, musiał być wyższy od 90 procent, a to jest trudny egzamin. Tam nie ma żadnej bazy pytań, jak na naszym Lekarskim Egzaminie Końcowym. Według naszej wiedzy ponad 90 procent naszych absolwentów pracuje w Ameryce w zawodzie, to znaczy pracują jako lekarze. To bardzo duży odsetek. Oczywiście część nie radzi sobie z tym egzaminem albo podejmuje pracę w sektorze organizacji ochrony zdrowia czy w biznesie.

Do już utrwalonych elementów współpracy międzynarodowej należą nasze programy wspólne, czyli dual degree, w których studia trwają połowę czasu poza granicami naszego kraju i połowę w Polsce. Mamy taki program z Tajwanem. Kiedyś było w Lublinie sporo studentów w tego kraju. Mamy tam teraz ogromny problem, bo doszło do zaostrzenia kryteriów uzyskiwania prawa wykonywania zawodu, co stawia naszych absolwentów w trudnej sytuacji. Dlatego dramatycznie spadła liczba Tajwańczyków zainteresowanych kształceniem lekarskim w Polsce. Natomiast program podwójnych dyplomów mamy też w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Zaczęliśmy go ponad 10 lat temu od 50 studentów rocznie, a w zeszłym roku podpisaliśmy kontrakt na 150 studentów rocznie. Założymy, że będzie ich sukcesywnie więcej, ponieważ pierwsze trzy lata studiują u siebie, a trzy ostatnie u nas, i otrzymują dwa dyplomy. Rozpoczynamy też na stomatologii kształcenie studentów z Emiratów Arabskich. Podobny program mamy w Chinach z Uniwersytetem Medycznym w Wenzhou. To jest bardzo dobry, nowoczesny uniwersytet. Na pewno perspektywiczne jest też spojrzenie na Amerykę Południową.

Czy zmiany w prawie wizowym i wymóg zdania egzaminów językowych nie szkodzi naszym programom anglojęzycznym?

Oczywiście, że obie te sprawy utrudniają nam nabór. Tę sytuację wykorzystują sąsiednie kraje unijne, jak Rumunia, Węgry czy Słowacja, które rozbudowują ofertę anglojęzycznych studiów lekarskich i przejmują część kandydatów.

Jeszcze odnośnie do całego procesu studiów chciałem zwrócić uwagę na fakt, że w ciągu ostatniej dekady zwiększyliśmy także liczbę polskich studentów o około 15 procent. Reaktywaliśmy również program studiów niestacjonarnych na wydziale lekarsko-dentystycznym. Być może z punktu widzenia obywateli polskich to właśnie jest ważniejsze – zwiększenie naboru na studia lekarskie po polsku, bo ich absolwenci w większości zostaną w kraju i będą nas leczyć. Zaczęliśmy kształcić anglojęzycznie i mamy już pierwszych sześciu studentów na Wydziale Nauk o Zdrowiu – to też jest novum. Mamy zatem, poza lekarskimi studiami anglojęzycznymi, sporo innych osiągnięć w obszarze kształcenia.

Kiedyś mówił pan, że baza lokalowa uniwersytetu jest zbyt mała na poważne zwiększenie liczby studentów.

Działamy w kierunku rozbudowy naszej bazy dydaktycznej. Z Krajowego Planu Odbudowy dostaliśmy 180 milionów złotych, które inwestujemy w infrastrukturę edukacyjną. Odważyliśmy się nawet wcześniej zacząć wydawać pieniądze na zaplanowane inwestycje, ponieważ terminarz ich realizacji jest dramatycznie napięty: wynosi półtora roku. Mamy zamiar przebudować całkowicie dwa domy studenckie, odnowić bibliotekę, odnowić na bardzo dobrych warunkach Collegium Anatomicum ulokowane w Collegium Maius, zbudować na terenie naszej hali sportowej nowe Centrum Egzaminów Medycznych z egzaminem OSCI, czyli umiejętności w warunkach symulowanych. Ten egzamin wprowadzono jakiś czas temu w Wielkiej Brytanii. Zyskał międzynarodowe uznanie, jest także niezbędny w standardach amerykańskich, a my, tu w Lublinie, byliśmy jednymi z pierwszych, którzy w zeszłym roku ten egzamin wprowadzili na wydziale lekarskim oraz na stomatologii.

Jakie znaczenie dla medycznego kształcenia międzynarodowego mają akredytacje zagraniczne?

To jest absolutna konieczność. W Stanach Zjednoczonych, jeżeli się nie ma tak zwanych boardów, czyli pozwoleń stanowych na kształcenie – a wydają je specjalne instytucje, jak New York Board czy California Board – nie ma mowy o kształceniu lekarzy. Żeby uzyskać taką akredytację, trzeba spełnić szereg rygorystycznych kryteriów. Uniwersytet Medyczny w Lublinie dostał teraz pozwolenie w stanie Nowy Jork na sześć lat. To jest sytuacja unikalna. Tak samo mamy to pozwolenie w stanie Kalifornia. Cieszymy się z tego, że jako państwo mamy akredytację federalną na osiem lat, ponieważ jesteśmy bardzo aktywni na rynku amerykańskim. Natomiast fundamentalne wręcz było wejście w tym roku do Światowej Organizacji Edukacji Medycznej, co otwiera nam drogę do kształcenia lekarzy w skali całego świata. Chciałbym podkreślić rolę Komisji Jakości Kształcenia Konferencji Rektorów Akademickich Uczelni Medycznych na czele z profesorem Januszem Morysiem w uzyskaniu akredytacji amerykańskiej i wejściu do wspomnianej organizacji. Także nasz były prorektor prof. Kamil Torres miał ogromny wkład w uzyskanie tej akredytacji. Dotyczy całej Polski, co ważne w związku z tym, że rozszerzamy liczbę podmiotów kształcących lekarzy. W ciągu ostatnich dwudziestu lat zwiększyła się ona z 10 do 30. To niesie ze sobą szereg wyzwań i wielkie ryzyko w obszarze jakości kształcenia. Muszę dodać, że nie wszystkie te podmioty należą do KRAUM, gdzie działa wspomniana komi-



Fot. UML

Prof. dr hab. n. med. **Wojciech Załuska** (ur. w 1961 r.) jest kierownikiem Katedry i Kliniki Nefrologii Uniwersytetu Medycznego w Lublinie. Był dziekanem Wydziału Lekarskiego z Oddziałem Anglojęzycznym UML, a obecnie jest rektorem uczelni. Pełni funkcję przewodniczącego Konferencji Rektorów Akademickich Uczelni Medycznych. Jego badania skupiają się wokół kłębuszkowego zapalenia nerek – immunopatogenezy i nowoczesnych form terapii, a w zakresie klinicznym – adaptacji nowych technologii w grupie pacjentów leczonych nerkozastępczo. Jest autorem i współautorem 218 publikacji naukowych. Sumaryczny Impact Factor jego prac wynosi 258,907.

W. Załuska realizował wiele grantów KBN, NCN i ABM. Był koordynatorem programów naukowych realizowanych we współpracy z Fresenius Medical Care (Bod Homburg, Niemcy). Jest członkiem American Society of Nephrology, European Dialysis and Transplantation Association, Polskiego Towarzystwa Nefrologicznego, Polskiego Towarzystwa Transplantologicznego i Lubelskiego Towarzystwa Naukowego.

sja, która dba o kwestie jakości kształcenia. Nasza konferencja zrzesza 15 uniwersytetów – to są stare uniwersytety medyczne, podległe Ministerstwu Zdrowia, i uniwersytety klasyczne, czyli uczelnie o dużym potencjale i zapleczu, na których jakiś czas temu uruchomiono kształcenie lekarzy, oraz Medyczne Centrum Kształcenia Podyplomowego, a zatem połowę podmiotów uprawnionych do kształcenia lekarzy.

Dlaczego do konferencji należy tylko 15 uczelni?

Żeby się do nas dostać, trzeba wypromować absolwentów kierunku lekarskiego, a większość nowych podmiotów kształcących lekarzy jeszcze nie zdążyło tego zrobić. Wiemy też, jakie były problemy wielu tych uczelni ze spełnieniem podstawowych warunków uruchomienia kierunku lekarskiego i z uzyskaniem zgody Polskiej Komisji Akredytacyjnej; widzimy jakie mają problemy z infrastrukturą i kadrami. Musimy się takim podmiotom dokładnie przyglądać: co robią, jak sobie radzą. Także wspomagać je w miarę możliwości, bo nie oszukujemy się, nasza amerykańska akredytacja, dotycząca całego systemu kształcenia lekarzy w Polsce, zależy także od poziomu kształcenia na tych nowych kierunkach lekarskich.

Czy potrzebujemy kształcić lekarzy w tyłu uczelniach i w takiej liczbie jak obecnie?

To jest bardzo dobre pytanie. Trochę bym je doprecyzował: ilu nam potrzeba specjalistów w zawodach medycznych, bo głównie na brak specjalistów możemy narzekać. Zawsze uważałem – to jest mój indywidualny pogląd – że najważniejsza nie jest liczba lekarzy, choć przecież ma znaczenie, ale dobra organizacja pracy. Leczenie ludzi to praca zespołowa, nie tylko lekarzy różnych specjalności, ale także pielęgniarek, farmaceutów, dietetyków itd. Tymczasem u nas lekarz sam niemal za wszystko odpowiada. To jest świetny pomysł, aby zwiększyć aktywność innych osób zaangażowanych w leczenie. Być może także w takim sensie, aby pewne nowe zawody włączyć do listy zawodów limitowanych. W szpitalach ci ludzie powinni pracować w zespołach, bo to daje duże wsparcie lekarzowi prowadzącemu i pacjentowi. Ale przede wszystkim musimy mieć dobrze wykształconą kadrę. I chyba na razie nam się to udaje. Czy utrzymamy poziom po zwiększeniu liczby placówek kształcących lekarzy? Mam wielką nadzieję.

Jestem absolwentem lubelskiej Akademii Medycznej z roku 1986. Połowa moich kolegów z roku, siedem osób, pracuje w USA, Kanadzie i w Wielkiej Brytanii. Oprócz mnie na Uniwersytecie Medycznym został także profesor Leszek Kotula. Chociaż nie jesteśmy, powiedzmy sobie szczerze, w jakiejś superelitarniej lidze, to naprawdę staramy się docierać do wszystkich narzędzi, które gwarantują naszym pacjentom bardzo dobre wyniki leczenia.

Czy jako KRAUM nie martwicicie się o akredytację federalną w kontekście sporej liczby tych nowych, mniejszych podmiotów?

Martwimy się, ale na przyzwanie się sytuacji mamy jeszcze kilka lat, zanim te uczelnie wykształcą pierwszych absolwentów, a ci przystąpią do egzaminu lekarskiego. Może Amerykanie też zmieniają kryteria i zasady, i będą dawać jednostkowe pozwolenie nie na kraj, tylko na określoną uczelnię?

Na to liczy rektor Wojciech Załuska?

To by było dla nas świetne.

Czy problem wizowy jest już przezwyciężony, czy nie?

Nie. Mamy jednak dobrą współpracę z ambasadami w krajach, które nas szczególnie interesują, na przykład w Emiratach Arabskich, w Tajlandii czy w Chinach. Tam jest bardzo dobra organizacja przyznawania wiz. Natomiast jest jeszcze kwestia weryfikacji kompetencji, w tym uznawania osiągnięć, wyników maturalnych i szybkiego działania naszych krajowych instytucji weryfikacyjnych. Mam nadzieję, że będzie dobrze.

Wspomniał pan o potrzebach inwestycyjnych i o środkach z KPO. A jakie są w ogóle potrzeby UML w tym zakresie?

Po pierwsze, chcemy poszerzyć nasze kliniki. Wystąpiliśmy o środki m.in. na budowę hematookologii. Właściwie chcielibyśmy przenieść obecny kompleks ze szpitala klinicznego nr 1 i stworzyć w okolicy szpitala klinicznego nr 4 nową jednostkę, która połączy wszystkie siły w zakresie hematologii, leczenia schorzeń rzadkich i immunologii. To by była inwestycja w granicach dwustu milionów złotych. Dostaliśmy dodatkowe środki w wysokości około 90 milionów złotych na przebudowę infrastruktury onkologii uniwersyteckiego szpitala klinicznego nr 1. Staramy się o dodatkowe środki dla PSK 4 i szpitala dziecięcego. Natomiast naszym marzeniem jest wybudowanie nowego szpitala dziecięcego.

Czy jako rektor Uniwersytetu Medycznego w Lublinie widzi pan potrzebę głębszej integracji uczelni Lublina?

W tej chwili mamy Związek Uczelni Lubelskich, do którego należy nasz uniwersytet. Muszę powiedzieć, że bardzo

pozytywnie odbieram jego funkcjonowanie, nasze wspólne przedsięwzięcia w zakresie dydaktyki i badań naukowych. To nie jest tylko symbol, który sam w sobie też jest niezwykły, a myślę choćby o wspólnej inauguracji roku akademickiego, ale wyjątkowo dobrze zintegrowana instytucja z wieloma realnymi wspólnymi przedsięwzięciami. Oprócz już wskazanych obszarów dodałbym jeszcze sport czy kulturę akademicką. Cały czas idziemy dalej, pogłębiając współpracę z pozostałymi uczelniami ze związku. Natomiast na razie nie ma mowy o głębszej integracji, bo zapewne nie ma takiej potrzeby.

Wspomniał pan o sporych inwestycjach w szpitalach klinicznych. Czy obecny sposób ich finansowania jest korzystny z punktu widzenia uczelni?

Jesteśmy organem założycielskim naszych szpitali klinicznych i one w jakimś sensie są pod naszą kontrolą, ale ich sytuacja finansowa nie obciąża uniwersytetu. Musimy tu rozróżnić dwa, a nawet trzy obszary działalności szpitali klinicznych. Po pierwsze, jak wszystkie szpitale, leczą one pacjentów i to na najwyższym poziomie referencyjności, co w praktyce oznacza, że trafiają do nas pacjenci, którzy gdzie indziej nie mogą być wyleczeni. Ale nasze szpitale tym się różnią od pozostałych, że realizują też zadania dydaktyczne, a także prowadzone są w nich badania kliniczne. Bez tych szpitali uczelnia medyczna, czy każda inna kształcąca w zawodach medycznych, nie mogłaby realizować swojej misji. One są dla nas niezbędne. Mamy własną bazę kliniczną, z czego bardzo się cieszę, bo widzę, jakie kłopoty mają uczelnie, które muszą się posilkować innymi rozwiązaniami. Zadania lecznicze szpitali klinicznych są finansowane z innych środków niż zadania dydaktyczne czy badania naukowe. Także nasi wykładowcy miewają po dwa zatrudnienia: na uczelni i w szpitalu klinicznym. Jest to trochę skomplikowane, ale dajemy sobie radę. Nie mamy jakichś strasznych długów. To także zasługa dyrektorów szpitali, których powołuję jako rektor. Dzięki nowemu dyrektorowi nastąpiła poprawa trudnej do niedawna sytuacji Uniwersyteckiego Szpitala Dziecięcego.

Czy zmniejszenie liczby studentów zagranicznych uderzyło w finanse uniwersytetu?

To oczywiście niekorzystne zjawisko, ale podnieśliśmy cześnie, żeby zrekompensować te straty. Niemniej to jest kłopot, bo nie przewidywaliśmy takiej sytuacji. Uczymy się, jak sobie z tym poradzić.

Konferencja Rektorów Akademickich Uczelni Medycznych, której pan przewodniczy, jako pierwsza bardzo stanowczo wypowiedziała się przeciwko kontynuowaniu obecnej formuły ewaluacji działalności naukowej.

Powiedzmy sobie szczerze: ewaluacja w dotychczasowej formie nie służy niczemu. Przede wszystkim nie daje uczciwej, sprawiedliwej oceny dorobku naukowego. Nie służy też rozwojowi uczelni. Ten system, sprzyjający uczelniom, które mają bardzo mało pracowników naukowych, spowodował, że funkcjonujące od niedawna w małych uczelniach nowe jednostki – mówię o medycynie – wydały się lepsze od tak potężnych, jak choćby Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego czy nasz uniwersytet. Taki sposób obliczania wartości osiągnięć naukowych, który polega na matematycznym modelu rozdziału punktów za wypełnianie tak zwanych slotów – powtórzę, bo chcę to podkreślić: nie służy ani rzetelnemu poznaniu wartości badań, ani rozwojowi nauki. Zatem po co jest?

To jest jeden aspekt. Ale jest też drugi: nie możemy jako uczelnie medyczne być tak samo oceniani, jak na przykład instytucje badawcze, bo przecież mamy zupełnie inne zadania – poza częścią naukową mamy część dydaktyczną i jeszcze część

kliniczną. Dlatego nam ten ciężar musi być jakoś inaczej rozłożony, a wyniki badań muszą być ocenione w takim właśnie kontekście. I o to poprosiliśmy: żeby w ewaluacji oddzielić nas od instytutów badawczych.

Liczycie na to, że uczelnie medyczne czy dyscypliny medyczne będą oceniane inaczej?

Przede wszystkim liczymy na to, że ewaluacja zmieni się całkowicie. Mamy propozycję powołania zespołu z naszymi ekspertami, którzy pomogą sformułować tę ocenę zupełnie inaczej, bo jakaś ewaluacja musi być, co do tego nie mam wątpliwości. Musimy wiedzieć, kto jak pracuje, jakie ma wyniki, w którym jest miejscu w relacji do pozostałych instytucji naukowych. Zapewne są też administracyjne powody posiadania takiej wiedzy. I to akceptuję. Tylko ta wiedza musi być rzetelna na tyle, na ile to możliwe. Konsekwencje oceny są bowiem poważne: kategoria naukowa, z którą wiążą się określone uprawnienia. Na szczęście ministerstwo zapewnia, że wyniki najbliższej ewaluacji nie wpłyną na ich utratę czy zmniejszenie. Podobnie ma być z wpływem na finansowanie.

Rozumiem, że w tej chwili stare uczelnie medyczne muszą być zapleczem kadrowym dla młodych?

To jest złożony problem, bo oczywiście one często sięgają po naszych nauczycieli akademickich, szczególnie w obszarze senioralnym. Trzeba przyznać, że nasza oferta finansowa dla lekarzy-dydaktyków nie jest atrakcyjna, dlatego tak ważne jest łączenie etatu akademickiego z klinicznym – lekarskim. Tu każda uczelnia musi poradzić sobie w miarę swoich możliwości.

Wspominał pan o podwójnym zatrudnieniu pracowników: w uczelni i w szpitalach. Dotyczy to także osób zatrudnionych na stanowiskach badawczych, które nie mają obowiązków dydaktycznych. Zamierza pan ograniczyć tego rodzaju zatrudnienia? Jaki ma to mieć wpływ na sytuację uczelni?

Rzeczywiście analizujemy model podwójnego zatrudnienia, szczególnie w przypadku pracowników naukowych, którzy nie mają obowiązków dydaktycznych, a jednocześnie pełnią etaty w szpitalach klinicznych. Chcę bardzo wyraźnie podkreślić: nie chodzi o ograniczenie współpracy uczelniano-szpitalnej, która jest fundamentem kształcenia medycznego, lecz o zapewnienie właściwych proporcji między działalnością badawczą a kliniczną. Zależy mi na tym, by pracownicy naukowci, którzy są zatrudnieni na etatach badawczych, rzeczywiście mogli wykonywać pracę badawczą w pełnym wymiarze, aby podnosić jakość i konkurencyjność naszej nauki, a tym samym prestiż Uniwersytetu Medycznego w Lublinie. Podwójne zatrudnienie niekiedy prowadzi do nadmiernego rozdrobnienia obowiązków i obniżenia efektywności, co nie służy ani uczelni, ani szpitalowi. Dlatego chcemy, aby te role były bardziej czytelne i adekwatne do odpowiedzialności: kto jest zatrudniony do badań, powinien mieć czas na badania; kto odpowiada za działalność kliniczną, powinien mieć możliwość pełnego zaangażowania w leczenie pacjentów. Uczelnia i szpitale działają w ścisłej symbiozie, ale każda z tych placówek ma swoją misję. Uporządkowanie kwestii podwójnych etatów pozwoli nam skuteczniej zarządzać kadrą, zwiększyć jakość dorobku naukowego oraz lepiej przygotować się do przyszłych procesów akredytacyjnych.

Na uniwersytecie nastąpiły też zmiany kadrowe we władzach, odszedł zasłużony dla uzyskania międzynarodowych akredytacji prorektor Torres. Jaki jest cel tych zmian?

Każda kadencja i każda instytucja przechodzi przez naturalne procesy zmian personalnych, wynikające z rotacji, nowych wyzwań i ewolucji priorytetów. Zmiany, które wprowadzili-

śmy, mają przede wszystkim zapewnić ciągłość i sprawne zarządzanie w okresie wymagającym intensywnego działania: prowadzimy wielkie inwestycje infrastrukturalne, rozszerzamy programy międzynarodowe i przygotowujemy się do nowego modelu ewaluacji. Potrzebowaliśmy struktury organizacyjnej, która pozwoli dynamicznie reagować na te wyzwania i dobrze rozdzielić odpowiedzialność pomiędzy członkami władz. To są decyzje podejmowane z myślą o przyszłości uczelni, jej stabilności i bezpieczeństwie funkcjonowania. Uczelnia musi być instytucją, która potrafi wykorzystać potencjał wielu osób i jednocześnie zapewniać ciągłość spraw strategicznych. Zmiany służą wzmocnieniu tego procesu.

Opowiedział się pan za likwidacją staży lekarskich.

To poważna zmiana w systemie kształcenia.

Jakie są za tym argumenty? Czy to nie zmniejszy kompetencji tych, którzy mają nas leczyć?

Moje stanowisko w tej sprawie wynika z oceny jakości współczesnego kształcenia medycznego. Dzisiejsze programy studiów – zarówno te prowadzone w Polsce, jak i ich odpowiedniki w Europie – są znacznie bardziej rozbudowane niż 20 czy 30 lat temu. Studenci odbywają bardzo liczne i intensywne praktyki kliniczne oraz zajęcia przy pacjencie, a dodatkowo wprowadzono nowoczesne narzędzia egzaminacyjne, wspomniany już OSCI. W tak zaprojektowanym systemie staż lekarski staje się powtórzeniem tego, co student już przeszedł w trakcie studiów. W wielu krajach europejskich staże zostały zniesione lub znacząco skrócone, ponieważ uznano, że kluczowe kompetencje praktyczne są nabywane wcześniej. Podkreślam: likwidacja stażu nie oznacza zmniejszenia wymagań wobec młodych lekarzy. Przeciwnie, oznacza większą odpowiedzialność uczelni za ich przygotowanie. Nasze programy nauczania zostały mocno zmodyfikowane i rozbudowane tak, aby absolwent mógł płynnie wejść w system specjalizacji, a także, aby maksymalnie skrócić dystans między końcem studiów a rozpoczęciem pracy zawodowej. To rozwiązanie wspiera zarówno system ochrony zdrowia, który potrzebuje lekarzy szybciej, jak i samych absolwentów, którzy mogą wcześniej rozpocząć specjalizację i rozwój zawodowy.

Czy zażegnanie kryzysu jest jedynym celem i życzeniem rektora na 75-lecie uczelni?

Jak pan widzi jej dalszy los i czego jej i sobie życzy?

Zażegnanie kryzysu finansowego jest ważne, ale nie jest jedynym celem na 75-lecie naszej uczelni. Patrzymy przede wszystkim na rozwój i umacnianie pozycji Uniwersytetu Medycznego w Lublinie, zarówno w Polsce, jak i na świecie. Chcemy utrzymać miejsce lidera wśród uczelni lubelskich oraz konsekwentnie wzmocnić naszą pozycję wśród uczelni medycznych, opierając się na silnych kierunkach klinicznych, jak choćby okulistyka czy hematologia, oraz na pracy wybitnych profesorów, którzy stanowią wizytówkę uczelni. Jubileusz skłania też do refleksji nad historią UML. Uczelnia powstawała w trudnych warunkach jako część UMCS, a jej rozwój zawdzięczamy determinacji wielu osób, w tym mojego Ojca, który po powrocie z Syberii rozpoczął tu pracę. Dziś jesteśmy w zupełnie innym miejscu – z międzynarodową rozpoznawalnością, licznymi akredytacjami i ambitnymi inwestycjami. Patrzymy w przyszłość: budowa nowego szpitala dziecięcego, rozwój nowoczesnych centrów klinicznych, w tym okulistyki, oraz wzmocnienie badań naukowych i dialogu społecznego to nasze główne cele. Życzę naszej uczelni, aby pozostała wspólnotą silną, otwartą i odważną, a sobie – abyśmy mogli dalej stabilnie realizować tę misję.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Polonistyka: jak to możliwe, że nie?

Słabo wygląda liczbowo nasza polonistyka. Niewielu chce się do niej afiliować, niewielu podejmuje studia z języka i kultury polskiej. Tej kultury, której brak tak widać na co dzień.

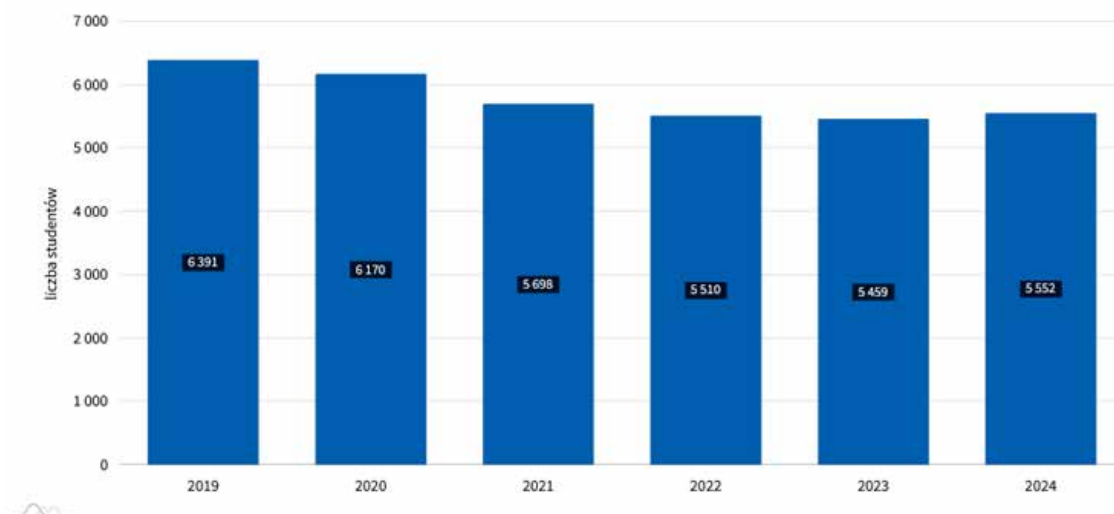
Polonistyki nigdy nie było. Nie żeby w ogóle, ale nie było jako wyodrębnionej dyscypliny naukowej. Badacze literatury i języka polskiego afiliowali się w literaturoznawstwie i językoznawstwie, podobnie jak germaniści, sinolodzy czy łacinnicy. I nikomu to przez lata nie przeszkadzało, bo dyscypliny nie były ważne. Ważne były instytucje, a w tym wypadku: wydziały i instytuty (np. polonistyki czy filologii polskiej), ale nawet katedry i zakłady (np. średniowiecznej polszczyzny). Wraz z reformą systemu nauki, zwieńczoną w 2018 roku ustawą Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, wszystko się zmieniło. Dotychczasowi poloniści, czy to literaturoznawcy, czy językoznawcy, wskutek konieczności przypisania się do jednej bądź drugiej z wymienionych dyscyplin utracili polonistyczną tożsamość, mieszała się z anglistami, japonistami, rusycystami. Po jakimś czasie zorientowano się – nie bez znaczenia było zapewne coraz mniejsze zainteresowanie studiami polonistycznymi, przecież jeszcze jakieś 20-30 lat temu obleganiymi – że czegoś nam brakuje w naszym ułomnym zestawieniu dyscyplin naukowych.

Podczas jednego z posiedzeń Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich, zapewne w początkach 2022 roku, prof.

Ryszard Koziołek, rektor Uniwersytetu Śląskiego, polonista, zaproponował utworzenie dyscypliny polonistyka, rozumianej jako studia nad polszczyzną w najszerszym rozumieniu. Wypowiedział się o tym wówczas – już po wpisaniu polonistyki na oficjalną listę dyscyplin – na łamach „Forum Akademickiego” (FA 12/2022, *Polonistyka jako powinność*): „Podział badań nad językiem i literaturą polską na dwie dyscypliny: językoznawstwo i literaturoznawstwo, budził od początku wiele wątpliwości, które prezentowano m.in. podczas zjazdów polonistów. Z tych refleksji wyłoniła się propozycja ustanowienia dyscypliny polonistyka, jednak rozumianej inaczej niż prosta synteza lub odnowienie filologii polskiej pod postacią «filologii narodowej». (...) badania nad kulturą polską powinny mieć szczególne miejsce w polityce naukowej państwa, podobnie jak dzieje się to w innych krajach.

W najbardziej lapidarnym uproszczeniu polonistyka jako dyscyplina naukowa powinna badać «polszczyznę», przez który to przedmiot rozumiem wszelkie manifestacje kulturowe, których medium jest język polski, łącznie z nim samym, czyli polszczyzną jako repertuarem jej odmian współczesnych i histo-

Liczba studentów



rycznych. Byłaby to zatem polonistyka bardziej w rozumieniu Polish studies niż filologii polskiej.

Luminarze badań nad literaturą polską, jak choćby Maria Janion czy Henryk Markiewicz, w swoich wielkich pracach postrzegali język i literaturę polską jako składnik i przyrządek postrzegania procesów i zjawisk historycznych, społecznych, ekonomicznych itp. Podobnie metodologia badań polonistycznych wykraczała i wykracza poza językoznawstwo i literaturoznawstwo.

Istotna jest odpowiedzialność polonistyki akademickiej wobec polonistyki szkolnej, która przecież kształci ucznia kompleksowo, w zakresie wiedzy o kulturze polskiej: języku, literaturze, teatrze, filmie, muzyce, sztukach plastycznych. (...) Język polski jest nie tylko ważnym przedmiotem szkolnym, ale kształci zdolności operacyjne niezbędne do funkcjonowania w społeczeństwie, w kulturze, w pracy zawodowej, w świecie”.

Przytaczam aż tak obszerny fragment tej wypowiedzi, bo wciąż jest aktualna i ważna. Argumenty trafiły do rektorów uniwersytetów, którzy złożyli stosowny wniosek do ministra nauki – był nim wówczas dr hab. Przemysław Czarnek, prawnik – a ten uznał, że stoją za nim poważne racje i ustanowił w dziedzinie nauk humanistycznych nową (w każdym sensie, bo taką, jakiej nigdy wcześniej nie było) dyscyplinę o nazwie polonistyka.

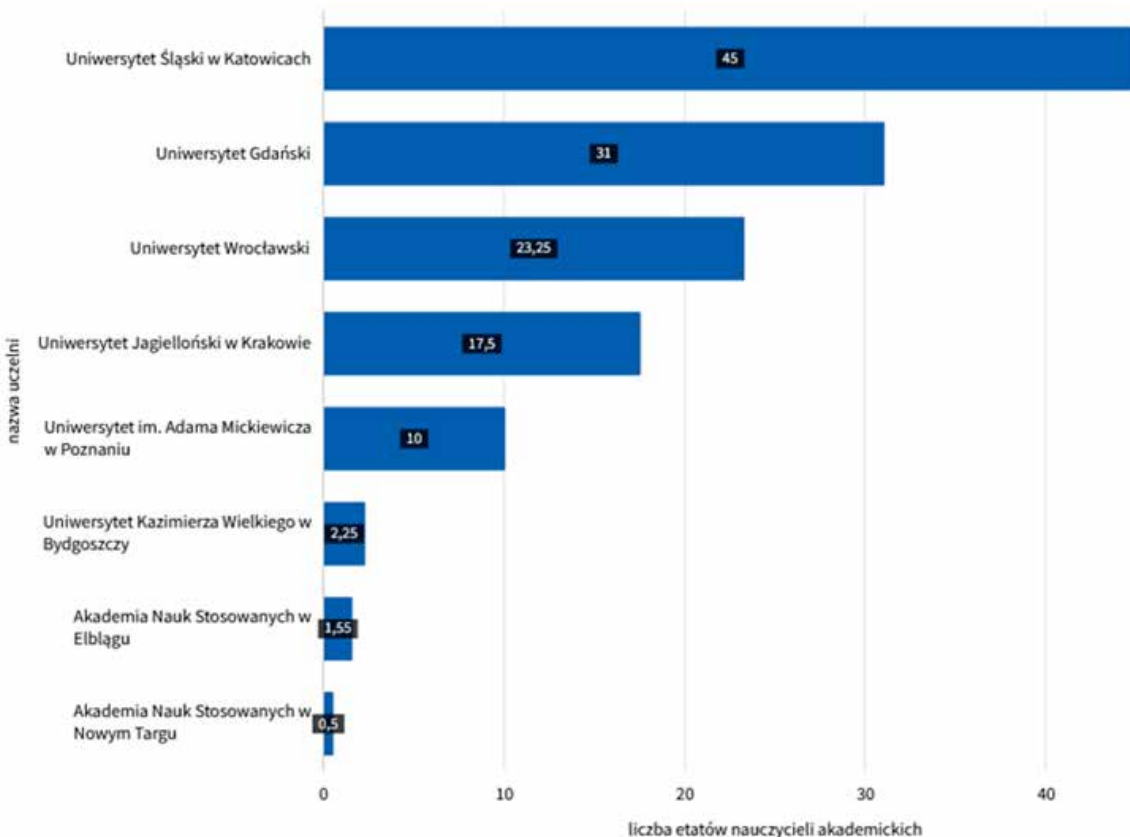
Obecnie polonistyka zaistniała jako odrębna dyscyplina badawcza w dziesięciu uczelniach (dane podlegają jeszcze fluktuacjom), choć specjaliści z Ośrodka Przetwarzania Informacji radzą brać pod uwagę tylko 8, wykazywanych w metodologii, w której przygotowuje się dane dla Głównego Urzędu Statystycznego (dane na koniec 2024 roku – stabilniejsze, pewniejsze). Te uczelnie to pięć dużych uniwersytetów, chciałby się powiedzieć: tylko pięć z ponad dwudziestu uniwersytetów klasycznych. Klasycznych bez polonistyki? Już coś mi tu nie

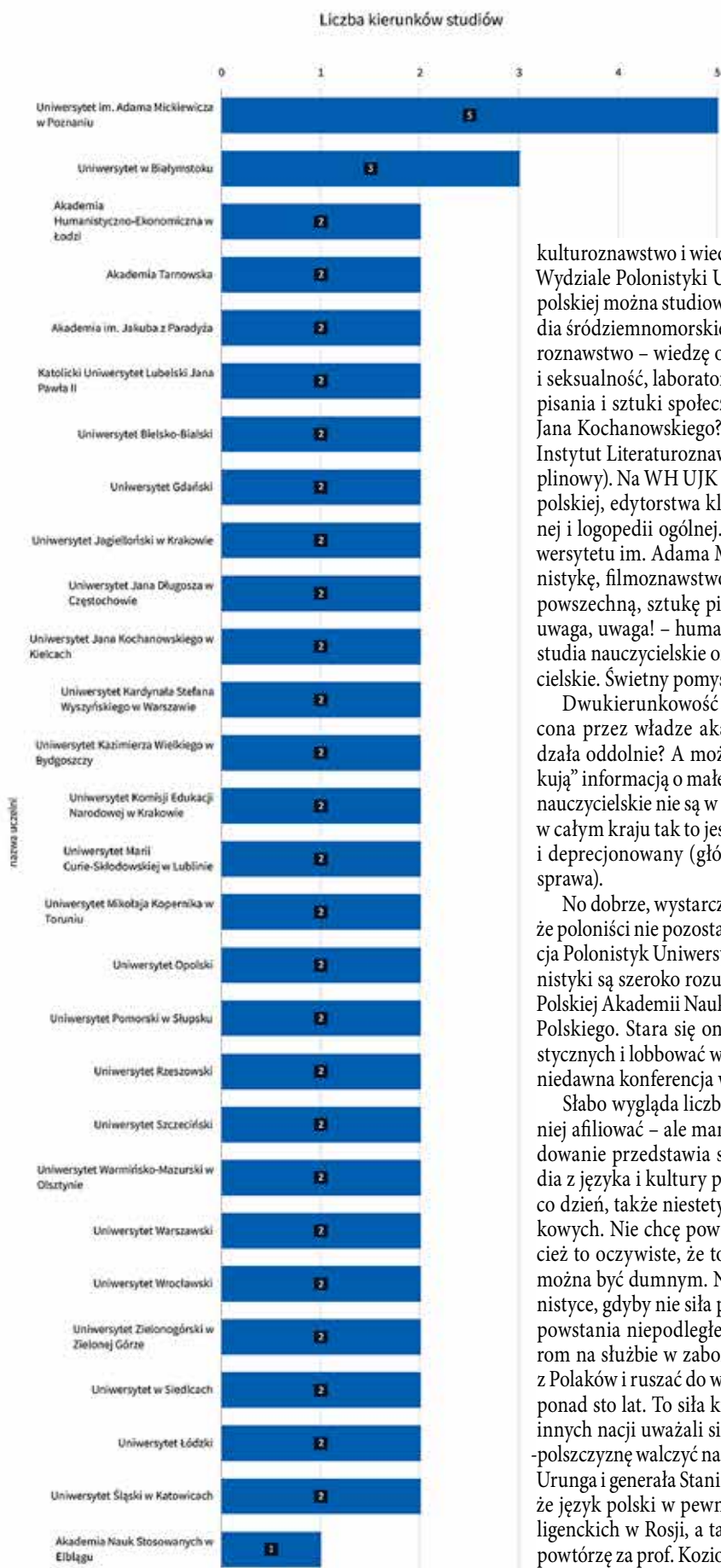
gra. Polonistyka nie jest powszechna na polskich uniwersytetach? Jak się okazuje, nawet na tych pięciu wielkich ma kłopoty z istnieniem. W obliczu ewaluacji działalności naukowej część kadry woli wrócić do swoich poprzednich dyscyplin: literaturoznawstwa bądź językoznawstwa. O takiej tendencji poinformował mnie szef rady dyscypliny polonistyka na Uniwersytecie Jagiellońskim prof. Krzysztof Zajas. Ale nie tylko z Krakowa płyną takie informacje.

Zgodnie z danymi przekazanymi przez Ośrodek Przetwarzania Informacji na wszystkich ośmiu uczelniach polonistyki zatrudnieni są na 131,05 etatach. To nie znaczy, że tyle osób wybrało przypisanie do polonistyki. Zapewne jest ich więcej, bo wielu naukowców tylko w części przypisało się do polonistyki, dzieląc ją np. z literaturoznawstwem czy naukami o kulturze i religii. Inna metodologia pokazuje imiennie 152 polonistów – w całym kraju, obecnie. Proszę Państwa: 152 polonistów w trzydziestoosmiomilionowym państwie!

Polonistyka to także kształcenie, choć nie ono będzie przedmiotem kilku artykułów, które nastąpią po tym tekście „zapoznawczym”, a których autorzy opisują i komentują sytuację uniwersyteckiej polonistyki. Według RAD-onu filologię polską (także jako obcą) oferuje 27 uczelni. W 2024 roku kształciło się na tych kierunkach łącznie 5552 studentów. Ta liczba w ciągu ostatnich pięciu lat spadła o ponad pół tysiąca, podczas gdy w tym samym okresie ogólna liczba studentów wzrosła o ponad 60 tysięcy. Niektórzy naukowcy sugerują, że już pojawiają się kłopoty z dostarczeniem odpowiedniej liczby specjalistów do nauczania języka polskiego w szkołach. Żeby przyciągnąć kandydatów na studia, liczne wydziały i instytuty polonistyki/filologii polskiej oferują rozmaite inne, także pokrewne kierunki. Na Uniwersytecie Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie (dawniej kuźni kształcenia nauczycieli) Instytut Filologii Polskiej oprócz typowej filologii polskiej oferuje także

Liczba etatów nauczycieli akademickich





Źródło wykresów OPI-PIB

kulturoznawstwo i wiedzę o mediach oraz lingwistykę kliniczną. Na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego oprócz filologii polskiej można studiować filologię bałtycką, filologię klasyczną i studia śródziemnomorskie, filologię polskiego języka migowego, kulturoznawstwo – wiedzę o kulturze, logopedię ogólną i kliniczną, płęć i seksualność, laboratorium – praktyki tekstowe, slawistykę, sztukę pisania i sztuki społeczne. A jak jest w Kielcach na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego? Na dużym Wydziale Humanistycznym jest Instytut Literaturoznawstwa i Językoznawstwa (czyli podział dyscyplinowy). Na WH UJK można się kształcić m.in. w zakresie: filologii polskiej, edytorstwa klasycznego i cyfrowego, lingwistyki stosowanej i logopedii ogólnej. Wydział Filologii Polskiej i Klasycznej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oferuje m.in.: bałkanistykę, filmoznawstwo i kulturę mediów, geoslawistykę, literaturę powszechną, sztukę pisania, Polacy i Niemcy w Europie, a także – uwaga, uwaga! – humanistykę w szkole: polonistyczno-historyczne studia nauczycielskie oraz polonistyczno-filozoficzne studia nauczycielskie. Świetny pomysł na kształcenie praktyczne!

Dwukierunkowość niegdyś była promowana, ale została zarzucona przez władze akademickie, ministerialne. Czyżby się odradzała oddolnie? A może zaraz poznańscy poloniści mnie „zwyrfikują” informacją o małej popularności tych kierunków, wszak studia nauczycielskie nie są w modzie, a sam zawód słabo płatny (na pewno w całym kraju tak to jest traktowane, także na Ścianie Wschodniej?) i deprecjonowany (głównie przez samych nauczycieli, ale to inna sprawa).

No dobrze, wystarczy przykładów i liczb. Na koniec dodam tylko, że poloniści nie pozostają bierni wobec tej sytuacji; istnieje Konferencja Polonistyk Uniwersyteckich grupująca 22 uczelnie (a zatem polonistyki są szeroko rozumiane, nie tylko dyscyplinowo) i 2 instytuty Polskiej Akademii Nauk: Instytut Badań Literackich i Instytut Języka Polskiego. Stara się ona koordynować działania jednostek polonistycznych i lobbować w interesach tej dyscypliny, czego przykładem niedawna konferencja w Senacie RP.

Słabo wygląda liczbowo nasza polonistyka. Niewielu chce się do niej afiliować – ale mamy autora, prof. Dariusza Rotta, który zdecydowanie przedstawia się jako polonista – niewielu podejmuje studia z języka i kultury polskiej. Tej kultury, której brak tak widać na co dzień, także niestety w mediach, tych rozsądnikach błędów językowych. Nie chcę powtarzać argumentów prof. Koziołka, ale przecież to oczywiste, że to język i kultura budują tożsamość, z której można być dumnym. Nie byłoby nas i nie rozmawialibyśmy o polonistyce, gdyby nie siła polskiej kultury, która na wieść o możliwości powstania niepodległego Państwa Polskiego kazała polskim oficerom na służbie w zaborczych armiach formować oddziały złożone z Polaków i ruszać do walki o kraj, którego nie było na mapach przez ponad sto lat. To siła kultury sprawiała, że wybitni przedstawiciele innych nacji uważali się za Polaków i gotowi byli za nową ojczyznę-polszczyznę walczyć na śmierć i życie (że przypomnę admirała Józefa Urunga i generała Stanisława Szeptyckiego). To siła kultury sprawiała, że język polski w pewnych okresach był popularny w kręgach inteligentnych w Rosji, a także w innych krajach naszego regionu. Tak, powtórzę za prof. Koziołkiem, polonistyka jest, a raczej być powinna, naszym narodowym skarbem, a dbałość o nią powinnością państwa. Bez języka i kultury – a mamy wobec nich ogromne zaniedbania! – nie przetrwamy.

Tomasz Mizerkiewicz

Nie-szyfowe prace, czyli o zniszczeniu polonistyki

Za rok zostaną zamknięte pierwsze polonistyki w mniejszych ośrodkach akademickich – ciekawe kogo zatrudnią wtedy dyrektorzy szkół działających w tamtych regionach dzwoniący od dawna do tych likwidowanych polonistyk z prośbami o nowych absolwentów.

Jest tylko jedna dziedzina, która przynosi Polsce regularnie, ostatnio raz na 25-30 lat, Nagrodę Nobla. Jest nią literatura polska. Dlaczego się to udaje? Z powodu dobrych instytucji promocyjnych, aktywności pism literackich, stosującej bezkompromisowe kryteria wartościowania krytyce literackiej i... dzięki polonistyce. Andrzej Skrendo zauważył kiedyś, że do kanonu wchodzi tylko dzieła opatrzone kanonicznymi interpretacjami. Przygotowaniem tych interpretacji zajmują się polonistki i poloniści, to oni wypuszczają w świat nie tylko informacje o polskich utworach, ale i eksportują już gotową wiedzę literaturoznawczą na ich temat. Od zawsze polskie literaturoznawstwo było przy tym znakomicie skomunikowane ze światem, a do tego wspierało sztukę przekładu polskich utworów na języki obce. Jeden przekład na język dominujący – kiedyś francuski, teraz angielski – nie załatwiał nigdy sprawy, musiała to być strategicznie zaplanowana seria przekładów na wiele języków, w tym skandynawskie. W finale bowiem toczy się bardzo subtelna rozgrywka w środowiskach sztokholmskich, ale arkana wiedzy i na ten temat posiedli ludzie polskiej literatury i polskiego literaturoznawstwa.

Kamień na kamieniu

Co w podobnej sytuacji winien uczynić decydujący dysponent dysponujący środkami na badania w Polsce? Racjonalna byłaby jedna jedyna zasada: najpierw zabezpieczam środki dla tych, którzy efektywnie budują markę Polski w skali globalnej, czyli dla polonistów i polonistek, a dopiero potem zajmuję się innymi. Mówiąc inaczej: decydujący ów postąpiłby dokładnie tak, jak wspiera się potężnymi budżetami germanistykę w Niemczech czy romanistykę we Francji, gdyż wszystkie kraje G20 walczą bezpardono o prestiż swojego języka jako języka nauki. Zatem sama już sprawa Nagrody Nobla – pomijam wiele innych, ważniejszych nawet powodów – powinna spowodować, że pań-

stwo polskie otoczy specjalną opieką i udzieli wsparcia polonistyce. Tymczasem nie tylko rozdaje się dofinansowania wszystkim dyscyplinom wokół oprócz polonistyki, ale i w czasie, gdy kierowali nauką ministrowie Jarosław Gowin i Przemysław Czarnek podjęto decyzje, które miały przy okazji dyscyplinę polonistykę zniszczyć kompleksowo i niezwykle starannie, tak ażeby nie pozostał po niej kamień na kamieniu.

Jeszcze do czasu, gdy urzędowała minister Barbara Kudrycka, możliwe były korekty pewnych koncepcji w reakcji na głosy środowiska polonistycznego. Był wówczas projekt, by punktowane były wyłącznie publikacje w językach kongresowych, ale po interwencji polonistyk zmieniono ten zapis na publikowanie „w języku właściwym dla danej dyscypliny”. Potem jednak już nikt środowiska polonistycznego nie słuchał i przyjęto rozwiązania, które miały doprowadzić polonistykę do ruiny. Najpierw minister Gowin mimo środowiskowych petycji nie zgodził się na wpisanie polonistyki do ministerialnego wykazu dyscyplin. W rezultacie zasłużone instytuty filologii polskiej w większości rozwiązano, a polonistów zmuszono do zapisania się do innych dyscyplin. Minister Czarnek raz po raz nagle awansował kilka czasopism publikujących w języku polskim, często jednak były to decyzje co najmniej dwuznaczne, dlatego jego następcą je zaraz uchylili. Samej zasady wyższości publikacji anglojęzycznych nad polskojęzycznymi w każdym razie nie naruszono.

Co do polonistyki, to minister Czarnek po kilku latach nagle ogłosił, że można się zapisywać do polonistyki, ale... kazał za to słono zapłacić. Przez analogię do pewnej decyzji polskiego rządu sprzed dwustu lat mówiliśmy wtedy gorzko, że minister Czarnek zdjął nam kajdany razem z butami. Nie tylko przypilnował, żeby polonistykę miała najniższą możliwą kosztochłonność, ale też, pomimo licznych próśb, nie wprowadził regulacji, która osobie przechodzącej do nowej na danej uczelni dyscypliny pozwoliłaby do czasu ewaluacji wnieść do niej swoją

dotychczasową ocenę parametryczną. W efekcie minister nie musiał na pracownika naukowego przechodzącego do polonistyki naliczać 1/3 subwencji. Tylko pięć uczelni zdecydowało się w tej sytuacji ponieść straszne koszty stworzenia dyscypliny polonistyka, w większości uniwersytetów nadal nie ma tej dyscypliny, nie z winy ich władz ani nie z winy opieszałości w działaniu polonistek i polonistów. Dodatkowo zresztą na niektórych uczelniach odejście polonistów z dotychczasowych dyscyplin doprowadziłoby do ich zapaści. Symbolem dokonania ministrów Gowina i Czarnka pozostanie na zawsze fakt, iż w Warszawie, w stolicy Polski nie ma już polonistyki. Są studia polonistyczne, ale żadna uczelnia warszawska nie utworzyła dyscypliny naukowej polonistyka.

Potencjał polszczyzny

Wróćmy jeszcze do Nagrody Nobla. Drugim czynnikiem sukcesów noblowskich naszych pisarek i pisarzy jest polszczyzna. Nie mógł się nadziwić szwedzki laudator Olgi Tokarczuk, jakim to fenomenem musi być ta polszczyzna, która tak często rodzi zdumiewających cały świat pisarzy i pisarki. Nam byłoby łatwiej powiedzieć, że język polski z powodu strukturalnego skomplikowania pozwala nazywać najróżniejsze niuansy znaczeń, myśli, emocji. Badana przez polonistykę wielość odcieni znaczeniowych, jakie możemy nadawać słowom dzięki samym zmiennym końcówkom wyrazowym, pozwala najściślej doprecyzowywać każdą myśl, koncepcję, wyobrażenie. Jeśli ktoś nie jest pewien, czy wie, o czym w tym miejscu mówię, wystarczy, że przeczyta *Dziewczynę* Bolesława Leśmiana. Gigantyczny potencjał polszczyzny jest zatem tym, co unosi polskie pisarki i pisarzy na wyżyny, gdyż daje im niesłychane wprost możliwości wyrażeniowe.

Co w tej sytuacji zrobiło nasze ministerstwo w czasie rządów ministrów Gowina i Czarnka? Usunęło język polski z nauki w Polsce. Wprowadzono bardzo wydajny system, wedle którego za publikację w języku polskim można otrzymać maksymalnie połowę punktów, jakie uzyskaloby się za tę samą publikację po angielsku. W efekcie nastąpiła natychmiastowa ucieczka uczonych od języka polskiego, a z upierającymi się do dziś przy publikowaniu po polsku rozprawi się nadchodząca parametryzacja. **Język polski przestał być językiem nauki w Polsce.** Potencjał, z którego żyje polska literatura i towarzysząca jej polonistyka, kapitał kulturowy przynoszący Polsce Nagrody Nobla został zabrany polskim uczonym. A przecież dla dobra nauki zdrowsza jest sytuacja, jaka panowała wcześniej, czyli faktyczna dwujęzyczność, a nawet wielojęzyczność nauki. Dlaczego polskie uczone i polscy uczeni mają myśleć wyłącznie w jednym, i to koniecznie obcym, języku? „Granice mojego języka są granicami mojego świata”, powiedział swego czasu Ludwig Wittgenstein, dlaczego zatem mamy ten świat języka zubażać, krępować zdolność innowacji i myślenia naszych uczonych? Domyślić się w każdym razie dość łatwo, że w takiej sytuacji polonistyka znalazła się na samym dnie świata urzędzonego według błędnych doktryn ministerialnych.

Obowiązkowa składowa etosu

Czego chce dzisiaj środowisko polonistyczne stale uparcie się reintegrujące mimo rozproszenia i podzielenia? Po pierwsze, żąda ono stanowczo, **aby język polski znowu był równoprawnym językiem nauki w Polsce** i żeby instytucje państwa mu to zagwarantowały, gdyż rozwój naukowego języka polskiego należy do długofalowych strategicznych interesów Polski. Nie jest dopuszczalne, aby najlepsze pisma polonistyczne i monografie polonistyczne mogły mieć tylko połowę punktacji przyznawanej publikacjom obcojęzycznym, muszą mieć punktację równą najwyżej punktowanym publikacjom w języku angiel-

skim. Publikowanie w języku polskim należy zresztą do obowiązkowych składowych etosu polskiego uczonego i polskiej uczoney. Kiedy widzę uczonych, którzy dzisiaj skwapliwie i całkowicie uciekli od polszczyzny, to zawsze przypomina mi się Florian Znaniecki. Jako światowej sławy socjolog zrobił karierę na uczelniach amerykańskich i mógł tam wygodnie się urządzić, ale Polska odzyskała niepodległość, wrócił więc do kraju i zbudował podstawy socjologii uprawianej także w języku polskim. Każdy z nas może sobie dzisiaj zadać pytanie: ile artykułów naukowych (nie: popularnonaukowych) w języku polskim opublikowałem w ostatnich pięciu latach oraz ile monografii naukowych w języku polskim opublikowałam w ostatnich dziesięciu latach? Jeśli czegoś nie zmienimy, to niedługo czeka nas dość zabawna sytuacja. Studenci politechnik ukraińskich bowiem uczą się teraz obowiązkowo polskiego naukowego języka technicznego. Za kilka lat już jako młodzi uczeni podczas spotkania z uczonymi z polskich politechnik dowiedzą się zapewne, że są jedynymi na świecie użytkownikami polskiego naukowego języka technicznego.

Po drugie, polonistki i poloniści domagają się, aby wzorem wszystkich innych liczących się krajów, strategicznie ważna dla państwa polskiego dziedzina, jaką jest polonistyka, była prowadzona w jednostkach o bardzo dużych budżetach pozwalających im swobodnie działać w skali międzynarodowej. Polonistyka powinna zawsze posiadać co najmniej 50 procent kosztochłonności dyscypliny posiadającej aktualnie najwyższą kosztochłonność. Obecnie polonistyka musi mieć **kosztochłonność 2.0**, zarówno jeśli chodzi o koszty kształcenia, jak i koszty prowadzenia badań. Za rok zostaną zamknięte pierwsze polonistyki w mniejszych ośrodkach akademickich. Ciekawego zatrudnią wtedy dyrektorzy szkół działających w tamtych regionach dzwoniący od dawna do tych likwidowanych polonistyk z prośbami o nowych absolwentów. Kosztochłonność 2.0 pozwoliłaby uratować te najsłabsze polonistyki, a wszystkie inne ośrodki otrzymałyby szansę na powstanie z gruzów i przygotowanie do realizacji wielkich cywilizacyjnych wyzwań, jakie stoją przed nimi jako reprezentantkami flagowej dyscypliny kraju z pierwszej dwudziestki gospodarek świata. Dodać zresztą można, że Rada Doskonałości Naukowej określiła polonistykę jako obszar badań interdyscyplinarnych obejmujących potencjalnie wszystkie dyscypliny humanistyczne. Najwyższej wyceniana z nich ma właśnie kosztochłonność 2.0, jest to zatem racjonalny minimalny próg kosztochłonności dla polonistyki.

Po trzecie, środowiska polonistyczne domagają się wprowadzenia regulacji, która pozwoli **osobom przechodzącym do dyscypliny nowej na ich uczelni zachować ocenę parametryczną**, bo dopiero wtedy dowiemy się, ile będzie polonistyk i jak silnych liczbowo. Po utworzeniu pięciu rad naukowych dyscypliny polonistyka nikt więcej nie utworzy następnych, jeśli taki zapis ustawowy się nie pojawi. Sprawa nie dotyczy tylko samej polonistyki, ale paraliżuje rozwój innych nowych dyscyplin w Polsce.

Akt uszanowania

Sprawy powyższe bardzo mocno wybrzmiały podczas konferencji „Polonistyka i jej strategiczne znaczenie dla państwa polskiego”, jaka odbyła się 27 października 2025 r. w Senacie Rzeczypospolitej Polskiej. Okazuje się, że to Senat RP jest jednym z pierwszych urzędów, który dostrzegł opłakaną sytuację polonistyk, być może przy okazji zajmowania się sprawami Polonii i kontaktów z polonistykami zagranicznymi, co należy do jego konstytucyjnych zadań. A może dlatego, że wice-marszałkiem senatu jest Rafał Grupiński, polonista z wykształcenia, gdyż to on podjął decyzję o organizacji tego ważnego wydarzenia, w którym wzięła też udział wiceminister Karolina

Ziolo-Puzuk. Dla uczestniczek i uczestników konferencji był to pierwszy od wielu lat sygnał, że władze państwa polskiego są skłonne przemyśleć swoją decyzję o odejściu od języka polskiego jako języka nauki w Polsce. Był to też pierwszy od wielu lat akt uszanowania środowiska naukowego tak źle potraktowanego, a tak silnie związanego z polskim językiem, literaturą i kulturą. Wiemy, że ministerstwo zaproponowało teraz częściowy powrót do wysokiej punktacji czasopism i monografii w języku polskim, ale też jesteśmy pewni, że propozycja ta spotka się z ostrą krytyką. Mamy mimo wszystko nadzieję, że konferencja w Senacie RP oraz ważna rozmowa o polonistyce, jaka się tam odbyła, będzie początkiem zmiany losu ośrodków polonistycznych.

Kiedy Stefan Żeromski pisał o próbach rusyfikacji polskiej młodzieży, pokazywał, że odbywało się to także przez

zmuszanie jej do czytania książek naukowych napisanych po rosyjsku. Pisarz chciał nas pocieszyć i przekonywał, że tak zaplanowane oderwanie od polskości się nie udało, dlatego zatytułował swe dzieło *Szyfowe prace*. Tymczasem współcześnie udało się w okresie mniejszym niż dekada usunąć język polski z nauki w Polsce, a środowisko polonistyczne rozproszyc, spauperyzować i pozbawić jakiegokolwiek prestiżu. Działania ministra Gowina, ministra Czarnka oraz ich zwolenników to były zasmucająco skuteczne, nie-szyfowe prace.

Prof. dr hab. Tomasz Mizerkiewicz, przewodniczący Konferencji Polonistyki Uniwersyteckich, dziekan Wydziału Filologii Polskiej i Klasycznej UAM w latach 2016-2024



Polonistyka bez polonistyki

Paradoks zafundowany przez decydentów

Filologia narodowa pod każdą szerokością geograficzną służy podtrzymaniu kulturowej ciągłości wspólnoty.

By paradoks ten zrozumieć i dostrzec jego skutki w skali ogólnopolskiej, trzeba powrócić do początku, czyli do 2018 roku. Reforma nauki i szkolnictwa wyższego, wdrożona wtedy po szerokich konsultacjach środowiskowych (czy z uwzględnieniem stanowisk formułowanych podczas pamiętnych kongresów, to osobna sprawa), głęboko przeorała strukturę polskich uczelni, organizację nauki i jej finansowanie. Dotknęła także kształcenie filologiczne, o czym mówi się dość rzadko, a co zaowocowało takimi absurdami, jak konieczność ustalenia procentowego udziału dyscyplin literaturoznawstwo i językoznawstwo w programie studiów polonistycznych, które przed reformą były klasycznymi studiami dziedzinowymi, czerpiącymi z wartościowych i wciąż żywotnych tradycji filologicznych. Odłóżmy na bok przygnębiające skojarzenie z anegdotycznym wyjaśnieniem, czym jest socjalizm (dla przypomnienia: systemem permanentnie walczącym z problemami, które sam zrodził). W trakcie wspomnianych konsultacji zgłaszano między innymi zastrzeżenia do rozparcelowania filologii na dwie rozłączne dyscypliny, wskutek czego poloniści – a także inni filolodzy, jednak polonistów dotknęło to najmocniej ze względów, że tak powiem, etosowych – przestali stanowić zwarte, instytucjonalnie osadzone zespoły i stanęli wobec konieczności wyboru między literaturoznawstwem i językoznawstwem, tudzież naukami o kulturze i religii. W pracach nad nową ustawą Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce nie wzięto zupełnie pod uwagę głosów naszego środowiska, że tego rodzaju administracyjny przymus pozbawia nas nie tylko właściwej naszej dziedzinie interdyscyplinarności, lecz także tożsamości. A przecież kształcenie uniwersyteckie w zakresie polskiej literatury i języka prowadzone w Polsce nie jest tym samym, co kształcenie neofilologiczne. Kontekst zmienia wszystko! Studia te inną mają do odegrania rolę w kraju i społeczeństwie, którego dotyczą. Można ją nazwać misyjną, filologia narodowa bowiem pod każdą szerokością geograficzną służy podtrzymaniu kulturowej ciągłości wspólnoty.

Katastrofalny podział

Zaprzątnięte koniecznością wdrożenia zapisów nowej ustawy władze uczelni nie zawracały sobie jednak zazwyczaj

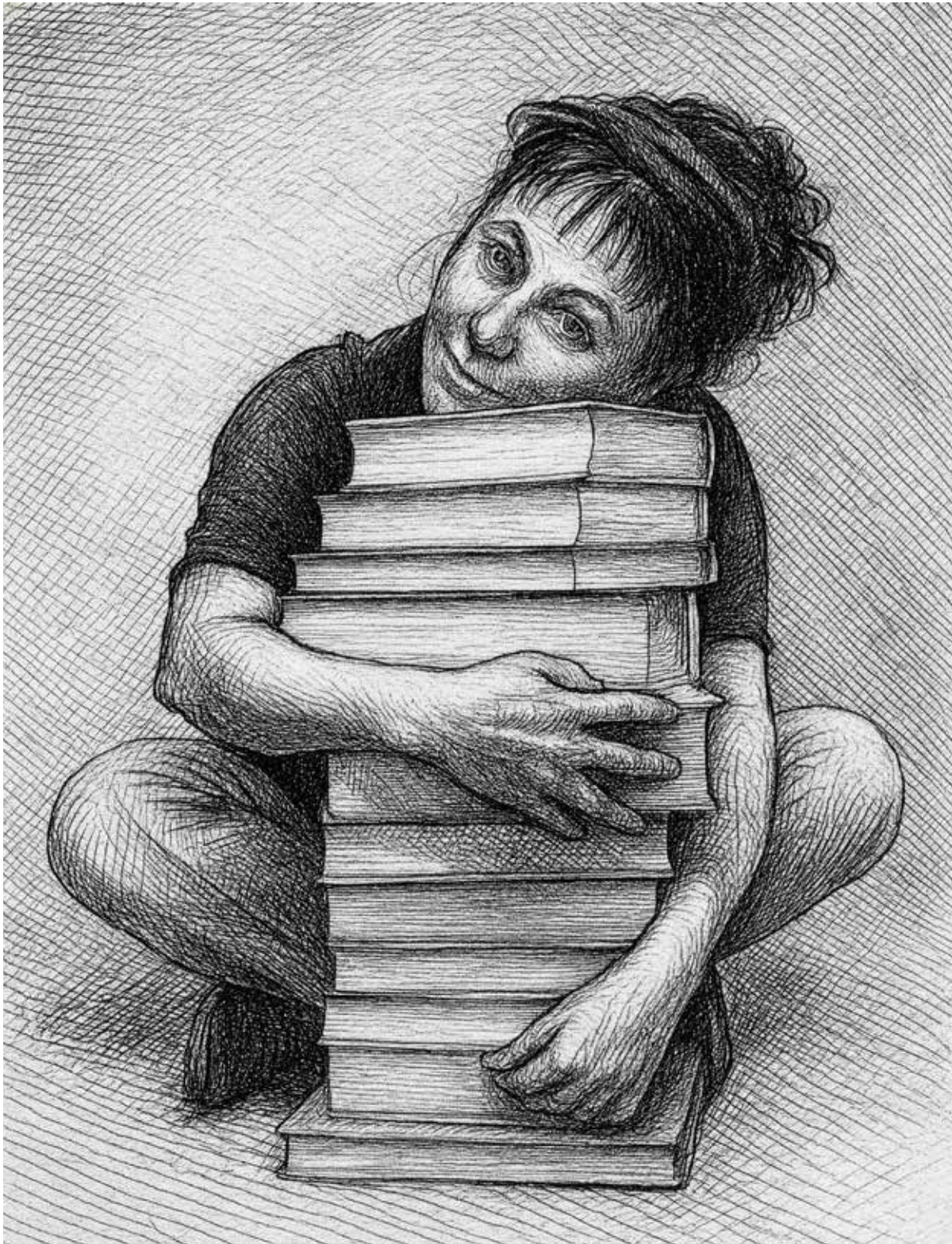
głowy takimi, na pozór mało istotnymi, sprawami. Przyjęty model finansowania badań naukowych sprzyjał najprostszej do przeprowadzenia restrukturyzacji, opartej na kryterium dyscyplinowym. Miejsce wcześniejszych, sprofilowanych językowo, interdyscyplinarnych zespołów filologów zajęły zatem nowo powstałe instytuty językoznawstwa i literaturoznawstwa, jednostki czyste rasowo, pardon – dyscyplinowo, trudno jednak bez ironii mówić o absurdach, jakie zafundowali nam decydenci administracyjnym pojmowaniem interdyscyplinarności. Ich rola od początku była czysto pragmatyczna. Szło o łatwość zarządzania nauką przez władze uczelni, w myśl przepisów ustawy bowiem to dyscypliny poddawane są ewaluacji i to one wypracowują kategorię naukową, która przekłada się na wysokość subwencji. Dla filologów jednak podział ten okazał się katastrofalny. Doprowadził do likwidacji jednostek, w których badania naukowe harmonijnie łączyły się z dydaktyką i które dawały skupionym w nich pracownikom jakże potrzebne poczucie identyfikacji. Jednostki te nierzadko chlubiły się tradycją sięgającą wielu dziesięcioleci. Nie o tradycję jednak chodzi. Ciała te były funkcjonalne z dwóch głównych powodów. Po pierwsze, zrzeszały uczonych, dla których jądrem identyfikacji był język jako narzędzie kulturowej i społecznej komunikacji. Po drugie, prowadziły kształcenie kierunkowe w zakresie literatury i języka. Nie ma przecież w Polsce (i nie tylko w Polsce) studiów w zakresie bezprzymiotnikowego literaturoznawstwa czy językoznawstwa. Organizacja studiów filologicznych spowodowała zatem konieczność utworzenia na wielu uczelniach jednostek dedykowanych wyłącznie dydaktyce. Poradziliśmy sobie jednak jako społeczność akademicka i z tą przeciwnością, podobnie jak z wieloma innymi w przeszłości.

Pomijam oplakane skutki konieczności przypisania studiów filologicznych do tzw. dyscypliny wiodącej, czyli np. określenie, że na danym kierunku studiów efekty uczenia się są w 51 procentach literaturoznawcze, a w pozostałych 49 procentach językoznawcze (czytelnicy spoza branży przecierają zapewne oczy ze zdumienia). Wobec coraz to nowych interpretacji Polskiej Komisji Akredytacyjnej kwestia ta nie przestaje spędzać

snu z powiek osobom odpowiadającym za programy studiów. To jednak materiał na osobną opowieść, a nawet powieść profesorską albo serial. Może Netflix pokusi się kiedyś o nakręcenie *Pani Dziekana a la polonaise*, z fabułą oplecioną wokół degradacji roli dziekana na polskim uniwersytecie?

W takich okolicznościach, po względnym okrzepnięciu nowych struktur świata akademickiego, rozporządzeniem ówczesnego ministra edukacji i nauki z 11 października 2022 roku zadekretowano utworzenie nowej dyscypliny „polonistyka”. Dokonano tego bez poszanowania dla elementarnych

zasad logiki. Na jakim bowiem kryterium opiera się podział, w którym obok literaturoznawstwa i językoznawstwa wyodrębni się polonistykę? Wprowadziło to do polonistycznego świata chaos. Jednostki, skupiające obok innych filologów również polonistów, a więc wydziały i utworzone parę lat wcześniej instytuty, znalazły się w trudnym, wręcz absurdalnym położeniu. Zdając sobie sprawę, że exodus polonistów z dyscyplin, w których w wyniku reformy się znaleźli, znacznie by je osłabił, doprowadzając w kolejnej ewaluacji do utraty kategorii naukowej, na którą od kilku lat solidarnie pracowano, władze więk-



Rys. Sławomir Makal

szości uczelni za ten szczodry gest ministerstwu „podziękowały”. Na luksus posiadania nowej dyscypliny zdecydowało się tylko pięć spośród blisko trzydziestu ośrodków: UG, UAM, UJ, UŚ i UW. Zmuszone one były wziąć na siebie koszt w postaci braku subwencji na jej finansowanie w trwającym okresie parametrycznym, prawodawcy zabrakło bowiem wyobraźni, by w ślad za dekreacją o wymiarze ontologicznym (tak łatwo przecież wykreować nowy byt!) zaoferować rozwiązania prawno-ekonomiczne. W efekcie nowe, nieliczne instytuty polonistyki, zamiast stać się tym, czym być powinny – silnymi i prężnymi organizmami w strukturze uczelni – egzystują w formie kadłubowej, oparte na radach programowych o minimalnym wymaganym przepisami składzie kadrowym. Scenariusz, który umożliwiła legislacja sprzed trzech lat, okazał się w skali ogólnopolskiej dysfunkcyjny i nie spełnił dotąd nadziei polonistów na należyte traktowanie przez państwo polonistycznych badań naukowych i polonistycznego kształcenia.

Szczególne znaczenie społeczne

Środki przewidziane na naukę w uchwalonym właśnie przez Sejm budżecie na 2026 rok w wysokości 1% PKB stawiają pod znakiem zapytania szansę wzrostu nakładów finansowych na filologię narodową. A chodzi o obszar o strategicznym znaczeniu dla dalszego istnienia państwa, bo przecież rola nauczycieli ojczystego języka i literatury dla tożsamości obecnych i przyszłych obywateli jest bezdyskusyjna, mimo iż trudna do opomiarowania wskaźnikami. Chociaż nie, wskaźniki są: rosnąca liczba wakatów na etatach polonistów w szkołach podstawowych i średnich, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach. Jeżeli władze państwa nie wyciągną wniosków z głosu środowiska polonistycznego, czeka nas paraliż i atrofia szkolnego kształcenia polonistycznego, a w nieodległej perspektywie prawdopodobnie największa katastrofa w historii polskiej edukacji po 1989 roku – utrata zastępowalności pokoleń kadr nauczycielskich.

W naszkicowanych tu realiach trudno się spodziewać w najbliższych latach nagłego zakiełkowania i rozkwitu dyscypliny polonistyka w pozostałych 80 procentach polskich uczelni. Większość z nich to nieduże ośrodki, dla których odpływ kadry polonistycznej z dotychczasowych macierzystych jednostek byłby równoznaczny z degradacją tych ostatnich, zatem na ruchu takim straciliby wszyscy. Część szkół wyższych o znaczeniu regionalnym, kształcących nauczycieli ojczystego języka, zmuszona bywa do zamykania naboru na studia drugiego stopnia, zamykając tym samym drogę do zawodu nauczyciela tym kandydatom, którzy nie będą mogli sobie pozwolić na studiowanie w dużym mieście, z dala od rodzinnego domu. Trudno obwiniać rektorów tych uczelni, za ich decyzjami stoi nieubłagany rachunek ekonomiczny. Regularnie zagrożone są też studia licencjackie. Bez programu systemowego wsparcia ze strony państwa w obecnych warunkach demograficznych kształcenie polonistyczne na wielu uczelniach może nie przetrwać.

Studia polonistyczne to oczywiście nie tylko studia pedagogiczne. Skupiam się jednak na tej ścieżce ze względu na jej szczególne znaczenie społeczne, tym większe, im większa dewaluacja zawodu nauczyciela w naszym kraju. Znaleźliśmy się obecnie w punkcie, w którym wprowadzone zmiany legislacyjne pociągnęły już za sobą określone skutki strukturalne. Prawo stanowione obowiązuje, nawet gdy jest złe. Zdajemy sobie sprawę, że w życiu społecznym nie można wciąż wciskać klawisza *backspace*. Dlatego kierując się realizmem, należy domagać się rozwiązań, które zapobiegą trzem największym zagrożeniom, jakie rysują się na horyzoncie akademickiego kształcenia polonistycznego.

Kod kulturowy wspólnoty

Zagrożenie pierwsze: utrata uprawnień do prowadzenia studiów polonistycznych, w tym w szczególności studiów przygotowujących do wykonywania zawodu nauczyciela-polonisty, przez te ośrodki, w których z przyczyn wyżej przedstawionych nie ukonstytuowała się (i prawdopodobnie się nie ukonstytuuje) dyscyplina polonistyka. Wiele, jeśli nie wszystko w tej sprawie zależeć będzie od stanowiska Polskiej Komisji Akredytacyjnej. Nietrudno wyobrazić sobie scenariusz, w którym – w zgodzie z twardą logiką, do której mogą kiedyś odwołać się decydenci – prawo do prowadzenia kierunku filologia polska zostaje administracyjnie ograniczone do tych podmiotów, które wykażą, że dysponują kadrą deklarującą przynależność do dyscypliny polonistyka. Stąd niezbędne jest osiągnięcie trwałego konsensusu, zarówno środowiskowego, jak i instytucjonalnego, w kwestii tego, iż: 1) posiadanie przez uczelnię kadry akademickiej reprezentującej dyscyplinę polonistyka nie stanowi warunku niezbędnego do prowadzenia studiów polonistycznych, ponieważ: 2) warunkiem wystarczającym do ich prowadzenia jest kadra akademicka, prowadząca badania w dziedzinie polskiego języka i literatury niezależnie od deklarowanej dyscypliny naukowej.

Zagrożenie drugie: zróżnicowanie między ośrodkami w kwestii finansowania kształcenia polonistycznego w zależności od współczynnika kosztocłonności dla dyscypliny. Poloniści słusznie domagają się zwiększenia tego współczynnika zarówno w odniesieniu do polonistycznych badań naukowych, jak i polonistycznego kształcenia. Jest to bowiem jedyny powszechny, tj. możliwy do zastosowania we wszystkich podmiotach szkolnictwa wyższego, sposób wymiernej priorytetyzacji nakładów w tych obszarach. Także w tym wypadku nie można dopuścić, by beneficjentami wyższego współczynnika kosztocłonności były wyłącznie ośrodki, w których zdołała się ukonstytuować dyscyplina polonistyka. Doprowadziłoby to bowiem do dalszego upodrzednienia uczelni regionalnych, których misja w zakresie kształcenia polonistycznego jest absolutnie nie do przecenienia.

Zagrożenie trzecie ujmę w formie postulatu rezygnacji z modelu ilościowego finansowania studiów polonistycznych. Studia te ze względu na swój unikatowy, misyjny charakter winny mieć zapewnione bezpieczeństwo i ciągłość nawet przy niższym naborze niż w przypadku innych kierunków. Szczególnie ważne w akademickim kształceniu polonistycznym jest przywrócenie relacji mistrz—uczeń, którą polityka finansowania opartego na wskaźniku liczby studentów przypadających na nauczyciela akademickiego w dużej mierze zniszczyła. Uzasadnienia dla zgłoszonego tu postulatu dostarcza rola, jaką ma do odegrania polonista w życiu społecznym, w szczególności jako nauczyciel i wychowawca kolejnych pokoleń, uczący korzystania ze wspólnotowego kodu kulturowego. Systemowe wsparcie państwa zdjęłoby z polonistów — zwłaszcza tych pracujących w niewielkich zespołach, na mniejszych uczelniach — poczucie permanentnego zagrożenia i pozwoliło odzyskać pewność siebie oraz wigor, tak potrzebne, by w twórczym dialogu ze studentami wprowadzać ich w świat idei, tradycji i literackiej wrażliwości, której nie sposób uformować w warunkach masowego kształcenia.

Podczas rozmaitych konwentykli gromadzących polonistyczne środowisko, w tym także w trakcie konferencji, która odbyła się w Senacie RP 27 października tego roku, pocieszailiśmy się na poły żartobliwie, że polonistyka przeżyła już tyle, że przeżyje i utworzenie dyscypliny polonistyka. Obserwując jednak procesy, zachodzące w różnych sferach w naszym kraju, trzymam swój optymizm mocno na smyczy.

Prof. dr hab. Dariusz Skórczewski, dziekan Wydziału Nauk Humanistycznych KUL

Andrzej Skrendo

Co poszło nie tak?

Zrobiono nic lub prawie nic, aby zapewnić szersze instytucjonalne wsparcie dla nowej dyscypliny. Polonistyka podzieliła los całej humanistyki, której w ramach neoliberalnej ekonomii zarządzania nauką nie oplaca się utrzymywać, choć wypada tolerować.

Wydawać by się mogło, że istnienie dyscypliny naukowej o nazwie polonistyka jest rzeczą oczywistą. Badanie ojczyźnej literatury i języka powinno być finansowane przez państwo w ramach systemu organizacji nauki. Na uniwersytetach powinny istnieć osobne jednostki prowadzące takie badania. Naukowców uprawiających tę dyscyplinę powinno być wielu. Tymczasem wcale tak nie jest, a to, co wydawało się oczywiste, okazuje się zagadką.

Być może zresztą należałoby sprawę polonistyki postawić zupełnie inaczej i zapytać, jak to się stało, że dyscyplinę o nazwie polonistyka powołano dopiero w roku 2022? Z jakiego powodu na wielu uniwersytetach nie skorzystano z szansy stworzenia takiej dyscypliny? Dlaczego tak niewielu badaczy zajmujących się literaturą i językiem polskim zdecydowało się na złożenie deklaracji, że chce uprawiać polonistykę jako macierzysty obszar badawczy? Tu wyznanię. Wśród tych, którzy się nie zdecydowali, byłem ja sam. Co więcej, jako prorektor ds. nauki po wielu analizach nie poparłem pomysłu powstania polonistyki na Uniwersytecie Szczecińskim. Rychło okazało się, że nie była to wcale decyzja kontrowersyjna.

Jednym z powodów swego rodzaju porażki, jaką okazała się polonistyka, jest historia instytucjonalna polskich uczelni. Przypomnijmy: przez lata ocenie podlegały jednostki naukowe (wydziały), a nie dyscypliny. Badacze zajmujący się literaturą i językiem dzielili się wedle podziału: filologia narodowa / filologie innych narodów. Odróżnienie na literaturoznawców i językoznawców miało mniejsze znaczenie. Najważniejsze było to, czy jesteś polonistą, czy na przykład germanistą, bo na ogół istniały też dwa odrębne instytuty: jeden polonistyki, drugi germanistyki. Jednak ten podział został odrzucony w wyniku tzw. reformy Gowina: kluczowy stał się odtąd podział na literaturoznawstwo i językoznawstwo. W związku z tym na Uniwersytecie Szczecińskim dokonano reformy, tak żeby ewaluowana dyscyplina była wyznacznikiem struktury organizacyjnej i aby sprawniej zarządzać procesem ewaluacji. W nowo powołanym instytucie literaturoznawstwa zgromadzili się badacze, którzy wcześniej

znali się bardzo słabo, bo pracowali w sześciu innych instytutach; podobnie było w instytucie językoznawstwa. Powołanie polonistyki w takiej sytuacji instytucjonalnej okazało się swego rodzaju błędem kategoryalnym: w ramach nowego podziału na literaturoznawców i językoznawców wprowadzono stary podział na polonistów i tych, którzy polonistami nie są. Innymi słowy polonistyka jako dyscyplina nie objęła nowego obszaru, tylko wprowadziła podział już istniejącego. Zaczęliśmy zadawać sobie pytania, czy jesteśmy bardziej polonistami, czy literaturoznawcami lub językoznawcami. Dla większości było to pytanie kłopotliwe, trudne lub wręcz bezsensowne.

Ale na tym nie koniec problemów. Szybko wyszło na jaw, że na wielu uczelniach, nawet tych największych i najbogatszych, wprowadzenie polonistyki osłabia dwie dyscypliny powołane wcześniej na mocy reformy z 2018 roku. W mniejszych i młodszych uczelniach zaczęto obawiać się braku studentów nie tylko na polonistyce, ale także znaczącego osłabienia naborów na literaturoznawstwo i językoznawstwo. W rezultacie okazało się, że nawet na tych uniwersytetach, na których powołano dyscyplinę o nazwie polonistyka, odbyło się to przy umiarkowanym entuzjazmie władz i raczej z intencją ograniczenia zasięgu zmiany, jaką ta dyscyplina wprowadza do struktur uczelni. Słowem, okazało się, że w wielu przypadkach było za późno na wprowadzenie polonistyki.

Wreszcie, szybko zorientowaliśmy się, że powołanie polonistyki jako dyscypliny w polskim systemie nauki to zaledwie gest. Nie było i nie ma żadnych dalszych zmian: w zakresie korekty współczynników kosztocłonności, dowartościowania czasopism polskojęzycznych zajmujących językiem i literaturą polską, stworzenia możliwości grantowych dla nowej i wydawałoby się kluczowej dla tożsamości państwa i kraju dyscypliny naukowej etc. Słowem, zrobiono nic lub prawie nic, aby zapewnić szersze instytucjonalne wsparcie dla nowej dyscypliny. Polonistyka podzieliła los całej humanistyki, której w ramach neoliberalnej ekonomii zarządzania nauką nie oplaca się utrzymywać, choć wypada tolerować.

Można by na koniec zapytać: skoro chcemy bronić Polski przed wojną i agresją ze strony obcego mocarstwa, to w istocie czego chcemy bronić, jeśli nie polskiej kultury, literatury i języka? Co i czy cokolwiek z tego pytania wynika dla statusu polonistyki jako dyscypliny naukowej na polskich uniwersy-

tetach? Jak dotąd, nie tylko nie ma odpowiedzi, ale mało kto pytania te w ogóle słyszy.

Prof. dr hab. Andrzej Skrendo, historyk i teoretyk literatury, prorektor ds. nauki Uniwersytetu Szczecińskiego



Rys. Sławomir Makal

Dariusz Rott

Deklaracja: polonistyka 100%

Nie roztrząsałem w ogóle, co było we mnie pierwsze: polonista czy literaturoznawca oraz przyjmując z pewnym przybliżeniem, że jestem literaturoznawcą polonistycznym, nie próbowałem wyliczyć, jaki jest we mnie procent polonisty, a jaki literaturoznawcy.

Patrzę na moje dyplomy: magister filologii polskiej (1989), doktor nauk humanistycznych (1995), doktor habilitowany nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa (2002) i postanowienie o nadaniu tytułu naukowego profesora nauk humanistycznych (2008). Ten pierwszy, sprzed ponad trzydziestu sześciu lat, określa mnie jako magistra polonistyki, ale już habilitacja wskazuje na literaturoznawcę. Składałem też deklaracje do minimum kadrowych na kierunku filologia polska oraz deklaracje związane z uprawnieniami do doktorowania i habilitowania z zakresu literaturoznawstwa. Byłem przez cztery lata nauczycielem języka polskiego w liceum ogólnokształcącym, miałem też epizod nauczania języka polskiego w gimnazjum. Moje publikacje naukowe dotyczą zasadniczo literatury dawnej Polski (czasem w ujęciu interdyscyplinarnym – historia, geografia), regionalizmu literackiego (badania śląskoznawcze), podrózpisarstwa, edukacji polonistycznej. Tworzyłem również słowniki i edycje tekstów dawnych.

Kilka lat temu złożyłem deklarację dyscyplinową z literaturoznawstwa (50%) oraz nauk o komunikacji społecznej i mediach (50%), by potem zadeklarować przynależność do literaturoznawstwa (100%). Następnie, gdy tylko było to już możliwe, jako jeden z pierwszych podpisałem deklarację w „nowej” dyscyplinie – polonistyka (100%). Ubiegł mnie tutaj mój kolega i obecny dyrektor katowickiej polonistyki prof. Dariusz Pawelec. Dodam, że ponad czterdzieści osób zadeklarowało w Uniwersytecie Śląskim w Katowicach przynależność do dyscypliny polonistyka. Nie roztrząsałem w ogóle, co było we mnie pierwsze: polonista czy literaturoznawca oraz przyjmując z pewnym przybliżeniem, że jestem literaturoznawcą polonistycznym, nie próbowałem wyliczyć, jaki jest we mnie procent polonisty, a jaki literaturoznawcy.

Definiując siebie często używam znacznie szerszej niż polonista kategorii – humanista, a najczęściej najbliższego mojemu sercu określenia „wędrowny humanista”. Wszak jest ono bliskie moim badaniom naukowym (sporo uwagi poświęciłem na przykład postaci wczesno-renańskiego

humanisty Wawrzyńca Korwina, wykładowcy i przyjaciela Mikołaja Kopernika) oraz temu, co robię, jeżdżąc z wykładami po Polsce (na inne uczelnie, do szkół, bibliotek...) i po Europie. Cenię sobie niezwykle zajęcia w ośrodkach polonistyki (slawistyki) zagranicznej: Moguncja, Moskwa (gdy było to możliwe), Neapol, Ołomuniec, Ostrawa, Skopje, Sofia, Tybinga, Udine (w tym ostatnim ośrodku zdarzyły mi się kilka miesięcy temu wykłady dla jednej studentki). W latach 2017/2018 miałem przyjemność – jako profesor wizytujący – współtworzyć polonistykę w Państwowym Uniwersytecie Pedagogicznym im. Pawła Tytyny w ukraińskim Humaniu. W końcu zobowiązuje to, że jestem polonistą z Uniwersytetu Śląskiego, który jest jednym z najznamienitszych ośrodków nauczania języka polskiego jako obcego (zespół naukowo-dydaktyczny skupiony od lat wokół prof. Jolanty Tambor). Korzy-

stam z wyjazdów w ramach Erasmus+, a także jestem beneficjentem programów Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej (ZAWACKA i POLONISTA). Z radością obserwuję rozwój polonistycznego wsparcia oferowanego przez Biuro Programów Języka Polskiego NAWA. Programy NAWA w tym zakresie powinny być rozwijane, na przykład w zakresie wspierania kształcenia tłumaczy na język polski czy znaczącego dofinansowywania zagranicznych studiów polonistycznych oraz studiów wielojęzycznych z komponentem polonistycznym. Może warto – korzystając choćby z dobrych doświadczeń programów polonistycznych NAWA – przemyśleć stworzenie całkiem osobnej rządowej agencji wspierającej międzynarodowy obszar polonistyki (takie były zresztą rekomendacje uczestników Konferencji Programowej „Ku Nowej Polonistyce”, która odbyła się w kwietniu 2023 r. w Uniwersytecie Śląskim w Katowicach). Rola polonistyki międzynarodowej i jej wspieranie powinno być wpisane jako jeden z ważniejszych elementów strategii rządowej!

*Prof. dr hab. Dariusz Rott,
Instytut Polonistyki Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach*



Rozmowa z prof. dr. hab. Rafałem Materą, rektorem Uniwersytetu Łódzkiego

Blisko ludzi

Jeśli prowadzi się zajęcia ze studentami, jak ja, to trzeba być na bieżąco z wynikami badań, mimo obowiązków rektorskich. Jednak kluczowa sprawa to dostępność rektora dla wszystkich. Chodzi nie tylko o organizowanie jak największej liczby spotkań na wydziałach i w konkretnych jednostkach, nie tylko o spotkania z centralną administracją uczelni, prorektorami, dyrektorami, ale też o indywidualne lub w wąskim gronie spotkania z pracownikami i studentami. Musimy rozmawiać ze sobą, biolog musi rozmawiać z historykiem, a matematyk z polonistą.

Wspominał pan kiedyś o mało znanym, a dramatycznym fakcie z samych początków Uniwersytetu Łódzkiego...

Akt powołania Uniwersytetu Łódzkiego został podpisany w Warszawie w ministerstwie. Pierwszym rektorem nowej uczelni miał zostać Teodor Vieweger, rektor Wolnej Wszechnicy Polskiej. Jechał z Warszawy do Łodzi z dokumentem i pod Sochaczewem uległ śmiertelnemu wypadkowi. Trzeba więc było szukać nowego rektora. Na szczęście udało się namówić profesora Tadeusza Kotarbińskiego i to on został pierwszym rektorem Uniwersytetu Łódzkiego. Jego siła naukowa, jego sława na pewno przydały się uniwersytetowi, żeby pokazać, że możemy wykształcić wybitnych naukowców i nie mieć kompleksów w stosunku do innych uniwersytetów. Jednak wspomnienie Teodora Viewegera jest wciąż wśród nas żywe.

W czasie kampanii wyborczej mówił pan o przyjaznym uniwersytecie. Co to znaczy i jak się to robi?

W zarządzaniu często się zapomina, że trzeba być miłym, uprzejmym w stosunku do innych ludzi. Wymyśliłem więc hasło Uniwersytet Ludzki. I to był plan, a nie tylko slogan wyborczy. Uważam, że rektor musi być w pełni dyspozycyjny dla ludzi. To oczywiście ogranicza ambicje naukowe, ale nie znaczy, że nie należy się w ogóle zajmować nauką czy kształceniem. Jeśli prowadzi się zajęcia ze studentami, jak ja, to trzeba być na bieżąco z wynikami badań, mimo obowiązków rektorskich. Jednak kluczowa sprawa to dostępność rektora dla wszystkich. Chodzi nie tylko o organizowanie jak największej liczby spotkań grupowych na wydziałach i w konkretnych jednostkach, nie tylko o spotkania z centralną administracją uczelni, prorektorami, dyrektorami, ale też o indywidualne lub w wąskim gronie spotkania z pracownikami i studentami. Musimy rozmawiać ze sobą, biolog musi rozmawiać z historykiem, a matematyk z polonistą. Dlatego wymyśliśmy i raz w miesiącu realizujemy z przyjemnością spotkania z rektorem przy kawie, na które może przyjść każdy.

Jest też u nas dużo imprez dla pracowników i dla ich dzieci. Ostatnio organizowaliśmy takie spotkania przy okazji obchodów 80-lecia Uniwersytetu Łódzkiego czy z okazji Dnia Dziecka. Według mnie społeczność akademicka musi czuć, że uczelnia jest miejscem bezpiecznym i przyjaznym. Ludzie muszą wie-

dzieć, że mają wsparcie w swoim miejscu pracy. Nie wystarczy o tym mówić. Dzięki tym spotkaniom utrzymujemy kontakt ze społecznością. Słowa prof. Kotarbińskiego „Optimum to nie maximum” okazały się bardzo dobrym hasłem. A jest to trudny aspekt pracy rektora, bo nie uwzględniony we wskazaniach. W każdym razie staram się. Odpowiadam na każdy mail, na każdą propozycję spotkania, jaką dostaję od pracowników uczelni.

Czy sama świadomość, że uniwersytet jest ludzki, nie oznacza łagodnego traktowania tych, którym się nie udaje, albo którzy nie chcą się angażować w pracę?

Sprawdzimy to w najbliższej ocenie pracowników, która odbędzie się u nas w 2027 roku, czyli w nieco innym terminie niż na większości polskich uczelni. Oczywiście jej zasady, kryteria są znane i tego nie odpuścimy, pracownicy wiedzą, co powinni robić. Przygotowujemy się zatem do kolejnej oceny okresowej, prowadzimy szerokie konsultacje na jej temat. Włączamy w to też związki zawodowe. Zasady przygotowuje zespół z udziałem prorektor Doroty Golańskiej. Będziemy dyskutować, ale to nie znaczy, że każdy przejdzie tę ocenę, bo musimy postawić i na jakieś minima badawcze, i na aktywność dydaktyczną. Na tym ostatnim nam też zależy, bo o ile sferę naukową jest łatwo zmierzyć – sloty, publikacje, projekty – określić, ile środków przyniosła, to z dydaktyką już nie jest tak łatwo, bo pensum nie jest żadną weryfikacją. Są oczywiście ankiety studenckie, ale pewnie jak każdy uniwersytet, zmagamy się z problemem ich niskiej zwrotności; satysfakcjonująca byłaby na poziomie przynajmniej 30-40 procent. Możemy też zmierzyć aktywność poprzez organizację szkoleń, doksztalcanie się, różne nowe formy kształcenia. Z pewnością zechcemy to włączyć do oceny.

Oczywiście to wszystko idzie w parze ze zmianami. Bo nasza reforma, to że jesteśmy ludzcy, nie oznacza, że akceptujemy dotychczasowe działania, z którymi się nie utożsamialiśmy. Zmian było w ciągu roku dużo, także osobowych. Kiedy było to możliwe, rozstawaliśmy się za porozumieniem stron. Odchodziły także osoby dotychczas zarządzające. Oczywiście nie z dnia na dzień. Negocjacje, rozmowy z zespołami trwały wiele miesięcy, nim zmiany zostały zaakceptowane. A jeśli chodzi o akademików, największą przeszkodą jest to, że z każdym

wydziałem, z każdym dziekanem trzeba rozmawiać trochę inaczej. Nasz uniwersytet jest jednym z najbardziej zdecentralizowanych w Polsce. Decentralizacja sprawiła pojawienie się pewnych nierówności. Dotyczy to na przykład nagród rektorskich. Mam ambicję, żeby te nierówności spłaszczać, zmniejszać. Bo przecież różnice w osiągnięciach nie są aż tak drastyczne. To wszystko wymaga rozmów.

Nie odczuwa pan kontestacji poczynań władz uczelni przez związki zawodowe?

Nie tworzą totalnej opozycji wobec władz uczelni. Bardzo chcą się włączać we wszystko, ale we wstępnych etapach prac nie uczestniczą, bo za długo by to trwało. Kadencja rektora trwa cztery lata i muszą się zmieścić w tym czasie. Mam określony porządek pracy. Ale myślę, że związkowcy i pozostali pracownicy dostrzegają dużą dynamikę naszej pracy. Nie widzą totalnych zagrożeń, ale zdarzają się nam twarde negocjacje, np. nad funduszem socjalnym, bo w przypadku Uniwersytetu Łódzkiego jego zamrożenie nie jest do końca korzystne.

Zgodzi się pan ze stwierdzeniem, że Uniwersytet Łódzki ma zasadniczo humanistyczny charakter?

Wolałbym, żeby był bardziej zrównoważony. Ale pamiętajmy, że w Łodzi jest uczelnia medyczna, jest uczelnia politechniczna, gdzie nauki ścisłe są dobrze reprezentowane. A Uniwersytet Łódzki jest klasyczny, ale na pewno z większym komponentem nauk społecznych i humanistycznych. I to daje bezwzględną przewagę, jeśli chodzi o liczbę prowadzących badania w tych dziedzinach. W kolegium rektorskim jest jednak dwóch przedstawicieli nauk ścisłych, biolog i fizyk jądrowa. Większość dyscyplin uprawianych w uniwersytecie to nauki społeczne i humanistyczne. Wśród dwunastu łódzkich wydziałów (trzynasty jest w Tomaszowie) mamy cztery ścisłe i przyrodnicze, reszta to są wydziały humanistyczno-społeczne (czytaj na str. 8-9). Z punktu widzenia tutejszego rynku pracy brakuje nam „twardych” zawodów, ale przecież urzędnicy, nauczyciele i przedstawiciele wielu innych zawodów muszą mieć właśnie podejście społeczne. I na to liczymy.

Jakie są najmocniejsze strony Uniwersytetu Łódzkiego?

Na pewno mamy duży potencjał: dwa i pół tysiąca ludzi zajmujących się nauką. To nas plasuje na wysokim miejscu w Polsce. Naszą ambicją jest nadal rekrutować studentów tak jak do tej pory. Uniwersytet Łódzki jest oczywiście uczelnią dominującą w regionie, ale przyciąga też trochę studentów z województw ościennych. Łódź jest po prostu trochę tańsza niż Warszawa czy Poznań. Mocną stroną jest na pewno nasze ukierunkowanie na popularyzację. Bardzo na to liczymy, obserwując aktywność naszych akademików w mediach, także społecznościowych, na różnego rodzaju eventach w mieście i w regionie. Nie mamy jeszcze twardych benefitów z ewaluacji, które w przyszłości może będą, ale wydaje nam się, że to jest dobra inwestycja, że nie możemy siedzieć przy biurkach, tylko musimy wychodzić do ludzi, konfrontować się. To może nam potem pomóc w pracy ze studentami, bo widzimy, że i świat, i młodzi ludzie się zmieniają. Trzeba zmienić język, formy kształcenia, a te zewnętrzne spotkania są dla nas znakomitym ćwiczeniem, przygotowują nas do pracy w innej formule. I widzę tego efekty. Czyli: popularyzacja, dobry kontakt z miastem, z urzędem marszałkowskim i jak największa widoczność w różnego rodzaju formach współpracy z jednostkami aktywnie działającymi na rzecz rozwoju całego regionu. Oczywiście wiem, że teraz jest tendencja, żeby uczelnie aktywnie działały na rzecz umiędzynarodowienia kształcenia. Dla części liderów będzie oczywiście, że pojedą studiować do Warszawy, Londynu, Amsterdamu



Prof. **Rafał Matera** (ur. w 1972 r.) jest ekonomistą; jego zainteresowania badawcze ogniskują się wokół historii gospodarczej i historii myśli ekonomicznej, globalizacji i gospodarki światowej, zwłaszcza integracji międzynarodowej i roli instytucji w rozwoju, a także relacji transatlantycznych. Bada też rozwój Łodzi. Jest autorem ponad stu publikacji naukowych oraz promotorem doktoratu honoris causa, który w 2021 r. Uniwersytet Łódzki przyznał Hermanowi Van Rompuyowi. W latach 2016–2024 był dziekanem Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego Uniwersytetu Łódzkiego, a obecnie jest rektorem UŁ. Jest członkiem zarządu Polskiego Towarzystwa Historii Gospodarczej, należy do Łódzkiego Towarzystwa Naukowego. Jest członkiem Rządowej Rady Ludnościowej. W gronie cenionych przez niego intelektualistów można znaleźć Zygmunta Baumana i Leszka Kołakowskiego.

czy Skandynawii. Ale duża czy wręcz największa grupa przeciętnych, średnich zostanie w mieście i chcemy ich właśnie jak najlepiej przygotować, żeby w kolejnych dekadach dawali sobie radę.

A najsłabsze strony?

Chyba jeszcze nie do końca nasi akademicy – może to dotyczy nawet większości uniwersytetów – są przygotowani do pracy projektowej. Niepowodzenie w uzyskaniu projektu, frustracja z tego powodu często blokują pracownika, zniechęcają go do dalszych prób. Jednak musimy pracować w warunkach, jakie mamy, przy środkach jakie mamy, działać właśnie projektowo, czyli dokładnie, z planem. Zmiany w kulturze organizacyjnej mają dawać przewagę, pamiętajmy jednak, że uniwersytet jest instytucją publiczną i pewne przyzwyczajenia niełatwo zmienić. Myślę, że potrzeba jeszcze kilku lat, żeby w tej formule skutecznie działać, nie wstydzić się tego, co robimy, być odważniejszym w formułowaniu pomysłów naukowych, nie mówić wciąż, że się nie uda.

I jeszcze jedna sprawa: zbyt mała aktywność wieloautor-ska. Mamy problem z pracą zespołową, interdyscyplinarną. Zależy nam, żeby kilka takich projektów się udało, są już przykłady, że to może się zmieniać. Dwoje badaczy z Uniwersytetu Łódzkiego, biologka i językoznawca, było współ-

autorami publikacji w „Nature”. Brali w tym udział także naukowcy z UJ. Nie chcę więc mówić o słabościach, tylko o tym, co jeszcze warto zrobić, poprawić – silniejsze nastawienie na pracę zespołową.

Uniwersytet ludzki nie ma klasycznego kampusu.

To wada, która utrudnia działanie?

Nasza infrastruktura nie jest jednak aż tak bardzo rozrzucona po mieście. Z najbardziej wysuniętych na zachód do najbardziej wysuniętych na wschód budynków wydziałów czy osiedla akademickiego da się przejechać w ciągu 15 minut. Ma to swoje dobre strony. Zwarty kampus to jest trochę inny świat: niby wszystko w jednym miejscu, ale traci się kontakt z infrastrukturą miejską.

Czego by pan życzył sobie i swojej uczelni?

Bardzo bym chciał, żeby Uniwersytet Łódzki wszedł do dziesiątki uczelni badawczych. Ale wiem, że to będzie bardzo trudne. Uważam zresztą, że ten pomysł jest bardzo niezdrowy, bo skłania uczelnie do pełnej rywalizacji. Po kilku latach pompowania środków w 10 najsilniejszych ośrodków, pieniądze, jakie otrzymywała druga dziesiątka, są absolutnie niewystarczające, żeby nadgonić dystans, jaki się wytworzył. Gdybym był ministrem i mógł to zmienić, bo konieczne są zmiany w ustawie, to próbowałbym znacznie uelastyczyć program IDUB. Wprowadziłbym rotację co dwa, trzy lata, a uczelniom z drugiej dziesiątki przyznałbym trochę większe środki.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Samorządowcy z ANSów

O studenckim ruchu samorządowym pisaliśmy szerzej w poprzednim numerze „Forum Akademickiego”. Oprócz samorządów uczelnianych i Parlamentu Studentów RP istnieje jeszcze jedna forma zrzeszeń studenckich, mianowicie fora, grupujące samorządy poszczególnych typów uczelni, np. Forum Uniwersytetów Polskich grupuje samorządy studenckie uniwersytetów klasycznych. Podobnie istnieje i działa Forum Akademii Nauk Stosowanych (dawniej Forum Państwowych Wyższych Szkół Zawodowych).

Państwowe uczelnie zawodowe powstały na podstawie ustawy z 26 czerwca 1997 roku. Już rok później powstała pierwsza Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa w Tarnowie, a wkrótce kolejne, m.in. w Elblągu, Jeleniej Górze czy Nowym Sączu. Rozwój tego typu uczelni stworzył potrzebę współpracy między samorządami studenckimi i ich wspólnej reprezentacji na forum ogólnopolskim. Tzw. Porozumienie Kaliskie podpisały 22 lutego 2002 roku samorządy studenckie 15 PWSZ, w tym m.in. z Ciechanowa, Elbląga, Kalisza, Konina, Legnicy, Leszna, Nowego Sącza i Tarnobrzegu. W kolejnych miesiącach do porozumienia dołączały następne uczelnie, a Rada Studentów PSRP powołała Komisję ds. PWSZ. Jej zadaniem było reprezentowanie interesów studentów uczelni zawodowych w strukturach ogólnopolskich.

Za początek działalności Forum uznaje się I Forum Państwowych Wyższych Szkół Zawodowych, które odbyło się 21–23 lutego 2003 r. w Lesznie. W spotkaniu uczestniczyli przedstawiciele samorządów z całego kraju. W kolejnych latach struktura się umacniała – do 2010 roku Komisja PWSZ PSRP zrzeszała już 36 samorządów.

Kolejnym krokiem było przekształcenie Komisji PWSZ w Forum Uczelni Zawodowych w 2017 r. Wraz z reformą szkolnictwa wyższego i zmianą statusu uczelni na Akademię Nauk Stosowanych, 30 marca 2019 r. Forum przyjęło obecną nazwę. Dziś zrzesza 33 samorządy studenckie z całej Polski.

Ważnym dowodem na dojrzałość środowiska Forum ANS był wybór Kewina Lewickiego, studenta pilotażu w ASN w Chełmie, na przewodniczącego Parlamentu Studentów RP podczas XXX Konwentu Przewodniczących Samorządów Studenckich w Warszawie

w dniach 25–27 listopada 2022 roku. Po raz pierwszy w historii na czele ruchu studenckiego w Polsce stanął przedstawiciel publicznej uczelni zawodowej. Podczas XL Zjazdu Forum ANS w Tarnobrzegu 23 marca 2024 zainaugurowano inicjatywę Akademicki Laur – ogólnopolską nagrodę środowiska ANS, której celem jest wyróżnianie osób szczególnie zasłużonych dla samorządności studenckiej.

W dniach 6–9 listopada we Włocławku odbył się XLIII Zjazd Forum Akademii Nauk Stosowanych. Przedstawiciele samorządów studenckich z całego kraju spotkali się, aby obradować oraz wybrać nowe władze komisji branżowej. Przewodniczącym w kadencji 2025/2026 został Krystian Wiśniewski z Państwowej Akademii Nauk Stosowanych we Włocławku, który dotychczas pełnił funkcję członka Prezydium. Na stanowisku zastąpi Mateusza Stopkę-Gadeja z Akademii Nauk Stosowanych w Nowym Targu, przewodniczącego w kadencji 2024/2025. Odbyły się też wybory nowego Prezydium, którego przewodniczącym został Krystian Wiśniewski, a w jego skład weszli: wiceprzewodnicząca Julia Mastalerz (Akademia Łomżyńska), wiceprzewodniczący Ambroży Żychiewicz (PANS w Krośnie), sekretarz Małgorzata Banasiak (PANS w Ciechanowie) oraz Wojciech Maksymiuk (Akademia Białska), Dominika Zbylut (PANS w Krośnie), Oskar Zamiara (ANS w Gnieźnie) i Łukasz Kozłowski (Karkonoska ANS). W skład Komisji Rewizyjnej kadencji 2026 zostały powołane: Marta Stuglik (ANS w Nowym Targu), Oliwia Goździńska (ANS w Lesznie), Klaudia Milewska (AŁ). Radę Starszych w roku 2026 będą tworzyć: Kamil Piotr Bańka, Miłosz Gast, Marlena Bliźniuk, Mateusz Stopka-Gadeja.

(m) „Forum Akademickie” było patronem medialnym wydarzenia



Fot. PANS

Magdalena Barwiołek, Anna Budzanowska, Barbara Jankowska, Anna Jurkowska-Zeidler, Bogumiła Kaniewska, Bianka Siwińska, Lucyna Woźniak, Danuta Zawadzka

Rektorki piszą nowy rozdział akademii

Na uczelniach widać wiele ciężko pracujących kobiet, które mają przygotowanie, by kierować instytucją. Mimo to niewiele z nich dochodzi do najwyższych funkcji. Modelowa kobiecość nie współgra z archetypem rektora, symbolem tradycji i autorytetu. Uniwersytet jest instytucją zachowawczą. Wizja tego, kim powinien być lider akademicki, wciąż podlega restrykcyjnym normom.

– Chcemy się inspirować, wspierać i budować kulturę współpracy, w której energia kobiet nie ginie w strukturach, lecz przekłada się na konkretne działania – mówiła prof. Magdalena Barwiołek, prorektor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, podczas inauguracji pierwszego zjazdu rektorek polskich uczelni akademickich i zawodowych. – Wspieranie kobiet w rolach przywódczych w środowisku akademickim nie jest już

kwestią wizerunkową, lecz strategicznym warunkiem rozwoju uczelni. Uniwersytet XXI wieku nie może opierać się na jednym, wąsko zdefiniowanym profilu lidera. Potrzebujemy różnorodności stylów przywództwa, wrażliwości społecznej, otwartości na dialog i umiejętności łączenia perspektyw w budowaniu wspólnoty. Kobiety wnoszą te elementy w sposób szczególnie autentyczny i naturalny. Wspieranie ich przywództwa nie jest



Fot. Andrzej Romanicki



Fot. Andrzej Homalski

więc „uprzejmością”, ale inwestycją w jakość, odporność i nowoczesność polskich uczelni – podkreślała dr hab. Anna Jurkowska-Zeidler, prof. UG, prorektorka Uniwersytetu Gdańskiego. – Panie prorektorki na każdym kroku pokazują, jak wiele mają do powiedzenia i jak wiele wnoszą w rozwój uczelni. Zrównoważony skład władz to nie tylko kwestia równości, ale też jakości zarządzania – przekonywał podczas otwarcia zjazdu prof. Andrzej Tretyn, rektor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, który w swojej ekipie rektorskiej aż trzy etaty prorektorskie, czyli połowę dostępnych, powierzył kobietom, a kolejne ustanowił swoimi pełnomocnikami do kierowania różnymi sprawami uniwersytetu.

Blisko sto kobiet, liderek, zasiadających we władzach uczelni spotkało się 14 listopada w Collegium Maximum UMK, budynku, który pamięta najważniejsze momenty w historii polskiej nauki. To wydarzenie bez precedensu w historii polskiego szkolnictwa wyższego. Nigdy wcześniej tyle kobiet stojących na czele uczelni nie usiadło przy jednym stole, by wspólnie rozmawiać o modelu przywództwa, współpracy i najważniejszych wyzwaniach współczesności. Zjazd miał zarówno wymiar symboliczny, jak i programowy. Toruńskie Collegium Maximum pulsowało energią debaty o tym, jak zmienia się rola kobiet w nauce i jak redefiniować pojęcie przywództwa akademickiego, by było ono bardziej otwarte, wspólnotowe i oparte na równości.

Liczby, które mówią same za siebie

Na świecie pionierki-rektorki pojawiały się od pierwszej połowy XX w., zwłaszcza w uczelniach kobiecych i instytucjach specjalistycznych. W ostatniej dekadzie nastąpiło istotne przyspieszenie: w 2015 r. w uczelniach z Top200 THE było 28 liderek, w 2025 już 55. W Europie EUA odnotowała 73% wzrost liczby rektorek w ciągu 8 lat (do 2022 r.). W tej chwili w Unii Europejskiej kobiety stanowią ok. 26% „heads of institutions” (2022), przy czym odsetek ten rośnie powoli (+2 p.p. vs 2019). W gronie 200 uczelni z czołówki rankingu THE 2025 już 27% jest kierowanych przez kobiety (wzrost z 24% w 2023). W USA udział rektorek we władzach uczelni to ok. 33%, ale rozkłada się nierówno: najwyższy w uczel-

niach dwuletnich (community colleges) ok. 36%, najniższy w dużych ośrodkach badawczych.

Na pewno trudno mówić o pełnej równości również w Polsce. Przez dziesięciolecia polska akademia była zdominowana przez męski model przywództwa. Jednak w ostatnich latach widać pierwsze oznaki zmiany. W kadencji 2024–2028 uczelniami akademickimi kieruje już 12 rektorek, a uczelniami zawodowymi 10. W strukturach Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich zasiada 39 prorektorek. To dużo i jednocześnie wciąż niewiele, jeśli przypomnieć wyniki badań prowadzonych przez prof. Dominika Antonowicza, dr Annę Pokorską i dr Marjukę Mikkonen w Katedrze Badań nad Nauką i Szkolnictwem Wyższym UMK w Toruniu.

Między 1990 a 2019 rokiem kobiety sprawowały zaledwie 14 z blisko 350 stanowisk rektorskich na publicznych uczelniach akademickich, a na uniwersytetach tylko 3 na 137. Od 2020 roku wzrasta liczba kobiet we władzach uniwersytetów szerokoprofilowych. Od 1990 roku do 2020 tylko dwie kobiety objęły stanowisko rektorskie, sprawując łącznie trzy kadencje. Wybory rektorskie w 2020 roku były symboliczne. Po 30 latach hegemonii mężczyzn, społeczność Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i Uniwersytetu Łódzkiego wybrała na najwyższe stanowisko zarządcze kobiety. Jednocześnie na wszystkich uniwersytetach zwiększyła się liczba prorektorek. Podobne proporcje kobiet we władzach uniwersytetów są w obecnie trwającej kadencji. Sytuacja jest o tyle zaskakująca, że zgodnie z tradycją akademicką, osoby na najwyższych stanowiskach zarządczych rekrutują się spośród kadry profesorskiej, tymczasem liczba kobiet z tym tytułem od lat jest niższa niż mężczyzn (np. w 2018 roku tytuł profesora nadano 481 osobom, z czego 38% to kobiety, a w roku 2023 otrzymały go 626 osoby, z czego 41% to kobiety). Kluczowy dla zrozumienia wzrastającej liczby kobiet na stanowiskach zarządczych na uniwersytetach może być zatem kontekst wyborów od 2020 roku. W tym okresie wchodzi w życie Ustawa 2.0, która redefiniuje funkcję rektorską, dodając do jej tradycyjnie symbolicznego i reprezentacyjnego charakteru zasadę rozliczalności. Uniwersytety mierzą się ze skomplikowanymi konsekwencjami pan-

demii, a nieco później również ze skutkami wojny na Ukrainie i niskim poziomem finansowania z budżetu państwa. Kadencje od 2020 są naznaczone większym ryzykiem, przemianami otoczenia społeczno-gospodarczego, koniecznością szukania oszczędności, a to wszystko przy większej odpowiedzialności rektora/rektorki za podejmowane decyzje. Wymagają zatem nowego podejścia do pełnienia funkcji rektorskiej. Z jednej strony włączenie kobiet w struktury zarządcze w tym określonym momencie, może być emanacją zjawiska „szklanego klifu” (dopuszczanie kobiet do awansów w sytuacjach kryzysowych), z drugiej może to być przejaw zapotrzebowania uniwersytetu jako instytucji na nowy model zarządzania: oparty na kompetencjach eksperckich i specjalistycznej, kierunkowej wiedzy. Jest to model szczególnie ceniony przez liderki uniwersyteckie i pozostający podstawowym odniesieniem w planowaniu i rozwijaniu własnych karier w strukturach administracyjnych. Zapotrzebowanie na ten typ zarządzania zwiększa pulę kandydatek do stanowisk zarządczych i może utrwalić ważną rolę kobiet na najwyższych szczeblach władzy.

– Na uczelniach widać wiele ciężko pracujących kobiet, które mają przygotowanie, by kierować instytucją. Mimo to niewiele z nich dochodzi do najwyższych funkcji – tłumaczyła podczas zjazdu dr Anna Pokorska. – Modelowa kobiecość nie współgra z archetypem rektora – symbolem tradycji i autorytetu. Uniwersytet jest instytucją zachowawczą. Wizja tego, kim powinien być lider akademicki, wciąż podlega restrykcyjnym normom.

Ten archetyp – mężczyzna po pięćdziesiątce, z imponującym dorobkiem naukowym – wciąż dominuje w zbiorowej wyobraźni akademii. Stereotyp think leader – think male pozostaje silny: gdy myślimy o liderze, myślimy o mężczyźnie. Jak zauważyła podczas zjazdu Aleksandra Karasińska, dyrektorka Fundacji Ringier Axel Springer Polska, wciąż pokutuje przekonanie, że autorytet i władza są z natury męskie, a empatia i współpraca to cechy „miękkie”, mniej pożądane w roli rektora.

Jak podkreślała prof. Bogumiła Kaniewska, rektorka Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, przewodni-

I Zjazd Rektorek na zaproszenie prof. Andrzeja Tretyna został zorganizowany z inicjatywy: dr hab. Magdaleny Barwiołek, prof. UMK – prorektorki UMK; dr hab. Anny Budzanowskiej – byłej wiceministry nauki; prof. dr hab. Barbary Jankowskiej – rektorki Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu; dr hab. Anny Jurkowskiej-Zeidler, prof. UG – prorektorki Uniwersytetu Gdańskiego; prof. dr hab. Bogumiły Kaniewskiej – rektorki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu; dr Bianki Siwińskiej – prezeski Fundacji Edukacyjnej Perspektywy; prof. dr hab. Lucyny Woźniak – prorektorki Uniwersytetu Medycznego w Łodzi; dr hab. Danuty Zawadzkiej, prof. PK – rektorki Politechniki Koszalińskiej.

Od momentu pojawienia się pomysłu inicjatywę wspierała prof. Maria Mrowczyńska, wiceministra nauki. Jej zaangażowanie było naturalne – jako prorektorka Uniwersytetu Zielonogórskiego od lat działa na rzecz wzmocnienia roli kobiet w środowisku akademickim.

cząca KRASP: – Żeby nastąpiła równość, potrzebna jest świadomość. Stosunkowo łatwo jest zmienić prawo, struktury, najtrudniej jest zmienić ludzką mentalność, pamięć. Jeżeli mamy tę świadomość zmienić, potrzebujemy systematycznych działań.

Nowe przywództwo: empatia, współpraca, wpływ

Podczas toruńskiego zjazdu przywoływano nowy sposób myślenia. Uczestniczki podkreślały potrzebę modelu liderstwa opartego na empatii, dialogu i wspólnocie. Tylko takie zrównoważone i zaangażowane przywództwo „blisko ludzi” może być skuteczną odpowiedzią na wyzwania współczesności.

– Jesteśmy tu po to, żebyśmy się wspierały i razem pokazywały, że kobiety naprawdę mogą podbić świat, budując swoje „success story”, każda z nas osobno i wszystkie razem – podkreśliła prof. Danuta Zawadzka, rektorka Politechniki Koszalińskiej.



Fot. Andrzej Romanik

W wypowiedziach często pojawiało się pojęcie przywództwa transformacyjnego, modelu, który zamiast hierarchii i rywalizacji stawia na relacje i długofalową wizję. Ta zmiana – od konkurencji do kooperacji, od hierarchii do wspólnotowości – wpisuje się w globalne idee ESG (Environmental, Social, Governance) oraz Społecznej Odpowiedzialności Uczelni (University Social Responsibility).

– Zarządzanie oparte na empatii i dialogu to nie trend, ale przyszłość akademii – zaznaczyła prof. Lucyna Woźniak, prorektorka Uniwersytetu Medycznego w Łodzi i członkini zarządu European Women Rectors Association (EWORA). Dr hab. Anna Budzanowska, była wiceministra nauki, dodała: – Współpraca między liderkami różnych uczelni może realnie zmieniać akademię i wprowadzać do niej nowe wartości.

Od wartości do działania

– Dążenie do prawdy, szacunek do innych i odwaga do wychodzenia ze swojej strefy komfortu – to trzy najważniejsze cechy członka wspólnoty akademickiej. Kobiety wnoszą do nauki i zarządzania uczelniami unikatowe perspektywy i umiejętności – podkreśla prof. Barbara Jankowska, rektorka Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu. – Mają predyspozycje przedsiębiorcze oraz silne kompetencje merytoryczne, a to połą-

czenie, które sprzyja rozwojowi całej akademii. Brak równych szans w rozwoju kariery na rynku pracy niezależnie od sektora generuje straty ekonomiczne w zakresie utraconego potencjału talentów, niższej innowacyjności organizacji i niższych wpływów do budżetu państwa.

Badania World Bank Group zamieszczone w raporcie *Women, Business and the Law* z 2024 roku pokazują, że zamknięcie luki genderowej mogłoby wygenerować nawet o 20% większy PKB, podobne tezy znajdziemy w opracowaniu McKinsey Global Institute *The Power of Parity*, gdzie pokazuje się, że gdyby kobiety uczestniczyły w aktywności gospodarczej tak jak mężczyźni, globalny PKB mógłby być większy o 26%. Wreszcie raport International Labour Organisation wskazuje, że przedsiębiorstwa, w których przynajmniej 30% składu zarządu stanowią kobiety, osiągają lepsze wyniki i lepiej się rozwijają. Zatem włączanie kobiet i ich awansowanie to droga do lepszego wykorzystywania talentów, odejście od marnotrawstwa edukacji i inwestycji w naukę.

Zjazd w Toruniu był nie tylko symbolicznym gestem. To sygnał, że w polskiej nauce zachodzi głęboka zmiana, zarówno pokoleniowa, jak i kulturowa. Coraz więcej kobiet robi doktoraty i habilitacje, a ich udział w zarządzaniu uczelniami systematycznie rośnie.

600 lat czekania na miejsce przy stole

Dlaczego I Zjazd Rektorek w Toruniu była taki wyjątkowy? Nie zapominajmy, że historia polskiego szkolnictwa wyższego to w ogromnej mierze historia mężczyzn. To im przez ponad 600 lat istnienia polskich uniwersytetów powierzane były nie tylko wszystkie funkcje rektorskie, ale i możliwość studiowania w ogóle. Zmianę przyniósł dopiero początek XX wieku, gdy uniwersytety zaczęły przyjmować w poczet studentów także i kobiety. Przez kolejne dziesięciolecia zmiany postępowały, ale raport *Feminization of Higher Education in Poland in 1918-2018* ukazuje, że choć kobiety coraz częściej studiowały i pracowały naukowo, to ich obecność na wyższych stanowiskach kierowniczych była bardzo ograniczona aż do przełomu lat 80/90 XX wieku. Dopiero w latach 80. XX wieku pojawiła się pierwsza rysa na tym monolicie: w latach 1981-1987 stanowisko rektorki Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego objęła prof. Maria Joanna Radomska, jako pierwsza kobieta w Polsce, która stanęła na czele uczelni publicznej. Ten fakt dobrze pokazuje skalę historycznego przesunięcia: przez stulecia akademie były strukturą tworzoną przez mężczyzn i dla mężczyzn, a figura rektora była niemal nierozdzielnie związana z męską tożsamością, autorytetem i patriarchalnym modelem sprawowania władzy.

Zmiana w obecności kobiet na najwyższych stanowiskach uczelni w Polsce zaczęła się realnie po roku 1989. Transformacja systemowa wraz z europejską integracją szkolnictwa wyższego utworzyły warunki, w których kobiety mogły zdobywać wyższe stopnie naukowe, kandydować do władz uczelni i być widoczne jako liderki. Badania wskazują, że w latach 1990-2019 na publicznych uczelniach akademickich kobieta pełniła funkcję rektora tylko raz na 45 kadencji. Badania pokazują, że dopiero okres po transformacji demokratycznej w 1989 r., wraz ze zmianami ustrojowymi i społecznymi, stał się momentem, w którym warunki zaczęły się radykalnie zmieniać, choć tempo wchodzenia kobiet na najwyższe stanowiska w uczelniach było (i jest) powolne.

Na początku XXI wieku kobiety stanowiły już większość studentek i doktorantek, a także coraz większą część kadry badawczej. To zbudowało „bazę talentów”, bez której nie byłoby możliwe wejście kobiet na najwyższe stanowiska. Dopiero przystąpienie Polski do UE w 2004 r. oraz udział w programach takich jak Erasmus, Horyzont, ERA, EIGE czy EWORA wprowadziły nowe normy dotyczące różnorodności w zarządzaniu. De facto ostatnie dwie dekady przyniosły badania i dyskusje pokazujące, że tradycyjny model rektora jako „twardego, męskiego lidera” nie jest ani jedynym, ani najlepszym. Tymczasem kobiety zaczęły proponować inne style przywództwa: oparte na dialogu, współpracy, długofalowym myśleniu i odporności psychicznej. Tak jak podkreślała współorganizatorka toruńskiego zjazdu, prof. M. Barwiołek, celem współczesnych liderki nie jest wyścig z mężczyznami o władzę nad szkolnictwem wyższym, ale budowanie nowoczesnego, inkluzywnego modelu zarządzania, w którym liczy się współpraca, różnorodność perspektyw i wzajemne wsparcie.

Idea, o której mówi dr hab. Barwiołek, doskonale wpisuje się w europejskie kierunki rozwoju szkolnictwa wyższego. W całej Unii przywództwo oparte na współpracy, równowadze i transparentności staje się standardem, a nie postulatem. To właśnie z tego założenia wychodzi EWORA (European Women Rectors Association), organizacja zrzeszająca rektorki i prorektorki z całej Europy, która od lat podkreśla, że różnorodne zespoły zarządcze lepiej reagują na kryzysy, szybciej adaptują zmiany i skuteczniej budują innowacje. Z kolei European University Association (EUA) zwraca uwagę, że uczelnie, które wprowadzają Gender Equality Plans, HR Excellence in Research i polityki inkluzywnego zarządzania, osiągają wyższy poziom stabilności instytucjonalnej, lepszą kulturę pracy i mocniejszą pozycję konkurencyjną w międzynarodowych rankingach.

Dotychczasowa wizja traci monopol. Świat nauki coraz wyraźniej potrzebuje przywództwa opartego na empatii i równości. W dobie globalnych kryzysów – klimatycznego, cyfrowego, społecznego – takie przywództwo staje się nie luksusem, lecz koniecznością.

Stowarzyszenie Rektorek Polskich

W Toruniu zapadła decyzja, że Pierwszy Zjazd Rektorek nie może pozostać jednorazowym wydarzeniem. Rozpoczęto rozmowy o powołaniu Stowarzyszenia Rektorek Polskich, które będzie platformą współpracy, mentoringu i rzecznictwa w sprawach szkolnictwa wyższego i kobiet w nauce.

Jak podkreśla prof. Anna Jurkowska-Zeidler: – Kluczowe jest tworzenie przestrzeni, w których kobiety mogą się wzajemnie wspierać, inspirować i umacniać w przekonaniu, że ich głos współtworzy potrzebną zmianę. Silne sieci mentorskie, programy rozwoju przywództwa oraz większa widzialność kobiet na kluczowych stanowiskach realnie zmieniają reguły gry. Liderki wspierające inne kobiety wzmacniają nie tylko siebie nawzajem, lecz także całą instytucję, ponieważ różnorodność doświadczeń przekłada się na lepsze zarządzanie, większą innowacyjność i bardziej włączającą kulturę organizacyjną.

Organizowanie się kobiet-liderek dla wspólnych działań w biznesie, polityce, technologiach, czyli we wszystkich obszarach gdzie kobiety są wciąż niedoreprezentowane, jest naturalnym kierunkiem rozwoju. Takim obszarem jest też przywództwo akademickie. Takie stowarzyszenia działają od dawna na całym świecie, w Europie: EWORA – European Women Rectors Association, w Wielkiej Brytanii – Women in Higher Education Network. W USA: ACE Women's Network (sieci stanowe), HERS (Higher Education Resource Services), Women's College Coalition (prezydentki uczelni kobiecych). W Kanadzie: SWAAC – Senior Women Academic Administrators of Canada, a w Australii Universities Australia Women. Azja nie pozostaje w tyle, działa Asia Pacific Women in Leadership, a w Chinach odbywa się największe światowe World Women University Presidents Forum.

– Kobięce przywództwo nie jest alternatywą. Jest naturalną częścią środowiska akademickiego. Dlatego tak ważne jest, byśmy się wspierały i były w kontakcie – mówiła prof. Barbara Jankowska. Dlatego już zapowiedziano kolejne spotkania: 11 czerwca 2026 roku, w ramach Perspektywy Women in Tech Summit, oraz jesienią 2026 roku w Poznaniu, organizowane

przez prof. Bogumiłę Kaniewską (UAM) i prof. Barbarę Jankowską (UEP). W 2027 polskie i europejskie rektorki spotkają się we współpracy z EWORA w Łodzi.

Fundamenty nowej akademii

Historia polskiego szkolnictwa wyższego przez dziesięciolecia była historią mężczyzn – rektorów w tozde, autorytetów z marmuru. Zjazd w Toruniu pokazuje, że zaczyna się nowy rozdział. Kobiety wchodzą do przestrzeni, w której przez lata były jedynie „gośćmi z upoważnienia”. Robią to inaczej, z większą uważnością, otwartością i przekonaniem, że siła uniwersytetu nie leży w hierarchii, lecz w dialogu i wpływie. Jeśli ta zmiana się utrwali, dane przytaczane przez badaczki staną się już tylko przypisem do historii. Archetyp rektora „w tozde” ustąpi miejsca nowemu symbolowi: rektorce, która buduje mosty zamiast murów.

– Frekwencja Zjazdu pokazała, że taka przestrzeń jest nam bardzo potrzebna. To, co robimy, nie jest wymierzono przede wszystkim komuś lub czemuś. Chcemy zbudować solidne fundamenty współpracy, inspirować się do nowych projektów, wspierać się i rozwiązywać problemy. Mimo że jesteśmy z tak wielu różnych uczelni z całego kraju, wyzwania mamy bardzo podobne. Energii nam nie brakuje, szkoda więc by było jej nie spożytkować – podsumowała prof. Magdalena Barwiołek.

– Spotkało się tu mnóstwo pionerek, kobiet, które zrobiły coś po raz pierwszy – pierwsze rektorki i prorektorki w historii swoich uczelni, jednocześnie kobiety obejmujące jako pierwsze funkcje kierownicze w obszarach dotąd całkowicie zmaskulinizowanych: w policji, w marynarce, patomorfologii, hydrografii, genetyce czy informatyce, inicjatorki ważnych inicjatyw, liderki środowisk, prawdziwe role models. Z takiej energii musi rodzić się zmiana – podsumowała dr Bianka Siwińska.

dr hab. Magdalena Barwiołek, prof. UMK – prorektorka UMK,

dr hab. Anna Budzanowska – była wiceministra nauki,

prof. dr hab. Barbara Jankowska – rektorka Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu,

dr hab. Anna Jurkowska-Zeidler, prof. UG – prorektorka Uniwersytetu Gdańskiego,

prof. dr hab. Bogumiła Kaniewska – rektorka Uniwersytetu

im. Adama Mickiewicza w Poznaniu,

dr Bianka Siwińska – prezeska Fundacji Edukacyjnej Perspektywy,

prof. dr hab. Lucyna Woźniak – prorektorka Uniwersytetu Medycznego w Łodzi,

dr hab. Danuta Zawadzka, prof. PK – rektorka Politechniki Koszalińskiej,



Fot. Andrzej Romanicki

Akademickie starzenie się

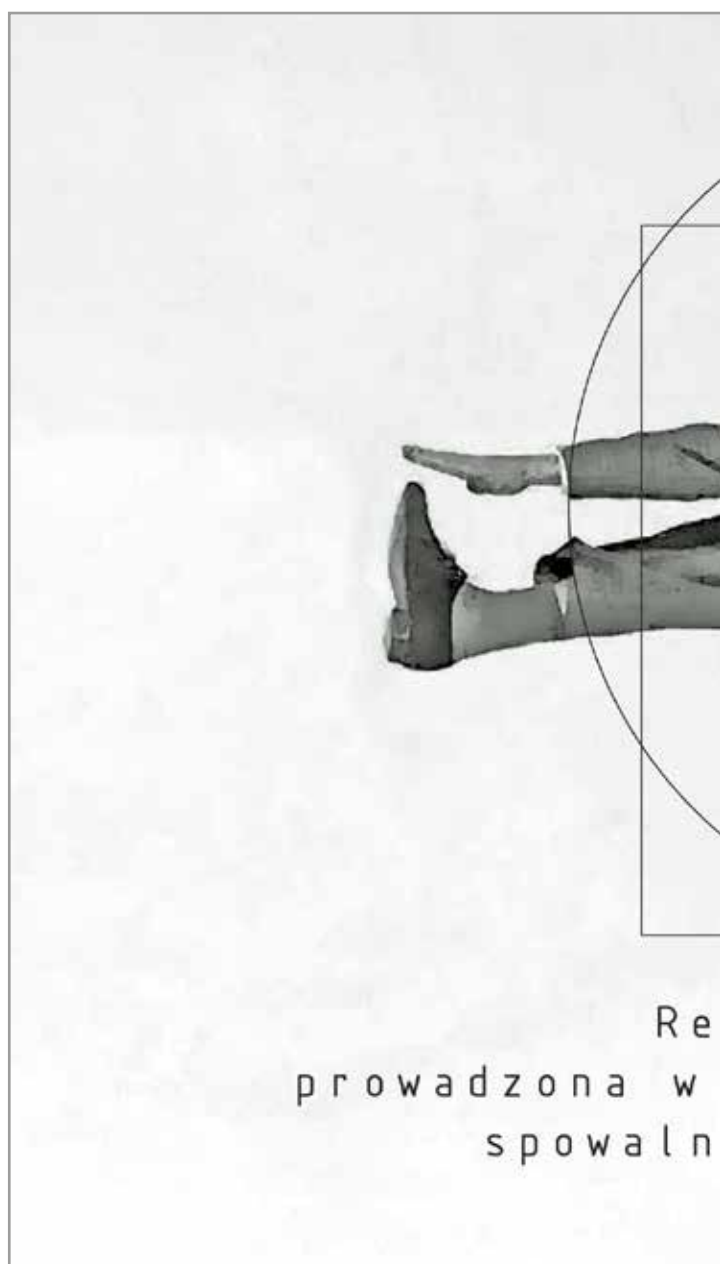
Co można zrobić w sytuacji, gdy w życiu uczonego pojawia się poczucie zniechęcenia i zawodowego wypalenia? Nie ma przekonującej odpowiedzi na to pytanie. Wiele bowiem zależy od tego, w jakim okresie zawodowej aktywności one się pojawiają. Zawsze jednak należy mierzyć zamiary według sił.

Starość nie musi oznaczać, że trzeba się rozglądać za jakąś opieką lub przynajmniej liczyć na wyrozumiałość ze strony otoczenia. Są przecież tacy, którzy potrafią sobie dobrze radzić w zaawansowanym wieku, zaradności może im pozazdrościć niejeden młodzieniaszek. Wiele jednak zależy od tego, jak się żyło i kim się było w młodszym wieku. Nie inaczej jest z akademickim starzeniem się.

O starzeniu się akademickich instytucji

Zacznę od Akademii. Pierwszą z nich założył w czasach starożytnych w Atenach (w parku poświęconym herosowi Akademosowi) Platon. Giovanni Reale w swojej *Historii filozofii starożytnej* twierdzi, że ta Akademia „bardzo szybko znalazła uznanie i przyciągnęła znaczną liczbę młodych, a także sławnych ludzi”. Okazało się jednak, że najzdolniejsi z uczniów Platona nie podzielają nauk mistrza. Jednym z najbardziej znaczących był Arystoteles, na którego autorytet w nauce wielokrotnie powoływano się w późniejszych wiekach. Platonizm innych sukcesorów Akademii kojarzony był zaś ze sceptycyzmem, który nie pozostawiał miejsca na żaden dogmatyzm. Jednak tylko stosunkowo nieliczni skłonni byli podpisać się pod twierdzeniem przedstawiciela Trzeciej Akademii Ateńskiej, Karneadesa, że „wszelka wiedza jest niemożliwa, z wyjątkiem wiedzy, że wszelka inna wiedza jest niemożliwa”.

Natomiast i dzisiaj niektórzy podpisują się pod platońskim pojmowaniem wiedzy i władzy. Jednym z nich jest Allan Bloom. W książce pt. *Umysł zamknięty* w powrocie do platońskiej filozofii widzi on ratunek dla szkolnictwa wyższego w Stanach Zjednoczonych, które jego zdaniem znajduje się w stanie głębokiego upadku (w podtytule stwierdza, że „zawiodło ono demokrację i zubożyło duszę dzisiejszych studentów”). Powiedzmy jasno: taki powrót oznaczałby nie tylko zamknięcie akademickich drzwi dla kobiet, ale także selekcję, która z większości akademików uczyniłaby bezkrytycznych strażników „jedynie prawdziwej prawdy” albo wyrobników, którzy nie są w stanie takiej prawdy pojąć. Obecnie wiele instytucji występuje pod szyldem akademii. Jednak tylko w stosunkowo niewielu prowadzi się badania naukowe na wysokim poziomie. W niektórych stawia się przede wszystkim na nauki stosowane. Mogą one być również nauką, jednak pod warunkiem, że nie sprowadza się ich do praktycznych umiejętności, jakich oczekują się od sprawnego rzemieślnika.

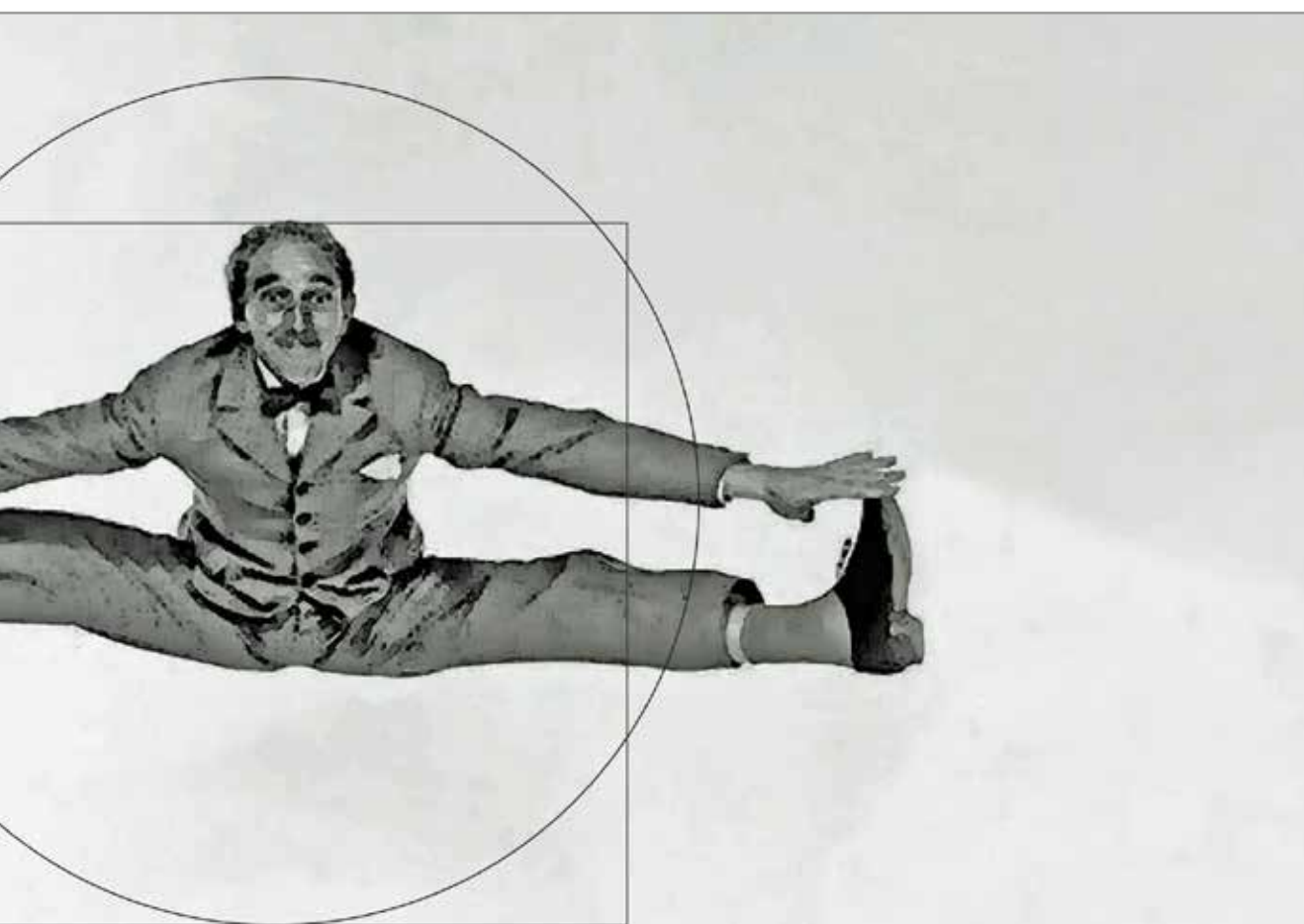


W czasach średniowiecza pojawiły się najpierw przykościelne szkoły wyższe a później uniwersytety. Jedne i drugie istnieją do dzisiaj. Jednak to tym drugim udało się wykreować wartości i wielkości, które oznaczają odejście od ideowej kurateli teologów i wspierających ich kościołów. Rzecz jasna nie dokonano się to ani szybko, ani tak radykalnie, żeby na uniwersytetach nie pozostał po nich ślad. Można się o tym przekonać przebywając chociażby na najstarszym z uniwersytetów angielskich, tj. założonym w 1209 r. Uniwersytecie Cambridge. W nazwach jego jednostek organizacyjnych nadal występują takie określenia jak: Magdalen College (zał. w 1428 r.), Jesus College (zał. w 1496 r.), czy Trinity College (zał. w 1546 r.). Liczą się w nich jednak nie tylko tradycyjne nazwy, ale także akademicki „duch” zmian, który sprawił, że uczelnia od lat zajmuje czołowe miejsca na prestiżowej liście szanghajskiej najlepszych uniwersytetów na świecie. Kościelny rodowód miało również wiele uniwersytetów w Europie kontynentalnej, w tym sławna do początków XX w. Sorbona; powstała ona w 1253 z przekształcenia jednego z kolegiów Uniwersytetu Paryskiego. To, że w 1968 r. „rozmnożyła” się na 13 samodzielnych uniwersy-

tetów, było następstwem zestarzenia się jej struktur organizacyjnych i zarządczych, przez co przestała spełniać współczesne wymagania studentów i kadry. Rzecz jasna, niejedna z młodszych uczelni chciałaby się tak zestarzyć, aby do ich drzwi pukały tłumy chętnych do podjęcia studiów i pracy. Sytuacja z uniwersytetami na świecie, w tym w Polsce, jest podobna jak z akademiami: są liczne, ale takich, w których prowadzi się badania i kształcenie na wysokim poziomie jest stosunkowo niewiele.

Starzenie się teorii

Od wieków aspiracją uczonych jest sformułowanie takich teorii naukowych, które przetrwałyby nawet najbardziej surowo sprawdziany i wystawiały im świadectwo nieomyślności. Jak dotąd żadnemu z nich to się nie udało. Warto jednak próbować, bowiem takie próby stanowią „koło napędowe” postępów w nauce. Zachętą może być to, że niektóre teorie miały stosunkowo długi żywot. Należy do nich m.in. teoria heliocentryczna. Idea Ziemi krążącej wokół Słońca pojawiła się już w V w. p.n.e. u greckiego filozofa Filolosa z Krotyny. W III w. p.n.e. upowszechnił ją Arystarch



gularna gimnastyka
trakcie rozważań akademickich
ia proces starzenia się

z Samos, który „dopisał” do niej teorię „centralnego ognia”, regulującego ruchy Wszechświata. Za przełomową uznają się jednak dopiero tę jej wersję, która pojawiła się na kartach opublikowanego w 1543 r. dzieła Kopernika *O obrotach sfer niebieskich*. Czy ta teoria się nie zestarzała? Pod niektórymi względami nie, ale pod innymi tak. Nie sądzę, aby poważny uczyony podpisał się dzisiaj pod twierdzeniem Kopernika, że środek Wszechświata znajduje się „gdzieś w pobliżu Słońca”. W świetle wizji, jakie pojawiają się na kartach książki Stephena Hawkinga *Krótką historią czasu* jest ono po prostu naiwne.

Długi rodowód ma również teoria ewolucji. Jej sformułowanie przypisywane jest Karolowi Darwinowi. W każdym razie pojawia się ona na kartach jego opublikowanego w 1859 r. dzieła *O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego*. M. White i J. Gribbin w książce *Darwin. Żywot uczonego* stwierdzają, że „Karol Darwin nie był pierwszym człowiekiem, który zwrócił uwagę na zjawisko ewolucji” i wymieniają m.in. Empedoklesa z Akragas (jego zdaniem, „po uformowaniu się Ziemi najpierw pojawiło się życie roślinne, a dopiero później z roślin «wypocząkowało» życie zwierzęce”) czy Franciszka Bacona („200 lat przed wyprawą Darwina na pokładzie *Beagle* i ponad 300 lat przed odkryciem DNA, przedstawił wyjątkowo jasny opis możliwości inżynierii genetycznej”). Dzisiaj niejedna naukowa placówka prowadzi badania z zakresu biologii ewolucyjnej, a niektóre z nich na swoich szyldach powołują się na Darwina. Jednak trudno byłoby wśród nich znaleźć biologa ewolucyjnego, który podpisałby się pod darwinowską tezę, że jego teoria w sposób wystarczający wyjaśnia powstawanie i modyfikowanie gatunków. Niektórzy uczeni, np. Ronald Fischer, uzupełniają ją o genetykę mendelowską. Inni, jak August Weismann, korygują ją poprzez wskazanie „barier” między „nieśmiertelnymi” liniami komórek rozrodczych produkujących gamety a „jednorazowymi” komórkami somatycznymi u zwierząt. Teorię ewolucji Darwina można korygować i wzbogacać o ustalenia, które sprawiają, że zachowuje ona naukowy charakter.

Czy to samo można powiedzieć o teoriach, które pojawiają się w historii jako jednej z dyscyplin humanistycznych? Mam poważne wątpliwości. Rzecz nie w tym, że uogólnienia w niej formułowane nie są w ścisłym tego słowa znaczeniu prawami nauki. Są generalizacjami historycznymi o ograniczonym zakresie ważności, które proponują jedni historycy a kwestionują inni. Tradycje te sięgają czasów starożytnych, kiedy pojawili się m.in. Herodot (w jego *Dziejach* przedstawione są generalizacje dotyczące ówczesnego świata greckiego, perskiego i egipskiego) oraz Tukidydes (autor *Historii wojny peloponeskiej*). W średnowieczu generalizacje dotyczące państwa ziemskiego i państwa nadprzyrodzonego przedstawił Aureliusz Augustyn w swoim *Państwie Bożym*. W czasach nowożytnych generalizacje dotyczące panujących w Anglii królów przedstawił David Hume w wielotomowej *Historii Anglii*. Natomiast w XIX stuleciu mieliśmy do czynienia ze swoistym „wysypem” generalizacji, a niektóre z nich konkurowały ze sobą o miano najbardziej trafnych. Wprawdzie próbowano je uzasadnić odwoływaniami do tych samych wydarzeń, ale przedstawiano w radykalnie różny sposób. Dzisiaj już mało kogo trzeba przekonywać, że w tej dyscyplinie liczą się nie tylko wydarzenia, które miały miejsce w określonym czasie, ale także punkty widzenia uznawane przez historyków za najważniejsze. W efekcie historycy piszą swoją historię. Czasami budzi ona uznanie odbiorców, czasami zdziwienie a nawet rozbawienie.

Starzenie się uczonych

Genetyka zrobiła tak ogromne postępy, że u wszystkich żywych organizmów można usunąć geny w największym stopniu odpowiadające za starzenie się. Niestety na razie nie udało się znaleźć „geny nieśmiertelności”. Być może są uczeni, którzy nadal mają nadzieję na przełom w tej sprawie. Jeśli jednak nie można być nieśmiertelnym, to przynajmniej można żyć dużo dłużej niż wynosi średnia ludzkiego życia. Są środowiska, w których liczba stulatków znacznie przekracza statystyczną średnią. Środowisko akademickie raczej do nich nie należy. Jeśli jednak pojawiają się w nim stulatkowie, to warto przyjrzeć się, jak wyglądały ich relacje z otoczeniem oraz jaki prowadzili tryb życia, w tym jak się odżywiali i relaksowali. Już starożytni zauważyli, że właściwie stosowana dieta i fizyczna aktywność generalnie mogą przyczynić się do przedłużenia życia. Gwarancji co prawda nie ma, warto jednak spróbować. Tak czy inaczej pewne są tylko podatki i śmierć. Zarówno te pierwsze, jak i tę drugą można nieco odwlec w czasie, nie warto jednak przesadzać. Jeśli bowiem nawet uda się nie spłacić swoich zobowiązań przed śmiercią, to można postawić w kłopotliwej sytuacji spadkobierców, od których wierzyciele będą domagać się spłaty. A jeśli uda się dożyć stu lub nieco więcej lat, może się okazać, że starość jest nie do zniesienia i dla nas, i dla naszych najbliższych.

Nie w każdym przypadku metryka jest wiarogodnym dowodem starości. Są przecież zarówno osoby, które wyglądają i czują się młodziej niż wskazuje na to data ich urodzenia, jak też takie, które wyglądają i czują się starszej. Czy do tych pierwszych należą uczeni? Bywa różnie. Spotykałem na swojej akademickiej drodze jednych i drugich. Jeśli miałbym krótko odpowiedzieć na pytanie, co sprzyja zachowaniu przez nich młodości na dłużej, to powiedziałbym, że jest to stosowana z „głową” aktywność zawodowa. Natomiast przedwczesnemu starzeniu się sprzyjają rutyna i wypalenie zawodowe, których wyrazem jest niechęć do podejmowania nowych zadań, zamykanie się w sobie, a w najlepszym razie ironizowanie ze wszystkiego. Wypowiedzi Einsteina z ostatniego okresu życia wskazują, że dotknięty był tym wypaleniem. R. Higfield i P. Carter ostatni rozdział jego biografii zatytułowali *Wszystko jest złudzeniem*. Przywołują w nim zarówno słowa uczonego, że współcześni mu fizycy uznają go za „starego durnia”, jak opinię Franka Wilczka (w 2004 roku otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki), że wszystkie jego wysiłki nad znalezieniem zadawalającej jednolitej teorii pola opierały się na błędnych założeniach. „Jego asystentka Bruria Kaufman zapytała go, czy wszystko jest w porządku. Einstein odpowiedział jej z uśmiechem: «Wszystko jest w porządku. Ale nie ze mną»”. Chorował wówczas na tętniaka aorty i mógł odżywiać się wyłącznie kostkami lodu i wodą mineralną. Kiedy jednak zaproponowano mu pomoc lekarza specjalisty, odmówił i stwierdził: „Pragnę odejść wtedy, kiedy chcę”. Przywołuję ten przykład głównie po to, aby pokazać, że nie ma uczonych tak wielkich, aby mogli stanąć ponad niedo-godnościami starszego wieku.

Co można zrobić w sytuacji, gdy w życiu uczonego pojawia się poczucie zniechęcenia i zawodowego wypalenia? Nie ma przekonującej odpowiedzi na to pytanie. Wiele bowiem zależy od tego, w jakim okresie zawodowej aktywności one się pojawiają. Zawsze jednak należy mierzyć zamiary według sił, a jeśli ich nie wystarcza do wykonywania dotychczasowych zajęć na odpowiednio wysokim poziomie, to warto rozejrzeć za takimi, które są na miarę aktualnych możliwości. Rzecz jasna łatwiej to powiedzieć niż zrobić, zwłaszcza tym, dla których wykonywanie akademickich zajęć nie jest tylko obowiązkiem, ale także życiową pasją, i którzy osiągnęli znaczące zawodowe sukcesy.

Rozmowa z prof. Markiem Jakuszewskim,
dziesiętnym Wydziału Malarstwa i Rysunku Uniwersytetu Artystycznego
im. Magdaleny Abakanowicz w Poznaniu

Malarstwo w architekturze

Mural nie powinien dominować otoczenia, tylko wpisywać się w architekturę i w tożsamość miejsca.

Jakie jest miejsce rysunku w edukacji artystycznej?

Rysunek odgrywa bardzo ważną rolę, zarówno jako podstawowa umiejętność warsztatowa, jak i sposób myślenia artystycznego. Ma kilka głównych funkcji: uczy obserwacji kształtów, proporcji, światła, jest ważny dla rozwoju manualnej sprawności – zawsze przecież był podstawą egzaminów na uczelni artystyczną – ale także jest narzędziem myślenia i eksperymentu. W naszej uczelni od dawna był bardzo istotnym elementem edukacji, a w pewnym momencie zaczął być traktowany jako w pełni autonomiczne narzędzie wypowiedzi artystycznej.

A jak ewoluuje jego rola w dobie ekspansji rozmaitych narzędzi cyfrowych, które są wykorzystywane np. w edukacji projektowej?

Myślę, że pomimo wprowadzenia narzędzi cyfrowych, rysunek przez cały czas odgrywa fundamentalną rolę, ponieważ osoby, które przychodzą na uczelnię, są coraz słabiej przygotowane i to właśnie on może dać im podstawę warsztatową. Dlatego jest obowiązkowym przedmiotem praktycznym na wszystkich kierunkach uczelni i to przez 4 lata. O ile pewne umiejętności warsztatowe mogą być, w pewnym stopniu, zastąpione narzędziami cyfrowymi, projektowymi, to nie jesteśmy jednak w stanie niczym zastąpić rysunku jako pełnoprawnej wypowiedzi artystycznej. Uważam, że obecnie znaczenie rysunku jest nawet bardziej istotne niż było kiedyś.

W tym roku na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu po raz pierwszy rysunek jest prowadzony jako autonomiczny kierunek studiów, a nie tylko specjalność. Co zdecydowało o przyznaniu mu takiej autonomii?

Zaważyły tu m.in. zmiany ustawowe, w wyniku których otwieranie kierunków stało się łatwiejsze. Uczelnie, które otrzymały kategorię A+, a tak jest w przypadku Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu, mogą same decydować o tworzeniu nowych kierunków. Pomysł rodził się od lat, aż w końcu po raz pierwszy przeprowadziliśmy nabór na rysunek, który w sztuce współczesnej może być samodzielnym kierunkiem i tak jest prowadzony w wielu naszych pracowniach. To była stopniowa ewolucja, ponieważ na kierunku malarstwa od kilku lat rysunek był oddzielną specjalnością i osoby studiujące mogły robić z niej dyplom. Ale teraz poszliśmy o krok dalej.

Tradycją poznańskiej uczelni jest prowadzenie bardzo wielu pracowni rysunku o zróżnicowanym charakterze.

Ta duża liczba pracowni wynika z faktu, że obsługują one całą uczelnię, nie są przypisane do konkretnych kierunków, lecz otwarte dla wszystkich osób studiujących. To unikalne rozwiązanie stanowi interesujący eksperyment edukacyjny i jedną ze szczególnych cech UAP. Pracownie rysunkowe są miejscem spotkań studentek i studentów z różnych lat i kierunków, gdzie różnorodne postawy twórcze i doświadczenia wzajemnie się inspirować. Dzięki bogatej ofercie programowej, obejmującej zarówno klasyczne, jak i eksperymentalne podejścia do rysunku, osoby studiujące mają szeroki wybór ścieżek rozwoju. Podejmując świadome decyzje o wyborze pracowni i programu, samodzielnie kształtują swoją indywidualną drogę artystyczną.



Mural na elewacji Przedszkola nr 37 w Poznaniu. Projekt: Zuzanna Dudek



Od lewej: dr Jerzy Muszyński, Piotr Grzywacz, Joanna Dudek, prof. Marek Jakuszewski

Na Wydziale Malarstwa i Rysunku prowadzi pan Pracownię Malarstwa w Architekturze i Urbanistyce. Z jakimi technikami i technologiami zapoznają się w niej studenci?

Jest to specjalistyczna pracownia malarstwa, która już długo istnieje na uczelni. Kiedyś mieliśmy dwie pracownie związane z malarstwem w architekturze: jedną, o bardziej technologicznym charakterze, prowadził prof. Zbigniew Bednarowicz, który zajmował się klasycznym witrażem i malarstwem ściennym,

a drugą – prof. Jan Gawron. Kontynuuję to, co rozpoczął prof. Gawron, ale program mojej pracowni zmienia się z biegiem lat. Wspólnie z adiunktem Jerzym Muszyńskim tworzymy program i co roku wprowadzamy zmiany. Wychodzę z założenia, że każdy absolwent kierunku malarstwo po ukończeniu studiów powinien mieć pojęcie o malarstwie ściennym, mozaice, witrażu i takich właśnie technik uczymy. Program jest rozpisany na rok, aby studenci mogli zetknąć się z różnymi tech-



Mural na elewacji DS Dewizka w Poznaniu. Projekt: Kamil Kasperski



Mural – Zespół Szkolno-Przedszkolny nr 16. Projekt: Joanna Kluj

nikami. W ramach prostych ćwiczeń wykonują np. fragment witrażu, mozaiki, sgraffita czy wypalane szkła. Natomiast najważniejsze są zadania projektowe oraz realizacje w przestrzeni publicznej.

Czy zadania projektowe zawsze związane są z konkretną lokalizacją?

Tak, dbamy o to, żeby powiązać je z konkretnymi przestrzeniami. Współpracujemy z podmiotami zewnętrznymi, którzy zlecają projekt. Najczęściej są to projekty murali, ponieważ mural ostatnio stał się modną i popularną techniką, ale robiliśmy także np. instalację z wypalonego szkła dla przed-

szkola. Współpracujemy z Urzędem Miasta Poznania, z różnymi instytucjami, uczelniami poznańskimi oraz z podmiotami prywatnymi.

Czy w pracowni, którą pan prowadzi, można też zrobić dyplom z muralu?

Tak, jest to specjalność dyplomująca. Na kierunku malarstwo mamy obecnie 3 specjalności: malarstwo sztalugowe, tkaninę artystyczną i właśnie malarstwo w architekturze i urbanistyce. Wcześniej był jeszcze rysunek, który teraz jest oddzielnym kierunkiem.



Witraż w kaplicy, Regietów, Beskid Niski. Projekt: Paulina Łuczak



Szkoła artystyczne w Przedszkolu nr 45 w Poznaniu. Projekt: Kinga Adamowicz

Jakie są etapy pracy nad murałem?

Jeżeli zaczynamy współpracę z jakimś podmiotem zewnętrznym, to oczywiście najpierw rozmawiamy o samych założeniach, o koncepcji. Oglądamy proponowaną przestrzeń i oceniamy, czy ona w ogóle jest odpowiednia dla malarstwa, bo tego właśnie uczymy: oddziaływania malarstwa na przestrzeń publiczną. Po dokonaniu uzgodnień z inwestorem i po wstępnych pomiarach rozmawiamy ze studentami, aby wyrobić w nich świadomość miejsca, odpowiedniej skali, światła, kontekstu przestrzennego, ustalamy i omawiamy wspólnie założenia projektu. Przez cały semestr studenci indywidualnie pracują, projektując mural do danej przestrzeni, a po korektach kończymy pracę wizualizacją, prezentacją przed inwestorem i wspólną dyskusją. Ma to charakter konkursu, wspólnie wybieramy najlepszy projekt, co czasami wiąże się z pewnym kompromisem.

A jakie są granice kompromisu? Inwestor, który nie jest plastykiem, może mieć przecież własne preferencje i niekoniecznie musi docenić projekt, który ma odpowiednie walory i dobrze wpisuje się w kontekst przestrzenny.

Dlatego sami robimy wstępną selekcję, żeby wybrać naprawdę dobre projekty. Zwłaszcza, że mieliśmy już takie doświadczenie, gdy inwestor potrafił zachwycić się projektem, który w naszej opinii nie był najlepszy. To ryzyko istnieje.

Udało się dyplomatycznie odwieść inwestora od tego wyboru?

Tak, udało się. Wykonujemy przy okazji pracę edukacyjną, bo nie zawsze osoby zamawiające do końca wiedzą, czego by chciały, nawet, jeśli przekazają wstępne sugestie, to czasem opis jest niepełny i różni się z oczekiwaniami. Kiedyś np. projektowaliśmy mural dla szkoły muzycznej. Do komisji konkursowej zaprosiliśmy architekta miasta i byliśmy bardzo zadowoleni z naszych projektów, natomiast dyrekcja szkoły i grono pedagogiczne uznały, że projekty są za odważne. Nie doszło więc do realizacji. Tak też zdarza się.

Za odważne? Dlaczego?

Zinterpretowaliśmy sugestie trochę inaczej niż oni oczekiwali. Wydawało nam się, że projekt powinien być abstrakcyjny, kolorowy, aby ideę muzyki wyraził w sposób malarski, jednak dla dyrekcji to było zbyt nowoczesne. Stwierdzili, że nie widzą w tym identyfikacji szkoły muzycznej. Być może wrócimy jeszcze do tego projektu, choć obecnie propozycji mamy więcej niż możliwości. Aktualnie będziemy realizować mural w budynku Państwowej Inspekcji Pracy, na korytarzu, gdyż wykonujemy też projekty we wnętrzach. Wracając jeszcze do relacji z inwestorami: jest to ważny aspekt edukacyjny dla osób studiujących, które mają okazję spotkać się wspólnie i w czasie prezentacji prac wysłuchać opinii zleceniodawcy o swoich projektach. Gdy projekt zostanie już wybrany, przystępujemy do realizacji, która w zależności od decyzji studentów może być indywidualna lub zespołowa. Najczęściej murale są realizowane przez zespoły kilkuosobowe.

Jak przenosi się projekt na ścianę budynku?

Bywa z tym różnie. Najczęściej przy pomocy rzutnika, ale można też drukować szablony, wszystko zależy od skali i miejsca, do którego technicznie trzeba się dostosować. Następnie malujemy mural specjalnymi farbami fasadowymi. Współpracujemy z firmą, która wykonuje nam ekspertyzy ścian, żebyśmy używali farb odpowiednich do miejsca i działali w sposób w pełni profesjonalny. Cała produkcja jest dosyć skomplikowana, bo trzeba ustawić rusztowanie, a jeżeli budynek jest duży, to trzeba je wynająć, a studenci wcześniej muszą przejść badania i uzyskać zezwolenie na pracę na wysokości. Co jest dosyć istotne: nie da się pracować nad murałem tylko w godzinach zajęć. Jeśli wynajmujemy rusztowanie, to na ogół pracujemy od rana do wieczora i to niezależnie od pogody.

A jak pan postrzega miejsce murali w kontekście ich relacji z architekturą? Publicyści zwracali już uwagę na problem „pastelozji” i „betonozy” w przestrzeniach miejskich. Czy nie uważa pan, że w związku ze swoistym wyścigiem

w ilości murali realizowanych w rozmaitych stylach i kolorach możemy już zdiagnozować kolejną przypadłość trapiącą polskie miasta, mianowicie „muralozę”?

Jest pewien problem. Murali już trochę powstało, w niektórych miastach jest ich 200-300 i nawet trudno je wszystkie zobaczyć. My jednak traktujemy mural jako formę malarstwa w architekturze i dla nas bardzo ważna pozostaje relacja pomiędzy sztuką a przestrzenią. Nie da się pominąć tego, że mural jest narzędziem społecznej komunikacji pokazującym, że malarstwo może wpływać na ludzi, na doświadczanie architektury, na samo miasto. Dlatego tak ważny jest dialog, który uwzględnia miejsce, skalę, rytm, światło. Niestety, wiele murali ignoruje ten kontekst i nie są to – moim zdaniem – udane realizacje. Mural nie powinien dominować otoczenia, tylko wpisywać się w architekturę i w tożsamość miejsca. Jest on bardzo silnym językiem wizualnym w mieście i albo relacja z architekturą działa i staje się dziełem sztuki przestrzennej, albo nie i wówczas mamy do czynienia tylko z reklamą, dekoracją albo z jakimś nieudanym manifestem.

W kontekście murali często mówi się o konsultacjach społecznych, ale czy to nie jest miecz obosieczny? Mieszkańcy zabytkowych kamienic mogą być spragnieni np. jaskrawych kolorów. Z drugiej strony bywają realizacje traktujące kontekst społeczny w sposób dosyć kuriozalny. Swego czasu na warszawskich budynkach socjalnych pojawiły się wielkie czarne kwadraty inspirowane Malewiczem, jakby symbole czarnych dziur, w których utknęli eksmitowani mieszkańcy... Nie podejrzewam, żeby ktoś z nimi konsultował tę realizację. Wspomnę jeszcze o hospicjum dziecięcym, które przeraziło mnie żylastą postacią bez twarzy trzymającą w rękach dziecięcy kształt... Czy ma

pan jakieś propozycje związane z procesem decyzyjnym, które sprzyjałyby pozytywnej selekcji projektów murali?

Jest to dosyć trudne, inwestorzy są bardzo różni i czasami, gdy kamienica jest prywatna, właścicielom wydaje się, że mogą robić co chcą. Tymczasem miasta powinny mieć spójną politykę estetyczną. W Poznaniu duża część miasta objęta jest ochroną konserwatora, mamy dodatkowo funkcję Pełnomocnika Prezydenta ds. Estetyki Miasta, który przy większych realizacjach opiniuje projekty. Myślę, że merytoryczna kontrola i koordynacja takich działań zawsze powinny mieć miejsce, bo przecież mamy do czynienia z przestrzenią publiczną, która jest wartością wspólną. Nawet jeśli jest to prywatna kamienica, to oddziaływanie muralu znacznie wykracza poza ścianę, na której powstał. Uważam, że dobrym sposobem, żeby wybierać ciekawe propozycje, są konkursy, do których zapraszamy uznanych twórców, ale też konsultacje społeczne – to także jest istotne, by mural, który powstaje, miał akceptację mieszkańców czy wspólnoty. Miasto powinno budować system, w którym murale będą częścią świadomej polityki przestrzennej, w taki sposób, żeby one budowały tożsamość miejsca i wzbogacały kulturę miasta a nie na odwrót. Zbyt dużo jest działań spontanicznych, np. w Wielkopolsce mieliśmy duży wysyp niezbyt dobrych murali poświęconych 100 rocznicy Powstania Wielkopolskiego. Przeznaczono na to środki, które trzeba było wydać, więc murale realizowano pod presją czasu, nie zawsze wpisując się w kontekst miejsca. Podobnie bywa z innymi muralami rocznicowymi czy takimi, które mają przedstawiać np. ważne dla miasta postaci. Tymczasem dla nas istotna jest jakość i kontekst malarski. Jak wskazuje nazwa pracowni: chcemy być malarstwem w architekturze.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska

Fot. Sonia Bober



Malarstwo ścienne w kamienicy przy ul. Szyperskiej w Poznaniu. Projekt: Anna Maria Skotarek

„Azjatycka Wielka Gra”

O przyszłej dominacji Azji we współczesnym świecie

Zahamowanie ekspansji chińskiej w Azji Południowej oraz w innych rejonach kontynentu oznaczałoby porażkę Pekinu w dążeniu do globalnej supremacji, natomiast wyeliminowanie przez niego zagrożeń realizowanej ekspansji w tej części świata byłoby tożsame z szerokim otwarciem bramy wiodącej ku faktycznej supremacji. To właśnie są możliwe scenariusze przyszłej Azjatyckiej Wielkiej Gry, której implikacje mogą mieć charakter globalny, co oznacza między innymi aktywne zaangażowanie Stanów Zjednoczonych.

Na początku XXI wieku teza o „nowej azjatyckiej hemisferze” – określenie wykondycjonowane przez singapurskiego dyplomata Kishore Mahbubaniego – która miała stopniowo zdominować politykę globalną, wyglądała z perspektywy euroatlantycznej na dość prawdopodobną, zaś kilkanaście lat później, czyli w połowie drugiej dekady, na niemal przesadzoną. Amerykański „pivot to Asia” został uznany w Europie, chociaż nie bez oporów, za logiczną konsekwencję zmian na współczesnej szachownicy (lub lepiej: szachownicach) polityki międzynarodowej, zaś kolejni prezydenci USA, i to niezależnie od stosowanej retoryki, de facto podtrzymywali kurs na zmianę wektorów dyplomatycznych i gospodarczych. Inwazja Rosji na Ukrainę zasadniczo nie zahamowała tej tendencji i mało prawdopodobne, aby w przyszłości Stany Zjednoczone były bardziej skupione politycznie, gospodarczo i militarnie na Europie aniżeli na Azji. Zresztą jako globalne supermocarstwo są w stanie realizować swoje zadania w kilku wrażliwych obszarach świata jednocześnie.

Współczesna Azja, a przynajmniej duża jej część, jest bardziej asertywna aniżeli kilka dekad wcześniej. Nie sposób zaprzeczyć, że kolejne państwa azjatyckie coraz częściej rozgrywają swoje partie już nie czarnymi, lecz białymi pionami, nie czekając na ruch supermocarstwa, którym kiedyś były Wielka Brytania bądź Francja czy Rosja, a obecnie Stany Zjednoczone i zaraz potem Chiny. Nie jesteśmy jeszcze obecnie pewni, czy w takim razie doświadczymy tego, co Graham Allison opisał jako fenomen „pułapki Tukidydesa”, który oznaczałby nie tylko próbę zdominowania świata przez supermocarstwo azjatyckie, ale faktycznie globalny awans niemal całego kontynentu na światowej scenie politycznej, a przynajmniej przesunięcie się centrum rozwoju gospodarczo-społecznego w tamtym kierunku. W każdym bądź razie Nowa Ziemia Obiecana, lokowana na wschód od Europy, staje się bytem całkowicie samodzielnym politycznie, na razie jeszcze nie w pełni dominującym na świecie, ale z podmiotowością i globalną sprawczością, której nie miała jeszcze trzydziści-czterdzieści lat temu.

Jak należałoby wyjaśnić zatem tezę, że XXI wiek należy do Azji? Czy chodzi wyłącznie o rosnący wolumen pro-

dukcji i eksportu, dynamikę wzrostu oraz wielkość PKB poszczególnych krajów azjatyckich na czele z Chinami i ich łączną sumę w porównaniu z PKB całej Unii Europejskiej bądź Unii i Stanów Zjednoczonych wspólnie jako przedstawicieli cywilizacji euroatlantycznej? A skoro nieprzerwany wzrost gospodarczy, a następnie rozwój innowacyjności i stopniowa przewaga technologiczna związane są nierzadko z ekspansją polityczną i kulturową, z eksportem wielowymiarowej soft power, czy wobec tego doświadczymy stopniowej „orientalizacji Zachodu”, w podobnym stopniu jak w XIX i XX wieku nie miała część Azji uległa westernizacji? Czy sukcesy gospodarcze i wzrost pozycji globalnej kolejnych krajów Azji, a nie tylko samych Chin kontynentalnych, oznaczałby rosnącą popularność rozmaitych ideologicznych hybryd, w których elementy elekcji przedstawicielskiej spletają się z silną egzekutywą, mającą przy tym duży mandat społeczny? Inaczej mówiąc: czy nie do końca jasno sprecyzowane, ale za to gorąco popularyzowane od lat dziewięćdziesiątych XX wieku „wartości azjatyckie” kręgu konfucjańskiego mogą poważnie zagrozić wartościom kojarzonym z cywilizacją Zachodu, jeśli by stosować terminologię Huntingtona? Kolejne pytania mogą wyglądać na mniej oczywiste obecnie, ale w kilkunastoletniej perspektywie zyskują całkowicie nowy ciężar problemowy. Być może przyszła dominacja Azji oznacza nie tylko ekspansję gospodarczo-ideologiczną, ale również dyfuzję wewnątrz-azjatyckich konfliktów poza granicę gigantycznego kontynentu, co w zglobalizowanym świecie wygląda na bardzo prawdopodobną ewentualność? A może puchnąca demograficznie Azja stanie się głównym eksporterem własnej ludności do Europy (zgodnie z jej wolą lub też częściowo wbrew jej woli), co stopniowo zmieni etniczną, kulturową czy wręcz polityczną strukturę Starego Kontynentu, czego dobrym przykładem było stanowisko premiera Wielkiej Brytanii dla Rishi Sunaka, a wcześniej szefa rządu w Irlandii (Taoiseach) dla Leo Varadkara? Rzecz jasna, wyczerpujące odpowiedzi na tak postawione pytania byłyby zarazem odpowiedziami dotyczącymi przyszłości Europy, częściowo Stanów Zjednoczonych, a prawdopodobnie jeszcze innych części globu, nie wyłączając Afryki.

Rozważając przyszłą rolę Azji dość często – i niekoniecznie wprost – ma się na myśli Chiny i ich dominację w kolejnych segmentach całego kontynentu, a następnie na całym niemal świecie. To zrozumiałe, i do pewnego stopnia uzasadnione, aczkolwiek nie można wykluczyć i tego, że badając sytuację w Azji będziemy musieli uwzględnić koncepcję tymczasowych aliansów bądź bardziej trwałych bloków sojuszniczych, w których Chiny będą po prostu jedną ze stron. Wzrost siły jednego, coraz potężniejszego mocarstwa, może (choć nie zawsze musi) być postrzegane jako zagrożenie dla interesów innych graczy kontynentalnych, gotowych szukać swoich sojuszników w celu powstrzymania, a przynajmniej zminimalizowania jego ekspansji. Nie jest to sytuacja typowa wyłącznie dla Azji, możemy odnaleźć podobne wzorce działania na innych kontynentach i w rozmaitych epokach historycznych. Co jednak tutaj charakterystyczne, to sama skala wydarzeń i ich potężne implikacje poza regionem ich występowania. Wystarczy wymienić dwa potężne mocarstwa azjatyckie, aczkolwiek o dalece nierównym potencjale ekonomicznym i militarnym, czyli Chiny oraz Indie, które liczą łącznie niemal trzy miliardy mieszkańców, zaś wielkość ich PKB lokuje je w ścisłej globalnej czołówce, a to naturalnie musi mieć przełożenie na całość złożonego systemu funkcjonowania współczesnego świata. Indie, a wraz z nimi Azja Południowa, stają się powoli jednym z trzech-czterech centrów dominacji ekonomicznej i politycznej, konkurując – na razie z umiarkowanymi sukcesami – z rejonem Azji Wschodniej i Południowo-Wschodniej, które uznawane są, obok Stanów Zjednoczonych i części Unii Europejskiej, za główne motory rozwoju gospodarczo-społecznego XXI wieku, i to w coraz większej liczbie dziedzin ludzkiej aktywności.

Fenomen Azjatyckiej Wielkiej Gry w XXI wieku

W Azji spędziłem łącznie ponad osiem lat: najpierw jako student na stypendium w Pakistanie, następnie jako organizator wypraw kulturowych do Chin, Wietnamu, Indii, Indonezji, Malesji, Singapuru, Nepalu, Kambodży, Laosu, Mjanmy, na Filipiny i Sri Lankę czy nawet do Korei Północnej, zaś jeszcze później jako akademik, który uczestniczył w licznych konferencjach i projektach badawczych w Azji Południowej. Wreszcie jako ambasador RP w Indiach w latach 2009-2014 realizowałem ambitną misję dyplomatyczną na subkontynencie indyjskim. Za niezwykle cenne uważam także swoje liczne wizyty w Stanach Zjednoczonych, najpierw jako stypendysta Departamentu Stanu USA, później czterokrotnie jako profesor wizytujący na University of Rochester (stan Nowy Jork).

Monografia *Azjatycka Wielka Gra. Indie i Azja Południowa w sporze o regionalną i globalną*

dominację w XX i XXI wieku, wyróżniona nagrodą im. Jana Długosza w 2025 roku, jest podsumowaniem wieloletnich badań, w tym „obserwacji uczestniczącej” dyplomaty i badacza, jak również wieloletniej analizy licznych publikacji oraz materiałów (wyłącznie jawnych lub z których zdjęto klauzulę tajności) sporządzonych nie tylko w językach europejskich, ale również w hindi i urdu. Zawdzięcza także wiele inspirującym rozmowom z interlokutorami azjatyckimi, europejskimi i amerykańskimi, co pozwoliło na skonstruowanie odpowiedniej perspektywy badawczej, z której opisuję fenomen Azji Południowej, a przede wszystkim ewolucję polityki indyjskiej i rolę Indii w polityce światowej.

W swojej monografii stawiam kilka fundamentalnych tez i próbuję zdefiniować czym byłaby nowa Azjatycka Wielka Gra. Tak więc Chiny, budując swoją globalną potęgę i skutecznie kontruując USA, muszą najpierw uzyskać zdecydowaną przewagę na obszarze Azji, narzucając tam własną wersję Pax Sinica. Swoistym geostrategicznym murem blokującym wszechazjatycką ekspansję, owymi militarno-politycznymi Himalajami, jest Azja Południowa na czele z Indiami. W żadnej mierze nie stanowi jednakże zapory nie do pokonania. Chiny są w stanie skonstruować (czyli politycznie i gospodarczo „wyrąbać”) kolejne szlaki własnej ekspansji, rozwijając wielowymiarowe przyjazne relacje z Pakistanem oraz silnie zaznaczyć swoją obecność w Nepalu, na Sri Lance i w Bangladeszu, tym samym osłabiając pozycję Indii, to znaczy stopniowo „krusząc ów himalajski mur strategiczny”. Proces neutralizacji wpływów indyjskich przez Pekin ma miejsce również na Oceanie Indyjskim, wzdłuż wybranych szlaków transportowych mających dla obydwóch mocarstw fundamentalne znaczenie. Budowa całej sieci portów bądź faktyczna kontrola strategicznych obszarów nadmorskich przez chińskie podmioty biznesowe, niemal całkowicie zależne od państwa, sprawiają, że Indie mogą poczuć



Azja Południowa, mapa polityczna. Źródło: Wikipedia

się okrążone i blokowane w swoich działaniach. Koncepcja chińskiego „naszyjnika z pereł” otaczającego subkontynent – czyli cywilnych baz handlowych, ale o możliwym zastosowaniu militarnym – nawet jeżeli ma charakter nieco publicystyczny, to jednakże dobrze ilustruje obszar konfliktu, którego implikacje będą mieć wpływ na wiele państw w Azji. Poza tym Chiny deklarują również swoją przynależność nie tylko do Azji Wschodniej, ale także do Azji Południowej. Nawet jeżeli budziłyby to wątpliwości geografów, to z pewnością zostałyby uznane za zrozumiałe przez geostrategów czy polityków rozumiejących fenomen realizacji własnych interesów przez Pekin w rejonach „bliskiej zagranicy”.

Tymczasem kraje Azji Południowej są tak samo uznawane za „bliską zagranicę” przez Nowe Delhi, co w tym przypadku oznacza poważny konflikt interesów obydwóch państw, a dla Indii bezpośrednie zagrożenie nie tylko własnej pozycji regionalnego hegemonia, ale także niebezpieczeństwo możliwej utraty terytoriów, chociażby stanu Arunaćal Prades. Roszczenia terytorialne jednej i drugiej strony wobec siebie są niezmiennie od kilkadziesiąt lat i mało prawdopodobne, aby sytuacja zmieniła się w ciągu najbliższej dekady. Indie w takiej sytuacji są zmuszone nie tylko wzmacniać wewnętrznie własne linie obrony u siebie i w najbliższym sąsiedztwie, ale budować panazjatycką sieć sojuszy, sięgających Azji Wschodniej i Południowo-Wschodniej, w kontrze do sieci sojuszy wymuszonej przez Chiny. Bardzo dużą rolę będą odgrywały tutaj Stany Zjednoczone oraz – w nieco mniejszym stopniu – Rosja, dla której Azja była i nadal będzie niezwykle istotnym terenem działalności politycznej, gospodarczej i militarnej, zwłaszcza po nieudanej próbie militarnego podboju Ukrainy i załamaniu relacji z wieloma państwami Zachodu.

Tymczasem zahamowanie ekspansji chińskiej w Azji Południowej oraz w innych rejonach kontynentu oznaczałoby porażkę Pekinu w dążeniu do globalnej supremacji, natomiast wyeliminowanie przez niego zagrożeń realizowanej ekspansji w tej części świata byłoby tożsame z szerokim otwarciem bramy wiodącej ku faktycznej supremacji. To właśnie są możliwe scenariusze przyszłej Azjatyckiej Wielkiej Gry, której implikacje mogą mieć charakter globalny, co oznacza między innymi aktywne zaangażowanie Stanów Zjednoczonych. Niezwykle istotną jej częścią jest wewnętrzna polityka poszczególnych krajów Azji Południowej, która przyczynia się albo do długoletniej stabilności, to zaś przekłada się na bardziej asertywne działania w regionie południowoazjatyckim lub na obszarze całego kontynentu, albo też do tymczasowego bądź permanentnego kryzysu politycznego, a to z kolei osłabia możliwości samego państwa w domenie międzynarodowej.

W przeciwieństwie do Stanów Zjednoczonych, a ongiś Związku Radzieckiego, a nawet Japonii, Chiny nie dysponują atrakcyjną dla innych uniwersalną ideologią, która mogłaby wspomóc ich ekspansję. Chiński nacjonalizm jest interesujący co najwyżej dla samych Hanów, a ich własny model gospodarczo-polityczny tylko częściowo może budzić prawdziwy entuzjazm wśród innych mieszkańców Azji. Pewnym novum jest rozgrywanie przez Pekin w dyplomacji międzynarodowej tzw. karty buddyjskiej, ale ma ona ograniczony zasięg, wynikający nie tylko z geografii wyznaniowej, ale również z małej wiarygodności Chin jako protektora buddyzmu. Faktycznymi instrumentami w dyspozycji Pekinu są zatem silna gospodarka i coraz silniejsza armia (w takiej kolejności), co jednak sprawia, że – w przeciwieństwie do mocno ideologicznej zimnej wojny – **Azjatycka Wielka Gra będzie odmianą europejskiej Realpolitik z przełomu XIX i XX wieku.** Jeżeli przyjmiemy zatem tezę Paraga Khanny, że „XXI wiek będzie należał do Azji”, to również w tym sensie, że azjatycka konfrontacja, jak też regionalne



Xi Jinping, prezydent Chińskiej Republiki Ludowej. Źródło: Wikipedia

starcia zbrojne o różnej skali, będą miały globalne implikacje: polityczne, gospodarcze i społeczne, jak chociażby wielkie ruchy migracyjne dotykające również Europę. Tymczasem Unia Europejska, prowadząc niemal całkowicie defensywną politykę poza własnym zachodnim limes, skazuje się na bierną reakcję wobec konsekwencji nowej Wielkiej Gry. Chodzi tu przede wszystkim o obszar „bliskiej zagranicy” dla państw europejskich: Bliski Wschód, rejon Morza Śródziemnego i części Azji Południowej, których rosnąca niestabilność w połączeniu ze zbliżającym się kryzysem klimatycznym mogą przyczynić się do wybuchu kolejnych konfliktów i intensyfikacji procesów migracyjnych na gigantyczną skalę. Stany Zjednoczone, mocno zaangażowane w spór z Chinami, nie będą w stanie skutecznie wspierać Europejczyków, aczkolwiek agresywne działania Rosji mogą skłonić Waszyngton do nieco większego zaangażowania w rozwiązywanie problemów europejskich. Z kolei indywidualne działania poszczególnych państw unijnych, zwłaszcza fakt ich samodzielnej, nieskoordynowanej realizacji, czyli bez wspólnego dla całej Unii scenariusza, jeszcze bardziej osłabiają pozycję Starego Kontynentu. Innymi słowy: Azjatycka Wielka Gra może mieć dużo większy (pośredni i bezpośredni) wpływ na całą Europę aniżeli nieodległa w czasie zimna wojna czy nawet rosyjska inwazja na Ukrainę w 2022 roku.

Azja Południowa na globalnej szachownicy

Azja Południowa to obecnie obszar zajmujący około 5,2 miliona km² i zamieszkały przez ponad 1,8 miliarda ludzi. Tworzy ją łącznie osiem państw o skrajnie zróżnicowanym potencjale demograficznym, ekonomicznym czy militarnym: od niewielkiego atolu Malediwów z populacją nieco powyżej 500 tysięcy oraz himalajskiego Bhutanu z mniej niż 800 tysiącami mieszkańców aż po mocarstwowe Indie, obecnie najludniejsze państwo świata, z populacją przekraczającą 1,4 miliarda i powierzchnią 3,3 miliona kilometrów kwadratowych. Znaczącymi ludnościowo państwami są też Pakistan, zamieszkiwany przez 232 miliony mieszkańców i Bangladesz z ponad 170

milionami, ale o powierzchni 147,6 tysiąca km² (a więc ponad dwukrotnie mniejszej niż Polska), a to oznacza, że jest jednym z najgęściej zaludnionych miejsc na świecie. Tymczasem Nepal, zamknięty lądowo między Indiami a Chinami, liczy ponad 30 milionów mieszkańców i należy do najszybciej rozwijających się państw globu. Zbyt szybki przyrost ludności nie sprzyja rozwojowi gospodarczemu; w ciągu 70 lat liczba mieszkańców Nepalu wzrosła ponad trzykrotnie, chociaż jeszcze w 1950 roku wynosiła zaledwie 9 milionów. Dotknięty długotrwałym konfliktem zbrojnym Afganistan liczy około 40 milionów mieszkańców, aczkolwiek liczba uchodźców do sąsiedniego Pakistanu jest bardzo dynamiczna, co może naturalnie wpływać na zmienność wielkości populacji w tej części Azji. Ostatnim państwem na liście jest wyspiarska Sri Lanka z populacją powyżej 22 milionów, i z poziomem dochodów per capita znacznie wyższym (zresztą podobnie jak Malediwy) od pozostałych krajów Azji Południowej, chociaż kryzys ekonomiczny w 2022 roku poważnie osłabił jej pozycję w regionie. Cała ósemka państw należy do Południowoazjatyckiego Stowarzyszenia na rzecz Współpracy Regionalnej (South Asian Association for Regional Cooperation – SAARC), które jest w mniejszym stopniu wielonarodową strukturą promującą regionalną kooperację, a bardziej służy jako platforma wzajemnej komunikacji politycznej między poszczególnymi członkami. Nieusuwalny konflikt między Indiami a Pakistanem stanowi tutaj główną przeszkodę i dość łatwo przewidywać, że taki stan rzeczy nie zmieni się w ciągu najbliższej dekady.

Azja Południowa styka się na swojej zachodniej flance z krajami Bliskiego Wschodu, co sprawia, że wiele jego konfliktów i napięć, ale też niektóre elementy przesłania ideologicznego i turbulencji społecznych mają tutaj swoje bezpośrednie przełożenie. Chodzi przede wszystkim o dwa państwa: Afganistan i Pakistan. Na początku XXI wieku zaczęto je klasyfikować, nierzadko łącznie pod hasłem Af-Pak, jako fragment „Więszego Bliskiego Wschodu” (The Greater Middle East), który dodatkowo – oprócz faktycznego Bliskiego Wschodu i części Azji Południowej – obejmował również państwa Afryki Północnej (tzw. MENAP – Middle East, North Africa, Afghanistan and Pakistan). Rzecz dotyczyła nie tylko samego położenia geograficznego i roli całego regionu w polityce globalnej, ale także wspólnoty cywilizacyjnej, jako że niemal wszystkie państwa (z wyjątkiem Izraela i częściowo Libanu) związane są z religią islamu. Zbigniew Brzeziński zwrócił uwagę, że ów „Więszy Bliski Wschód” dobrze symbolizuje na przełomie stuleci stopniową transformację unilateralnej polityki międzynarodowej w kierunku polityki wielobiegunowej, przy czym cały region może być dodatkowo definiowany jako „globalne Bałkany”, a to z powodu złożonej struktury etnicznej, językowej czy wewnątrzwyznaniowej oraz wysokiej częstotliwości konfliktów na poszczególnych obszarach. Najpierw Rewolucja Islamska w Iranie, następnie wojna iracko-irańska, imperialne plany Iraku wobec Kuwejtu i jego militarna agresja, gwałtowny rozwój ruchów fundamentalistycznych, wewnętrzny konflikt w Afganistanie i jego konsekwencje dla Pakistanu, wreszcie Arabska Wiosna oraz jej dramatyczne implikacje na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej zapewne potwierdzają trafność definicji, aczkolwiek nie oznacza to automatycznie, że istnieje tutaj bliska analogia z rolą Bałkanów w przededniu I wojny światowej. To raczej skrótowy opis sytuacji w tym regionie świata z perspektywy europejskiej czy raczej euro-atlantycznej. Zresztą ów potencjał „bałkanizacji” nie ogranicza się wyłącznie do całego obszaru „Więszego Bliskiego Wschodu”, ale dotyczy, aczkolwiek w mniejszym stopniu, również Azji Południowej, nawet nie licząc Afganistanu oraz Pakistanu. Sam subkontynent indyjski należy do najbardziej zróżnicowanych etnicznie, wyzna-



Narendra Modi, premier Indii. Źródło: Wikipedia

nio i językowo regionów świata. Przykładowo Indie, z większością hinduistyczną stanowiącą około 80% populacji, są także państwem o największej liczbie mniejszości muzułmańskiej, która przekracza obecnie 200 milionów osób i nie tworzy jednorodnego skupiska kulturowego w określonej części kraju. Zróżnicowanie religijne i etniczne charakteryzują Nepal i Sri Lankę, z kolei dość jednorodne wyznaniowo są Bangladesz i Pakistan (ten ostatni przy dużym zróżnicowaniu etnicznym) oraz Afganistan (podobne zróżnicowanie etniczne jak w Pakistanie). Warto przypomnieć, że na obszarze Azji Południowej zamieszkują największe wspólnoty nie tylko hindusów (98,5% całosci wyznawców) ale także sikhów (90,5%), dżinizistów oraz wyznawców islamu, którzy stanowią aż jedną trzecią wszystkich mieszkańców tej części kontynentu, a których liczba przekracza 640 milionów (czyli ponad 33% wszystkich muzułmanów na całym świecie). Z kolei liczbę buddystów szacuje się na około 30 milionów, zaś chrześcijan w przedziale 35-37 milionów. Dla buddystów Indie północne i południowy Nepal to od dwóch i pół tysiąca lat „ziemia święta”, usiana mniej lub bardziej starożytnymi sanktuariami, natomiast obecność chrześcijan na subkontynencie datuje się już od I wieku, co ma poświadczać nie tylko lokalna tradycja, ale również źródła zewnętrzne, spoza Azji Południowej.

Nic zatem dziwnego, że owa złożona kompozycja etniczno-wyznaniowa tutejszych społeczeństw przychodzi na myśl Europejczykom bądź Amerykanom porównanie z Bałkanami i – dużo rzadziej – z obszarem Bliskiego Wschodu, tyle że skala konfliktów, ich częstotliwość, a zwłaszcza ich międzynarodowe reperkusje bywały w tej części Azji relatywnie mniejsze. Nie oznacza to jednakże, że ów potencjał konfliktów nie zostanie aktywowany, i to w zupełnie nieodległej przyszłości. Czynnikiem, który może się do tego przyczynić jest m.in. radykalizacja ideologiczna wśród rozmaitych grup wyznaniowych, i nie chodzi wyłącznie o muzułmanów, ale w nie mniejszym stopniu również o hindusów czy buddystów. To z kolei może się wiązać z rosnącym napięciem między wybranymi krajami Azji Południowej lub też między Indiami a Chinami i Pakistanem, albo

z konfliktami, które mają swoją genezę na zachodniej flance całego regionu. Kolejnym czynnikiem wartym rozpatrzenia łącznie z dotychczas wymienionymi jest słabo kontrolowany przyrost naturalny, co ma wpływ na obecną i przyszłą strukturę społeczną poszczególnych państw. Indie na początku lat 50. ubiegłego stulecia liczyły poniżej 400 milionów mieszkańców, w połowie lat 70. już 623 miliony, natomiast pod koniec trzeciej dekady XXI wieku mogą przekroczyć 1,5 miliarda. Populacja sąsiedniego Pakistanu w 1975 roku wynosiła około 67 milionów, ćwierć wieku później nastąpił wzrost o ponad 100%, do 142 milionów, natomiast w trzeciej dekadzie XXI liczba mieszkańców przekroczy ćwierć miliarda. Nieco mniejszą dynamiką cechuje się Bangladesz: od 70 milionów mieszkańców w 1975 roku do ponad 170 milionów w połowie trzeciej dekady XXI wieku. Społeczeństwa Azji Południowej są bardzo młode, w Indiach mediana wieku w 2016 roku wynosiła 27,6 roku, przy wskaźniku dzietności 2,45, natomiast w Pakistanie, kraju o wysokim wskaźniku dzietności (2,68), mediana wieku w tym samym czasie wynosiła 23,4 roku. Dodajmy jeszcze, że ponad jedna trzecia społeczeństwa pakistańskiego liczy mniej niż 15 lat, zaś w Indiach ów wskaźnik jest niewiele niższy, ale i tak przekracza 30%. Według autorów raportu *World Population Prospects*, przygotowanego przez jedną z agend ONZ, do roku 2050 ludność globu wzrośnie z 7,7 miliarda do 9,7 miliarda, przy czym co druga osoba z spośród dwóch miliardów nowych obywateli Ziemi urodzi się w dziewięciu krajach, wśród których znajdują się właśnie Indie i Pakistan. Nietrudno w takiej sytuacji o wnioski, że niemal każde państwo z regionu będzie borykało się z poważnym deficytem wody w ciągu kolejnej dekady, a w konsekwencji również z niedoborem żywności i poważnymi wyzwaniem ekologicznymi.

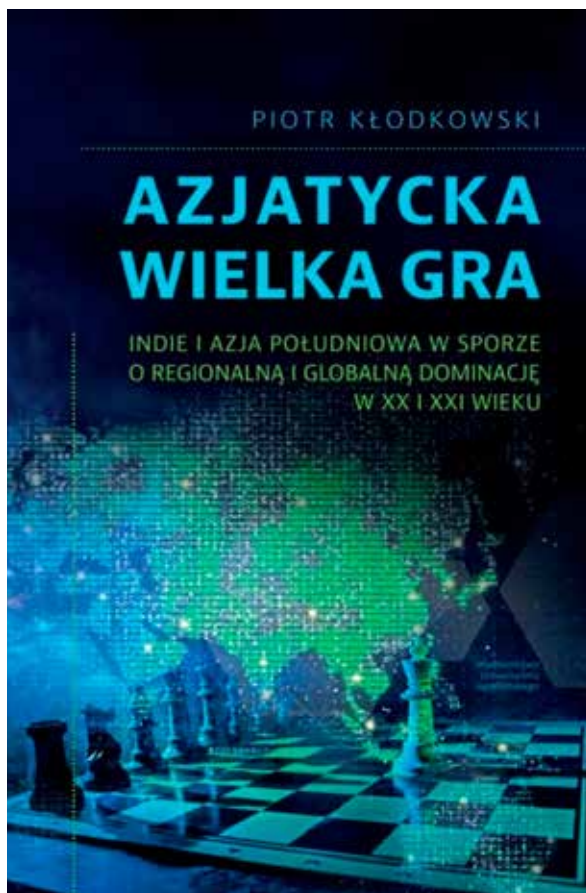
O ile kwestie demograficzne budzą obawy na Starym Kontynencie, to akurat dla puchnących ludnościowo krajów Azji Południowej niekoniecznie uznawane są za zagrożenie, przynajmniej w perspektywie krótkoterminowej. Wysoka stopa przyrostu naturalnego i młode społeczeństwo bywają postrzegane jako atut, nierzadko zabarwiony nacjonalizmem lub nacjonalistycznym fundamentalizmem, jak w przypadku Indii bądź Pakistanu. Szeroko dostępna siła robocza i potencjalnie większa liczba rekrutów mogą stanowić o sile państwa, są wręcz mocną kartą przetargową w relacjach międzynarodowych, zwłaszcza przy uwzględnieniu danych o starzejących się społeczeństwach Azji Wschodniej, nie mówiąc już o Europie. Sama dywidenda demograficzna mogłaby okazać się korzystna dla rozwoju ekonomicznego, a następnie dla umocnienia pozycji politycznej w świecie, ale tylko wówczas, jeżeli poszczególne rządy umiejętnie zagospodarują rosnące nadwyżki siły roboczej, godząc to jeszcze z wymogami ekologicznymi i zachowaniem odpowiedniej harmonii społecznej, bez której jakiegokolwiek reformy nie będą skuteczne. W przeciwnym wypadku coraz większa presja na rynek pracy i rosnące (a niezaspokojone) aspiracje młodych obywateli, a to w połączeniu z coraz większym skażeniem środowiska i toksycznymi napięciami między poszczególnymi wspólnotami wyznaniowymi i etnicznymi, może stać się polityczną bombą, której wybuch doprowadziłby do serii lokalnych, a następnie regionalnych konfliktów, a w konsekwencji do niekontrolowanej migracji w kierunku Bliskiego Wschodu, a potem Europy. To oczywiście najbardziej pesymistyczny scenariusz, ale prawdopodobny, czyli uwzględniany w kalkulacjach strategicznych. Z drugiej strony należy pamiętać, że dotychczasowy przyrost ludności w krajach Globalnego Południa, w tym Azji Południowej, szedł w parze z ogromnym postępem technologicznym i dynamicznym wzrostem PKB. Z wycieńczenia Banku Światowego wynika, że w latach 1981-2010 odsetek osób żyjących

za mniej niż dwa dolary dziennie spadł tam z 50% do 21%, mimo wzrostu ludnościowego o 59%. Wyczerpania statystyczne nie sugerują, że redukcja ubóstwa rozłożona była równomiernie, niemniej jednak wyraźnie podkreślają pozytywną tendencję, łatwo dostrzeganą przez mieszkańców w każdym kraju Azji Południowej, być może z wyjątkiem Afganistanu. Otwarte pozostaje zatem pytanie, gdzie znajduje się hipotetyczna czerwona linia „nasylenia ludnościowego”, przekroczenie której groziłoby permanentnym deficytem podstawowych środków do życia (w tym wody), a w konsekwencji stopniowym załamaniem struktur państwa i trudnym do opanowania konfliktem. Niewykluczone, że pełnej odpowiedzi nie poznamy jednak w ciągu najbliższej dekady.

Obszar konfliktu indyjsko-chińskiego

Prawdopodobieństwo coraz większej „balkanizacji” sąsiednich obszarów Azji Zachodniej, dynamika zmian demograficznych i skomplikowana struktura wyznaniowo-etniczna tutejszych społeczeństw nie wyczerpują całej listy problemów. Centralne położenie Azji Południowej na kontynencie oraz styczność z Oceanem Indyjskim sprawiają, że jej rola w globalnej polityce będzie coraz większa. To, co zdarzy się w tej części świata będzie miało fundamentalne znaczenie przede wszystkim dla najbliższego sąsiedztwa, ale również dalej położone kraje, nie wyłączając Stanów Zjednoczonych, będą żywotnie zainteresowane wydarzeniami na subkontynencie i w jego otoczeniu. Ze strony północno-wschodniej państwa Azji Południowej mogą liczyć na tymczasową stabilizację, aczkolwiek jej trwałość zależy w ogromnej mierze od Chin czy bardziej jeszcze od wzajemnych relacji chińsko-indyjskich. Zmienne nastroje polityczne między obydwojma mocarstwami azjatyckimi mają swoje odzwierciedlenie w liczbie potyczek w rejonach nadgranicznych, szczęśliwie o bardzo ograniczonym charakterze i bez dalszych istotnych konsekwencji politycznych. Kontrola Wyżyny Tybetańskiej przez Pekin stawia każdy rząd indyjski w trudnej sytuacji. Chodzi tutaj nie tylko o rozmieszczenie chińskiej broni strategicznej, zdolnej razić ogromną liczbę celów na Nizinie Hindostańskiej, ale również o możliwość regulowania gospodarki wodnej. Wyżyna Tybetańska posiada gęstą sieć hydrologiczną i jest obszarem, z którego biorą początek życiodajne rzeki, jak Brahmaputra i Indus, mające wpływ na egzystencję milionów obywateli Indii, Bangladeszu i Pakistanu. Jakikolwiek inicjowane przez Pekin plany hydrologiczne, które miałyby wpływ na wyraźne zmniejszenie zasobów wodnych Indii, a częściowo i Bangladeszu, zostałyby z pewnością uznane za *casus belli* przez Nowe Delhi i doprowadziłyby do poważnej konfrontacji, o skali obecnie trudnej do przewidzenia.

Indyjscy strategowie rozumieją również, że ewentualna eskalacja sporu z Chinami niekoniecznie musi mieć miejsce wyłącznie wzdłuż wspólnej granicy, zresztą nieuznawanej w części przez Pekin. Nieprzyjazne działania, chociaż niekoniecznie o charakterze czysto militarnym, mogą być aranżowane z terenów Nepalu czy Bhutanu, a więc państw trzecich, ale mogących ulegać presji chińskiej. W takiej sytuacji cała północna granica Indii może zostać uznana za sferę potencjalnego konfliktu. Ze strategicznego punktu widzenia rzecz jest jeszcze bardziej złożona, albowiem główny korpus terytorialny państwa połączony jest z częścią północno-wschodnią (osiem stanów, które stanowią 8% terytorium Indii) wąskim pasmem łądu, zwanym „Korytarzem Siliguri”, o długości 60 kilometrów i o 22 kilometrach szerokości w najwęższym miejscu. Sąsiaduje on z Nepalem, Bhutanem i Bangladeszem i nie posiada jakiegokolwiek znaczących przeszkód naturalnych, co utrudnia czy wręcz uniemożliwia skuteczną obronę. Zablokowanie korytarza oznacza w rze-



czywistości odcięcie od Indii całej jej części północno-wschodniej, zamieszkaanej przez ponad 45 milionów osób. Jest niemal pewne, że każda planowana przez Pekin akcja militarna w kierunku południowym musi zakładać skoordynowane działania na wąskim obszarze Siliguri. Nawet jeżeli to wyłącznie planistyczne rozważania, to mają one konkretne przełożenie na bilateralne negocjacje dyplomatyczne, w których łatwo można wykupić słabe punkty indyjskiej obrony.

Nie mniej wrażliwa strategicznie jest dla Indii granica zachodnia, i to nie tylko w kontekście napiętych relacji bilateralnych z Pakistanem, ale również w perspektywie możliwego sporu z Chinami. Islamabad jest dla Pekinu „partnerem na każdą pogodę”, prawdopodobnie najważniejszym sojusznikiem w całej Azji (obok Korei Północnej), dlatego poważniejsze starcie indyjsko-pakistańskie może spotkać się ze zdecydowaną ripostą Państwa Środka. W 2017 roku ówczesny szef sztabu, a później dowódca naczelny Armii Indyjskiej, generał Bipin Rawat oświadczył, że „Indie muszą być gotowe do walki na dwa i pół frontu”, co oznaczało stawienie jednocześnie czoła oddziałom chińskim i pakistańskim, przy czym „pół frontu” odnosiło się do operacji wojskowych na terenie indyjskiego Kaszmiru. Rzecz jasna poważny konflikt militarny, zwłaszcza o szybko rosnącej dynamice, toczony w tymże azjatyckim trójkącie, mógłby generować niezwykle poważne konsekwencje, jako że każde z trzech państw posiada własny arsenał nuklearny. Świadomość tego faktu ograniczała dotychczas skalę działania militarnego poszczególnych graczy wobec siebie nawzajem, co pozwalało zachować równowagę sił w ciągu ostatnich dwóch dekad. Nuklearna zasada wzajemnego odstraszenia determinuje również planowanie strategiczne Pekinu, Nowego Delhi i Islamabadu, ograniczając – do pewnego stopnia przynajmniej – ich ambitne plany ekspansji w tej części Azji, oraz częściowo redukuje przewagę w siłach konwencjonalnych. Bardzo trudno w takiej sytuacji podważać istniejące status quo.

Obszarem owocnej współpracy regionalnej, ale także poważnej konfrontacji jest sam Ocean Indyjski. W Nepalu, Bhutanie czy Afganistanie debaty o tematyce morskiej mogą mieć czysto teoretyczny charakter, lecz dla polityków i strategów w Indiach, Bangladeszu, na Sri Lance, Malediwach oraz – w nieco mniejszym stopniu – w Pakistanie są kluczowe dla przyszłości ich własnych krajów. Jawaharlal Nehru, formalnie pierwszy szef rządu niepodległych Indii, a faktycznie twórca fundamentów politycznych i gospodarczych republiki, dość jasno określił status lądowo-morski przyszłego mocarstwa: „Jesteśmy strategiczną częścią Azji, znajdującą się w centrum Oceanu Indyjskiego, z bliskimi kontaktami z Azją Zachodnią, Południowo-Wschodnią i Dalekim Wschodem. Nawet jeżeli byśmy chcieli, nie możemy ignorować tego faktu”. Z granicą morską liczącą ponad siedem tysięcy kilometrów Indie z konieczności muszą prowadzić politykę zagraniczną, która w równym niemal stopniu uwzględnia zarówno komponent lądowy, jak i morski. Kontrola głównych szlaków transportowych na Oceanie Indyjskim, zwłaszcza tych, które prowadzą do centrum energetycznego Bliskiego Wschodu, jest jednym z najważniejszych priorytetów w strategii Nowego Delhi. Rozbudowa całej infrastruktury portowej oraz rozwój marynarki wojennej wynikają jednak nie tylko z wymogów nowoczesnej gospodarki oraz postępu technologicznego, ale w dużej mierze z realizowanych planów mocarstwowych Chińskiej Republiki Ludowej. Prezydent Xi Jinping stwierdził dobitnie, że Państwo Środka wkrótce zostanie „mocarstwem oceanicznym”, co w praktyce ustanowiłoby Ocean Indyjski akwenem globalnej konfrontacji prawdopodobnie na całą przyszłą dekadę. Jeszcze kilkanaście lat wcześniej władze w Pekinie zainteresowane były przede wszystkim zapewnieniem bezpieczeństwa na własnych wodach przybrzeżnych, czyli na Morzu Wschodniochińskim i Morzu Południowochińskim. To już przeszłość, albowiem obecnie Chiny są gotowe na operacje w coraz większej odległości od portów macierzystych i zabezpieczanie istotnych dla siebie korytarzy transportowych znajdujących się akurat w pobliżu subkontynentu, co naturalnie stanowi najważniejsze wyzwanie dla indyjskiej marynarki wojennej. Analizowany częstokroć w mediach tzw. dylemat Malakki i wszystkie związane z tym konsekwencje, stają się dla Nowego Delhi „dylematem Pekinu i Malakki”, a to będzie wymagało działań na wielu poziomach: od budowania bliższych relacji z państwami oceanicznymi, jak Sri Lanka czy Malediwy, po umiejętne rozwijanie współpracy z Waszyngtonem, który posiada zdolność projekcji siły na morskich obszarach mających znaczenie strategiczne dla samych Indii. Kształtowanie nowych sojuszy globalnych, wcześniej uznawanych za mało realne, może mieć swój początek na wodach Oceanu Indyjskiego. Wydaje się zatem oczywiste, że Indie będą coraz bardziej zainteresowane możliwościami wspólnych działań z państwami, dla których Chiny są albo faktycznym albo dopiero potencjalnym zagrożeniem, jak chociażby Wietnam i Japonia. **W takiej sytuacji mielibyśmy do czynienia z kolejną odsłoną Azjatyckiej Wielkiej Gry XXI wieku, która tylko częściowo przypomina swoją poprzedniczkę sprzed dwóch stuleci.**

Wyniki badań Piotra Kłodkowskiego zaprezentowane zostały w monografii *Azjatycka Wielka Gra. Indie i Azja Południowa w sporze o regionalną i globalną dominację w XX i XXI wieku*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2024. Książka przyniosła autorowi Nagrodę im. Jana Długosza w 2025 roku.

Dr hab. Piotr Kłodkowski, prof. UJ, orientalista, Katedra Porównawczych Studiów Cywilizacji Uniwersytetu Jagiellońskiego

Akademicka flotylla

Polskie statki badawcze i szkoleniowe

Instytucje naukowe posiadające statki i wykorzystujące je do realizacji swoich zadań badawczych i szkoleniowych muszą też – w większości przypadków – pełnić rolę armatorów, a to jest dodatkowe zadanie, które nie ma wiele wspólnego z ich najważniejszymi misjami: naukową i edukacyjną.

Niedawno przez media przetoczyła się batalia dotycząca finansowania Oceanii, statku badawczego i zaopatrzeniowego należącego do Instytutu Oceanologii Polskiej Akademii Nauk. Potem media wypełniły informacje o uchwale rządu zapewniającej środki finansowe w wysokości niemal miliarda złotych na zbudowanie dwóch nowych statków dla Uniwersytetu Morskiego w Gdyni i Politechniki Morskiej w Szczecinie. W pierwszym przypadku chodziło o 24 miliony zł na 3 lata, a w drugim o prawie miliard złotych jednorazowo. Środki miały pochodzić z zupełnie różnych źródeł i być przyznane na całkowicie odmiennych zasadach.

Po morzach pływa całkiem zgrabna flotylla statków szkoleniowych i badawczych należących do krajowych instytucji naukowych zajmujących się szkoleniem marynarzy i bada-

niami morza. Działalność na morzach jest kosztowna, a pozyskanie środków na utrzymanie i działalność badawczą statków wymaga regularnych starań – nie ma jednego spójnego systemu finansowania tych jednostek. Statki uczelni podległych MNiSW uzyskują pieniądze z tzw. SPUB-ów, a jednostki uczelni morskich finansowane są przez ministra infrastruktury ze specjalnej dotacji, regulowanej odrębną ustawą. Instytucje naukowe posiadające statki i wykorzystujące je do realizacji swoich zadań badawczych i szkoleniowych muszą też – w większości przypadków – pełnić rolę armatorów, a to jest dodatkowe zadanie, które nie ma wiele wspólnego z ich najważniejszymi misjami: naukową i edukacyjną.

Statki naukowe i szkoleniowe posiadają przede wszystkim dwie uczelnie morskie, podlegające Ministerstwu Infrastruktury, to Uniwersytet Morski w Gdyni i Politechnika Morska w Szczecinie. Ten pierwszy ma aż trzy statki. Najbardziej zeznanym jest Dar Młodzieży, ale uniwersytet ma też mniejszy Horyzont II i nieduży, za to nowoczesny statek IMOR. Politechnika Morska w Szczecinie jest armatorem statku naukowo-szkoleniowego Nawigator XXI. Uniwersytet Gdański posiada katamaran Oceanograf, a Instytut Oceanologii PAN jest armatorem żaglowca Oceania. Morski Instytut Rybacki ma statek Baltica i 4 małe łodzie. Akademia Marynarki Wojennej szkoli swoich studentów na dwóch okrętach Marynarki Wojennej: Iskrze i Wodniku, ale posiada też nieduży pełnomorski jacht Admirał Dickman, który służy do celów szkoleniowych i sportowych. Także Uniwersytet Szczeciński w Stacji Morskiej w Międzyzdrojach posiada dwie małe jednostki: katamaran Szuwarek i kuter naukowo-badawczy SNB-US-1.

Największą z jednostek tej „akademickiej flotylli” jest ponad stumetrowy żaglowiec szkoleniowy Dar Młodzieży, za nim plasują się statki o wielkości między 40 a 60 metrów. Dalej jest 32-metrowy IMOR i 12-metrowy Admirał Dickman. No i na końcu małe łodzie do badań przybrzeżnych. Na wody oceanów wypływają regularnie jedynie cztery jednostki: Dar Młodzieży, który dwukrotnie opłynął świat, Horyzont II, Nawigator XXI i Admirał Dickman. Pozostałe realizują zadania szkoleniowe i badawcze pływając po Morzu Bałtyckim, choć Oceanograf wypływał na szersze wody.



Źródło: Uniwersytet Morski w Gdyni

Dar Młodzieży.

Piotr Kieraciński

Adam Weintrit

Szkolenia i reprezentacja

Uniwersytet Morski w Gdyni przeszedł z etapu prac koncepcyjnych, dotyczących budowy nowego statku szkolnego, do realizacji projektu kontraktowego

Od ponad stu lat, w tym od ponad 40 lat na „Darze Młodzieży”, kształcimy kolejne pokolenia oficerów floty handlowej, którzy podczas praktyk studenckich na morzu sprawdzają zdobyte przez siebie wiedzę i umiejętności. Przede wszystkim jednak poznają własne ograniczenia, nabierając pokory w starciu z żywiołem morskim. Praktyki studenckie na „Darze Młodzieży” to również czas, w którym młodzi kadeci uczą się pracy zespołowej na statku – umiejętności niezbędnej w zawodzie marynarza.

Jednak po ponad 40 latach eksploatacji obecnego żaglowca, mając na uwadze zarówno zapewnienie najlepszych warunków kształcenia naszych studentów, jak i wymogi związane z rozwojem nowych technologii, jesteśmy świadomi, że „Dar Młodzieży” w ciągu kilku najbliższych lat będzie musiał zostać zastąpiony nową jednostką. Nowy statek powinien łączyć w sobie tradycję z nowoczesnością, umożliwiając realizację misji dydaktycznej i reprezentacyjnej w zmieniającym się współczesnym świecie.

Jako rektor najstarszej uczelni morskiej w kraju, która od początku swojego istnienia niezmiennie kształci ludzi związanych z gospodarką morską, z dumą mogę powiedzieć, że dzięki naszym intensywnym staraniom oraz pracy powołanego przeze mnie Zespołu ds. budowy następcy statku szkolnego „Dar Młodzieży” Uniwersytet Morski w Gdyni przeszedł z etapu prac koncepcyjnych, dotyczących budowy nowego statku szkolnego,

do realizacji projektu kontraktowego. Uczelnia pracuje obecnie nad wizualizacją nowego żaglowca. Kolejnym krokiem będzie opracowanie dokumentacji technicznej niezbędnej do ogłoszenia przetargu w formule „Zaprojektuj i zbuduj”. W ostatnich miesiącach wspólnie z Ministerstwem Infrastruktury przygotowaliśmy dokumentację potrzebną do uzyskania finansowania budowy żaglowca w ramach wieloletniego programu rządowego. Starania te doprowadziły do historycznej dla Uniwersytetu Morskiego w Gdyni oraz dla polskiej gospodarki morskiej decyzji o finansowaniu budowy następcy „Dar Młodzieży”. Przyjęta 30 września 2025 roku przez Radę Ministrów uchwała ustanawiająca program wieloletni „Budowa statków dla uczelni morskich w latach 2025–2029”, przygotowany przez Ministerstwo Infrastruktury, pozwoli na rozpoczęcie w przyszłym roku budowy nowego statku szkolnego Uniwersytetu Morskiego w Gdyni i zastąpienie dotychczasowej jednostki.

Cieszę się, że budowa następcy „Dar Młodzieży” postrzegana jest jako inwestycja kluczowa dla interesu całego kraju, a także dalszego rozwoju polskiej gospodarki morskiej. Jestem głęboko przekonany, że nowy żaglowiec będzie godnym kontynuatorem swoich poprzedników: „Dar Młodzieży”, „Dar Pomorza” oraz „Lwowa”, i przyczyni się do budowania polskiego dziedzictwa morskiego. Podobnie jak poprzednicy będzie pełnił rolę najbardziej znanego polskiego ambasadora – naszej białej

fregaty. Będzie miejscem wyjątkowym, na którym szkolic się będą kolejne pokolenia marynarzy promujące rodzime szkolnictwo morskie.

*Prof. dr. hab. inż.
kpt. ż.w. Adam Weintrit
jest rektorem
Uniwersytetu Morskiego
w Gdyni.
Prowadzi badania
w zakresie
bezpieczeństwa żeglugi,
transportu morskiego,
nawigacji, geodezji
i kartografii.*



Wizualizacja następcy Daru Młodzieży

Nowy statek środowiska naukowego

Nowy statek został pomyślany tak, by służyć zarówno kształceniu studentów, praktykom, rejsom dydaktycznym, jak i był wyposażony w zaawansowaną aparaturę badawczą, m.in. do eksploracji głębin morskich, co umożliwi uczelni i krajowi udział w międzynarodowych przedsięwzięciach badawczych.

Politechnika Morska w Szczecinie stanęła przed znaczącym krokiem w swoim rozwoju – otrzymała zielone światło na budowę nowoczesnego, oceanicznego statku szkolno-badawczego. To przedsięwzięcie nie jest tylko kolejnym obiektem w marynistycznym zapleczu uczelni, lecz projektem o znacznie szerszym zasięgu: ma służyć nie tylko studentom i kadry dydaktycznej uczelni, lecz także całemu środowisku naukowemu w Polsce.

Zgodnie z założeniami, jednostka będzie miała około 93 metrów długości, 17 metrów szerokości i zanurzenie 6,5 metra. Na pokładzie zaplanowano miejsca dla 48 studentów i 16 naukowców, a stała załoga ma liczyć około 14 osób. Dodatkowo statek będzie w pełni przystosowany do prowadzenia zajęć dydaktycznych. Będzie wyposażony w sale wykładowe, laboratoria oraz przestrzeń do obsługi nowoczesnych systemów pomiarowych.

Co więcej, jednostka ma być zdolna do prowadzenia prac badawczych na wodach oceanicznych, z wykorzystaniem takich technologii, jak zdalnie sterowane pojazdy podwodne, auto-

nomiczne roboty, wibrosondy czy echosondy wielowiązkowe, co umożliwi prowadzenie badań na głębokościach rzędu kilku tysięcy metrów.

Koszt inwestycji to 625 mln złotych. Zostały one zarezerwowane na ten cel w programie wieloletnim budżetu państwa. Jednostka, której budowa zaplanowana jest na cztery lata, ma być gotowa do końca 2029 roku. Zgodnie z planem „zaprojektuj i zbuduj”, proces rozpocznie się najpóźniej w 2026 roku, a wodowanie kadłuba zaplanowano na przełom 2027/2028.

Wybór takich parametrów i funkcji statku wynika z kilku kluczowych potrzeb. Po pierwsze – potrzeba edukacyjna. Jako uczelnia morska chcemy zapewnić studentom dostęp do nowoczesnych warunków kształcenia praktycznego. Obecny statek, Nawigator XXI, spełnia rolę szkoleniową, choć nie w pełnym zakresie potrzeb, i nie wystarcza, by realizować zaawansowane projekty naukowe, w tym oceaniczne, co ogranicza potencjał uczelni.

Po drugie – aspekt badawczy i strategiczny dla Polski. W dobie transformacji energetycznej oraz rosnącego znacze-



Wizualizacja następcy statku Nawigator XXI

nia danych badawczych i kompetencji morskich, nie możemy pozostawać w tyle. W tym kontekście jednostka, o którą uczelnia zabiegała od wielu lat, ma służyć nie tylko samej Politechnice Morskiej, lecz także pełnić funkcję pełnoprawnej platformy badawczej dla całego krajowego środowiska naukowego, zainteresowanego badaniami na pełnym morzu.

Dlatego podczas tworzenia koncepcji statku uczelnia korzystała z konsultacji ze środowiskiem naukowym, a już na etapie projektowania jednostki zapraszamy do współpracy naukowców z najważniejszych polskich instytutów i uczelni, którzy będą dla nas ciałem doradczym, tworząc radę naukowo-konsultacyjną. Dzięki temu nowa jednostka będzie ściśle dopasowana do rzeczywistych potrzeb nauki w Polsce.

Po trzecie – wydajność i efektywność. Nowy statek umożliwi w skali roku praktyki dla aż 768 studentów. Równocześnie będzie zdolny do pełnego rejsu dydaktyczno-badawczego dla grupy studentów i naukowców, co obecnie jest ograniczone.

Uczelnia potrzebuje obiektu łączącego funkcje szkoleniowe i badawcze, czyli statku szkolno-badawczego.

Dotychczasowa jednostka Nawigator XXI nadal będzie służyć uczelni. Na jej pokładzie studenci mają możliwość pierwszego bezpośredniego kontaktu z morzem. Odbywają tam szkolenia z obsługi urządzeń pokładowych, nawigacji, pracy siłowni okrętowej i życia na statku. Wprowadzie rolę tego statku jako narzędzia badawczego dla szerokiego środowiska naukowego, względem najnowszych standardów, jest ograniczona przez jego

wiek i parametry (co dodatkowo uzasadnia potrzebę budowy nowej jednostki), ale nadal może służyć uczelni do szkoleń i praktyk, także dla uczniów szkół średnich o profilu morskim. Dzisiaj taka funkcja jest trudna do realizacji ze względu na obłożenie statku. Nawigator XXI będzie mógł w dalszym ciągu uczestniczyć w ćwiczeniach ratowniczych, manewrach antyterrorystycznych oraz rzeczywistych akcjach ratowniczych, co podkreśla jego znaczenie operacyjne i szkoleniowe.

Z kolei nowy statek został pomyślany tak, by służyć zarówno kształceniu studentów, praktykom, rejsom dydaktycznym, jak i był wyposażony w zaawansowaną aparaturę badawczą, m.in. do eksploracji głębin morskich, co umożliwi uczelni i krajowi udział w międzynarodowych przedsięwzięciach badawczych. Wydaje się, że wybór jednej, wielofunkcyjnej jednostki jest rozwiązaniem najbardziej racjonalnym. Nowy statek Politechniki Morskiej będzie znaczącą inwestycją nie tylko dla uczelni, ale dla całej polskiej nauki i gospodarki morskiej. W tej sytuacji nie chodzi o wybór między statkiem szkoleniowym a badawczym, chodzi o wybór programu ambitniejszego, łączącego obie funkcje w jednej nowoczesnej jednostce. Nowy statek będzie pełnić rolę pierwszego w Polsce tak zaawansowanego narzędzia badawczego dostępnego dla całego środowiska naukowego.

Dr hab. inż. kpt. ż.w. Wojciech Ślęczka, prof. PM, jest rektorem Politechniki Morskiej w Szczecinie. Zajmuje się modelowaniem symulacyjnym ruchu statku, budowanym w oparciu o badania rzeczywiste oraz modelowniem ryzyka w transporcie morskim.

Pieniądze na statki badawcze i szkoleniowe

W Polsce nie ma jednego systemu finansowania działalności statków badawczych i szkoleniowych, których właścicielami i armatorami są instytucje naukowe. Najbardziej klarowna jest pod tym względem sytuacja uczelni morskich, podlegających ministrowi infrastruktury, tj. Uniwersytetu Morskiego w Gdyni i Politechniki Morskiej w Szczecinie. Zasady finansowania jednostek pływających tych uczelni, a zatem statków Dar Młodzieży, Horyzont II, IMOR i Nawigator XXI, określone są w Rozporządzeniu Ministra Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej z 11 czerwca 2019 r. w sprawie sposobu podziału środków finansowych przeznaczonych na utrzymanie potencjału dydaktycznego oraz potencjału badawczego, a także na zadania związane z utrzymaniem statków szkolnych i specjalistycznych ośrodków szkoleniowych kadr morskich, znajdujących się w dyspozycji ministra właściwego do spraw gospodarki morskiej. W roku 2025 UMG dostał na utrzymanie swoich statków 22 639 843 zł, a Politechnika Szczecińska 25 647 157 zł.

W przypadku Akademii Marynarki Wojennej finansowanie szkoleń należy do Ministerstwa Obrony Narodowej. Uczelnia posiada nieduży jacht pełnomorski Admirał Dickson, a szkoli kandydatów na oficerów Marynarki Wojennej RP na dwóch okrętach do niej należących. Korzysta też z innych opcji, tj. rejsów na statkach cywilnych, np. na Darze Młodzieży.

Zupełnie inna jest sytuacja z finansowaniem statków, których armatorami są instytucje podległe Ministerstwu Nauki i Szkolnictwa Wyższego, a chodzi o Instytut Oceanologii Polskiej Akademii Nauk i jej zagłowiec Oceania, Uniwersytet Gdański, który jest armatorem Oceanografa oraz Uniwersytet Szczeciński, posiadający dwie całkiem małe jednostki: 11-metrowy kuter i 7-metrowy katamaran. Poza kata-

maranem Szuwarek (nb. najmłodszym nabytkiem z 2015 r.), którego niewielkie koszty – 5 tys. zł rocznie – pokrywane są ze środków Instytutu Nauk o Morzu i Środowisku USZ oraz grantów badawczych realizowanych przy jego pomocy, pozostałe jednostki traktowane są jak specjalne urządzenia badawcze i finansowane na podstawie dotacji z ministerialnego funduszu SPUB. Każdy armator musi co trzy lata składać wnioski do MNiSW, licząc, że znajdą się środki na funkcjonowanie jednostek pływających. Kłopoty Oceanii w ostatnich latach świadczą o tym, że nie jest to oczywiste.

– W tej chwili Oceania ma zapewnione środki na działalność do końca 2026 r. Jednak działamy cały czas w sferze kryzysu finansowego – tłumaczy prof. Jan M. Węśławski, dyrektor Instytutu Oceanologii PAN. – Finansowanie przyznano nam z przygodami. Najpierw po roku oczekiwania w październiku 2024 roku dostaliśmy odmowę finansowania, mimo że wydatki już zostały poniesione. Po medialnej burzy dano nam 3/4 potrzebnej kwoty, a po kolejnym roku w październiku 2025 roku dostaliśmy brakujące pieniądze. Na same remonty – planowane i doraźne – wydajemy około 2 mln zł rocznie. Statek badawczy nie może prowadzić działalności komercyjnej i zarabiać na siebie, bo to zawsze zabija działania naukowe, musi pozostawać na budżecie państwa – tak jest na całym świecie, a każde państwo musi określić interes państwa na morzu – tłumaczy dyrektor IO PAN. Roczne utrzymanie Oceanii kosztuje 8 mln zł.

Roczny koszt utrzymania Oceanografa wynosi 8,5 mln zł. UG zdobył finansowanie jednostki do końca 2026 roku. Na utrzymanie uniwersyteckiego kutra Uniwersytet Szczeciński potrzebuje 130 tys. zł rocznie.

(opr. PK)

Wyjdźmy w morze na poważnie

Nowa sytuacja geopolityczna z podkreśleniem wagi Bałtyku oraz osi Bałtyk – Arktyka, ambicje Polski w zakresie możliwych koncesji dna morskiego na Atlantyku, wreszcie konieczność utrzymania flagowych polskich stacji polarnych na Spitsbergenie i w Antarktyce – to wszystko wymaga statków naukowych.

Informacje o morzu są w Polsce wciąż egzotyką, więc przygody ze statkami tym bardziej do niej należą. Dla środowiska akademickiego dobrze by było, żeby pozostało w świadomości, że poza reaktorem jądrowym, teleskopem czy nowoczesnymi laboratoriami z unikalnym sprzętem nauka polska ma również statki. Celowo podkreślam, że chodzi o polską naukę, bo statków naukowych (badawczych) na świecie jest dużo, podobnie jak reaktorów jądrowych i teleskopów. Z jakiegoś powodu jednak prawie każdy kraj chce mieć własną narodową infrastrukturę tego rodzaju. To kwestia prestiżu, budowy wizerunku i narodowego wkładu w cywilizacyjny wysiłek zrozumienia świata.

Są też kwestie bardziej praktyczne – np. zobowiązania do kontroli zasobów żywych polskiego morza (a to 11% terytorium Polski) – takie zobowiązania mamy wobec Wspólnej Polityki Rybackiej UE, ale też są oczywistym interesem każdego właściciela wód morskich. W tym zakresie wywiązujemy się z obowiązku przy pomocy starszej już pani (w międzynarodowej tradycji morskiej statek powinien mieć imię żeńskie) BALTICA, należącej do Morskiego Instytutu Rybackiego oraz IMGW. Edukacja w zakresie badań środowiska morskiego jest realizowana przez OCEANOGRAF – katamaran Uniwersytetu Gdańskiego, małą, stosunkowo nową, świetnie wyposażoną jednostkę do badań na Bałtyku. Zadania oceanografii operacyjnej, zlecenia badania środowiska dla przemysłu morskich farm wiatrowych od lat robi IMOR – mały, ale bardzo sprawny statek Instytutu Morskiego (ostatnio w strukturach Uniwersytetu Morskiego w Gdyni). Do tej małej floty można jeszcze zaliczyć szkolne statki Politechniki Morskiej w Szczecinie Nawigator 21 oraz Horyzont (Uniwersytet Morski w Gdyni) – to niewielkie statki, szkolące kadry zawodowych marynarzy i oficerów.

No i jest OCEANIA Instytutu Oceanologii PAN, jedyny polski statek badawczy wychodzący regularnie poza Bałtyk, z 40-letnią historią pracy na Północnym Atlantyku i udziału w międzynarodowych projektach naukowych. Nie pracuje dla komercji, nie pracuje na zlecenia, robi czystą naukę dla zrozumienia zmian klimatu i morskiego ekosystemu, zawsze w mię-



Fot. Jerzy Abramowicz. Archiwum OPAN

dzynarodowej kooperacji i zawsze publikując i udostępniając dane. Finansowana jest w drodze konkursu co 3 lata. Za każdym razem dostaje pieniądze za późno, za mało lub wcale. Jak dotąd udaje się nam wyklócać środki na utrzymanie statku. Wielki kryzys w tym względzie miał miejsce w 2024 r., gdy ministerialna komisja odmówiła przyznania dotacji. Po medialnej burzy dostaliśmy 3/4 tego, co potrzebujemy. Po drastycznych oszczędnościach, redukcji załogi Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego dodało jesienią br. pieniądze na zatrudnienie pełnej ekipy w trybie wymaganym przez Państwową Inspekcję Pracy do końca 2026. Statek pływa, ekipa naukowa robi swoje. Aktualne pozostało pytanie: co dalej?



Fot. Kajetan Dęba. Archiwum IPAN

Nowa sytuacja geopolityczna z podkreśleniem wagi Bałtyku oraz osi Bałtyk – Arktyka, ambicje Polski w zakresie możliwych koncesji dna morskiego na Atlantyku, wreszcie konieczność utrzymania flagowych polskich stacji polarnych na Spitsbergenie i w Antarktyce – to wszystko wymaga statków naukowych.

Racjonalne, ekonomiczne uzasadnienie posiadania narodowego statku badawczego jest trudne. OCEANIA ściąga co roku do Polski około 15 milionów złotych w postaci projektów UE, współpracy bilateralnej z Norwegią, Niemcami czy USA. To oczywiście pieniądze na badania, a nie na statek, który jest naszym „aportem”, powodem, dla którego możemy razem z innymi ubiegać się o granty oceaniczne. Bez statku tych pieniędzy nie będzie, co nie znaczy, że oceaniczne badania w Polsce znikną. Wręcz przeciwnie, mamy nadmiar zaproszeń na statki norweskie, duńskie, niemieckie, możemy zachować afiliację PAN w publikacjach, ale będziemy pracować w cudzych projektach, pod cudzą banderą.

Nieracjonalne, ale polityczne uzasadnienie jest łatwe. Każde morskie państwo ma oceaniczny statek badawczy (nie licząc małych jednostek do pilnowania własnego wybrzeża). Statki pracujące w programach naukowych, odpowiadających na globalne wyzwania (zmiany klimatu) to dyplomacja naukowa i świadectwo cywilizacyjnej pozycji państwa. Polska potrzebuje oceanicznego statku badawczego (przy okazji może pełnić inne zadania, ale nauka musi być flagowym produktem jego misji). Minęły czasy, gdy taką bardzo kosztowną jednostką zarządzała jedna instytucja. To powinien być statek „narodowy” czy też „państwowy”, realizujący długoterminowy program badawczy w interesie kraju. Jego użytkownikami powinni być naukowcy z wszystkich jednostek naukowych: uczelni, PAN i innych, kwalifikowani na drodze konkursów naukowych, tak jak odbywa się to w innych krajach. Nad racjonalnym wykozystaniem takiego statku czuwałaby Rada Naukowa, wybrana i weryfikowana.

Oceaniczny statek badawczy (ok. 80 m długości) to bardzo drogie (koszt budowy ok. 400 mln złotych) i trudne narzędzie, nie może być obiektem lobbingu, rozgrywania interesów regionalnych lub instytucjonalnych. Także koszty jego utrzymania są bardzo duże (ok. 20 mln zł rocznie) i muszą być optymalnie ulokowane. To kwestia podstawowej odpowiedzialności. Przy takich jak wspomniane powyżej kosztach słowo „nauka” musi być traktowane poważnie. Nie wystarczy etykieta „badawczy”, jaką chętnie przyczepiają do swoich statków uczelnie morskie, które szkolą marynarzy, a nie prowadzą badań morskich. Na szczęście da się to weryfikować – baza SCOPUS daje wgląd w recenzowane publikacje międzynarodowe, a internet w zakres międzynarodowych projektów i współpracy.

Nowe statki są bardzo drogie, można wydać na nie dowolną ilość pieniędzy, ważne co uzyskamy w zamian. Na świecie najbardziej kosztowne statki należą do marynarek wojennych, tam nikt nie będzie pytał o uzasadnienie, bo bezpieczeństwo państwa jest priorytetem. Druga kategoria to specjalistyczne statki służące wielkim projektom infrastrukturalnym, układające kable podmorskie, unikatowe konstrukcje itp. – za uzasadnienie tych kosztów odpowiada przemysł, prywatny lub państwowy. Trzecia kategoria to statki badawcze. W ich przypadku skala kosztów zależy od ambicji danego państwa. Morska potęga, jaką była Wielka Brytania, ma supernowoczesny statek „Sir David Attenborough”, zbudowany za około 1 mld złotych. Statki szkolne dla cywilnych szkół kształcących marynarzy i oficerów to zwykle małe jednostki, takie jak mają już nasze uczelnie morskie (Politechnika Morska i Uniwersytet Morski). Oczywiście z nowej inwestycji można zrobić karykaturę, jak jacht „I love Poland”, reklamujący Polskę w 100-lecie niepodległości. Tylko po co, skoro można zrobić coś porządnie?

*Prof. dr hab. Jan M. Węstawski jest ekologiem morskim;
kieruje Instytutem Oceanologii PAN w Sopotcie.
Spędził ponad 50 miesięcy w ekspedycjach polarnych i morskich.*

Oceanografem kołysze słabiej

I to nie jest bez znaczenia w kontekście prowadzenia badań naukowych. Ponieważ taka cecha statku badawczego jest bardzo pożądana, zdecydowano, że jednostka naukowo-szkoleniowa Uniwersytetu Gdańskiego będzie katamaranem. Stalowy kadłub zbudowano w 2016 w Stoczni Nauta w Gdyni. Jak się okazało, początkowy projekt zawierał niewłaściwe kalkulacje i okazał się on za mały w stosunku do potrzeb, jakie miała realizować jednostka. Stocznia musiała powiększyć gotowy już kadłub z 40 metrów długości do obecnych 49,5. Statek miał kosztować 33,2 mln zł, ale stocznia po zmianach zażyła sobie dodatkowo kilkanaście milionów. Sprawa oparła się o sądy. Ostatecznie budowa kosztowała ok. 40 mln zł, a sfinansowała ją Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Statek rozpoczął służbę z kilkuletnim opóźnieniem. W pierwszy rejs wyruszył w 2018 roku. Nowy Oceanograf zastąpił wysłużony Oceanograf II, zbudowany w latach 70. XX wieku w stoczni w Leningradzie.

Katamaran ma szerokość 14,0 metrów, zanurzenie konstrukcyjne 2,0 metry, a wyporność maksymalną ok. 792 ton. Najważniejszy jest napęd spalinowo-elektryczny, złożony z zespołów prądotwórczych 2×420 kW, 2×225 kW oraz pędniki strumieniowo-azymutalne i stery strumieniowe w postaci pędników tunelowych, które wraz z systemem dynamicznego pozycjonowania DP I umożliwiają bardzo precyzyjne pozycjonowanie jednostki i utrzymanie przez długi czas w zadanej pozycji, co ma fundamentalne znaczenie dla wielu typów pomiarów i badań wykonywanych z pokładu Oceanografu. Zasięg statku przy prędkości ekonomicznej 10 węzłów wynosi 2,5 tys. mil morskich, a autonomiczność żeglugi – zdolność do żeglugi bez zawijania do portu – wynosi 21 dni.

R/V Oceanograf to specjalistyczny statek naukowo-badawczy wykonujący szerokie spektrum pomiarów związanych ze środowiskiem morskim. To najnowocześniejsza jednostka badawcza w basenie Morza Bałtyckiego, wykonująca zadania na rzecz nauki oraz gospodarki morskiej. Statek posiada certyfikaty żeglugi międzynarodowej. Jest przeznaczony do prowadzenia badań batymetrycznych, biologicznych, chemicznych, fizycznych, geologicznych, magnetyczno-sejsmoakustycznych środowiska Morza Bałtyckiego. Generalnie wykonuje swoją misję właśnie na tym akwenie. Miał jednak przygodę dalekomorską.

Statek jest wyposażony w specjalistyczne urządzenia do interdyscyplinarnych badań środowiska i przyrody morskiej. Oprócz laboratoriów wewnątrz statku są również obserwatoria i sala seminaryjna. Ze

względu na rozległy zakres badań, które są prowadzone przy użyciu statku, m.in.: badania dna morskiego, badania batymetryczne, badania chemiczne, badania geologiczne, jest jednostką wielozadaniową.

Wykonywanie tych zadań umożliwia nie tylko opisana powyżej budowa statku, ale także zamontowane na pokładzie urządzenia, w tym sterowany radiowo żuraw pokładowy, bramownica rufowa, wyciągarki sieciowe i trałowe, bramownica burtowa z dwoma wciągarkami, wysuwane z kadłuba podnośniki echosond Reson i Split Beam oraz USBL. Służą one do połowu ryb, pobierania próbek wody i z dna morskiego. Dodatkowe urządzenia badawcze pozwalają to robić z wielką precyzją. Część badań można wykonać bezpośrednio na statku. Są na nim bowiem niewielkie, ale nowoczesne laboratoria: mokre, pomiarowe, sterylne i termostatyzowane.

Żeby statek pływał, musi mieć załogę. W przypadku Oceanografu jest to 9 osób. Uniwersytet zatrudnia dwie załogi, czyli 18 marynarzy i oficerów. Na pokład zabiera też gości: badaczy wykonujących pomiary naukowe, studentów odbywających różnego rodzaju praktyki. Maksymalnie może zabrać 20 osób. Przeciętnie w ciągu roku spędza w morzu 190 dni żeglugowych, goszcząc na pokładzie ok. 940 osób. Zwykle rejs naukowo-szkoleniowy trwa od jednego do kilku dni, jednak Oceanografowi przydarzyły się też dłuższe i dalsze rejsy. Kilka lat temu dopłynął do Kadyksu (Hiszpania), odwiedzając po drodze zaprzyjaźnione uczelnie morskie w Kilonii (Niemcy) i Breście (Francja).

Ostatnio odbył 33-dniową wyprawę na morza Północne i Norweskie, dopływając do Bergen. W BaltArctic Research Cruise uczestniczył zespół badawczy złożony z 27 naukowców z ośmiu krajów reprezentujących sojusz europejski SEA-EU, łączący 9 nadmorskich uniwersytetów. Statek przepłynął wówczas 2900 mil morskich, odwiedzając 15 stacji badawczych. Podczas postojów w portach statek zwiedziło ponad 500 osób.

Podczas rejsu realizowano 3 duże projekty badawcze, w których uczestniczył też Instytut Oceanologii PAN. Na pewnym etapie wyprawy Oceanografowi towarzyszyła Oceania. W trakcie rejsu pobierano próbki wody morskiej, aby na podstawie ich składu chemicznego, zanieczyszczeń i obecności organizmów wodnych stwierdzić, jak daleko na północ sięgają wody płynące z Bałtyku. Wykonano też pomiary właściwości wody morskiej i aerozoli oraz pobrano próbki wody i organizmów morskich do dalszych badań laboratoryjnych. Dopiero dokładne analizy zebranego materiału dadzą odpo-

wiedź na pytania dotyczące zasięgu występowania pochodzących z Bałtyku organizmów słonawowodnych w pełnosłonych morzach nordyckich i charakteru odpływu wód bałtyckich na północ oraz sprawdzenie, jak daleko na północ są one jeszcze wykrywalne. Wstępne dane wskazują na to, że bardzo daleko, dalej niż się spodziewano.

Oceanograf niejednego już dokonał, a przed nim kolejne lata pływania po Bałtyku i ościennych akwenach. Byłe nie zabrakło środków na utrzymanie statku i badania, co w obecnej mizerii finansowej nauki nie jest oczywiste.

Piotr Kieraciński



For. UG

Lubow Żwanko, Dmytro Kibkało

Zygmunt Atanazy Mokrzecki (1865–1936)

160. rocznica urodzin wybitnego uczonego entomologa

Uczony entomolog europejskiej skali, legendarna postać, profesor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, utalentowany uczyony–praktyk, który zainicjował nowatorską w ówczesnej Europie i wysoko skuteczną metodę stosowania oprysków lasów prowadzonych przy użyciu samolotów.

Zygmunt Atanazy Mokrzecki urodził się 2 maja 1865 r. w majątku Dzitriki w powiecie lidzkim (gubernia wileńska) w rodzinie szlacheckiej Aleksandra i Kamili Mokrzeckich. Mieli oni czterech synów, wśród których Zygmunt był najmłodszy. Rok po jego urodzeniu zmarła matka, a ojciec oddał go na wychowanie do rodziców żony – Wincentego i Gersylii Narbut-Maszewskich. Mieszkali oni nieopodal w folwarku Winkowce. Babcia zaszczepiła w chłopcu zainteresowanie roślinami: zbierała zioła i znała się na ich właściwościach leczniczych. Prawdopodobnie to ona miała wpływ na wybór jego drogi zawodowej. Naukę szkolną Zygmunt pobierał najpierw w szkole podstawowej w Lidzie (1874–1879), a potem w Wileńskim Gimnazjum Realnym (1879–1884). W latach 1884–1889 studiował w Instytucie Leśnym w Sankt Petersburgu, uzyskawszy dyplom leśniczego II stopnia.

Po studiach powrócił do majątku Winkowce, żeby uczyć „chłopców czytać, pielęgnować sady, szczepić drzewka i nie kraść owoców z dworów”. Zamierzał założyć w zapisanych na niego po dziadku majątkach Winkowce i Kazimierowo „doświadczalnictwo naukowe”. O swojej decyzji po latach pisał do jednego z braci: „Rozumiałem też, że nie ma żadnej nadziei na to, aby rząd rosyjski stworzył w kraju placówkę naukową, chociażby rosyjską, ale tylko osobista prywatna inicjatywa w danych warunkach naszego bytu politycznego może być jedynym źródłem twórczości naukowej, w szczególności polskiej. Jedynymi ośrodkami kultury i cywilizacji polskiej, poza kościołem, były polskie dwory i dworki, i przy jednym z nich chciałem się utrzymać”. Niestety rodzina nie zrobiła tak, jak było zapisane w testamencie dziadka i młody Mokrzecki musiał wyjechać, żeby gdzie indziej układać sobie życie.

W Charkowie i na Krymie

Azyłem dla Zygmunta Mokrzeckiego stał się Charków, gdzie zrobił pierwsze kroki w zawodzie i nauce. Dwuletni okres char-

kowski (1890–1892) pozwolił mu ułożyć nowe plany na przyszłość. Najpierw zaczął pracować w Charkowskim Zarządzie Mienia Państwowego na stanowisku asystenta leśniczego. Jednocześnie studiował na Uniwersytecie Charkowskim. Na swoje zainteresowania naukowe i życiowe wybrał entomologię. Pracował też jako asystent w Katedrze Zoologii pod kierunkiem znanego zoologa profesora Aleksandra Brandta. W 1892 r. obronił doktorat. W tym samym roku w czasopiśmie „Lesnoj Żurnał” (Sankt Petersburg) została opublikowana jego pierwsza praca naukowa: *Oczerk dacz Izumskogo leśnictwa Charkowskiej gubernii, w swiazi s diejatielnostju w nich sosnowago szelkopriada*.

W 1892 r. tawrijskie ziemstwo gubernialne jako pierwsze w Imperium Rosyjskim wprowadziło stanowisko entomologa, które objął Zygmunt Mokrzecki. Okres krymski, w którym prowadził działalność naukową, popularyzatorską i organizacyjną, trwał 28 lat i został przerwany okupacją półwyspu przez wojska bolszewickie. Najpierw do 1897 r. pracował na stanowisku gubernialnego entomologa. Kolejne 15 lat podlegał Departamentowi Rolnictwu jako inspektor, później jako starszy specjalista. Podczas licznych wyjazdów i ekspedycji zbierał kolekcje owadów, roślin, mineralów, skał. W tym okresie cały czas utrzymywał ożywione kontakty z polskim środowiskiem naukowym.

W tym czasie Zygmunt Mokrzecki wykazał się wysokimi kwalifikacjami naukowymi i zdolnościami organizacyjnymi. Był założycielem różnych towarzystw naukowych. Z jego inicjatywy powstały towarzystwa entomologiczne w Kijowie i Chersoniu. W 1896 r. w Symferopolu założył pierwszy w Rosji magazyn ziemski, gdzie można było nabyć środki chemiczne ochrony roślin. W 1899 r. założył w tym mieście Historyko-Przyrodnicze Muzeum, a w 1910 r. Krymskie Towarzystwo Naturalistów i Wielbicieli Przyrody, na którego czele stał w ciągu pierwszych pięciu lat. Był też redaktorem wydawanego przez Towarzystwo



Zygmunt Mokrzecki, zdjęcie portretowe, 1935. Źródło: zbiory Biblioteki Muzeum i Instytutu Zoologii PAN, Repozytorium Cyfrowe Instytutów Naukowych, <https://rcin.org.pl/dlibra/publication/88623/edition/72911/content>



Zygmunt Mokrzecki, zdjęcie portretowe, 1902. Źródło: zbiory Biblioteki Muzeum i Instytutu Zoologii PAN, Repozytorium Cyfrowe Instytutów Naukowych, <https://rcin.org.pl/dlibra/publication/88624/edition/73049/content>

zbioru prac naukowych. W latach 1912–1920 był organizatorem i dyrektorem pierwszej na Krymie doświadczalnej stacji pomologicznej w Sałgirce (Symferopol). Prowadził regularnie szkolenia dla ogrodników-instruktorów, słuchaczy i kadry szkół agronomicznych.

Do wielkich osiągnięć Mokrzeckiego można zaliczyć udział w założeniu Uniwersytetu Tawrijskiego w Symferopolu. Otrzymał też propozycję objęcia na nim stanowiska asystenta profesora i sprawując tę funkcję przyczynił się do powstania Wydziału Agronomicznego. W 1918 r. został mianowany na profesora entomologii, jak też uhonorowany tytułem doktora honoris causa.

Zygmunt Mokrzecki jako pierwszy w Europie wprowadził amerykańskie kierunki pracy w dziedzinie entomologii stosowanej. Miał wieloletnie przyjacielskie stosunki z organizatorem i twórcą amerykańskiej entomologii stosowanej doktorem Lenardem Howardem (1857–1950), szefem Biura Entomologicznego Ministerstwa Rolnictwa Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

W okresie krymskim za swoją działalność został odznaczony orderem św. Stanisława III stopnia (1911), uzyskał wysoką rangę radcy stanu (1915), która odpowiadała stanowisku wicegubernatora.

Zygmunt Mokrzecki prowadził szeroką działalność społeczną – aktywnie uczestniczył w życiu polskiej wspólnoty Symferopola i swoim rodakom był „zawsze gotów służyć radą i pomocą”.

Po przyjeździe do Symferopola ożenił się z Marią Szumską, Rosjanką z pochodzenia. Ich dzieci, Wiktor (15 września 1893 r.) i Maria (9 grudnia 1897 r.), z którymi ojciec stale rozmawiał po polsku, byli wychowani w polskim duchu. W 1919 r. małżonkowie rozwiedli się, a fakt rozwodu potwierdzono w „parafii prawosławnej św. Trójcy w Warszawie 27 czerwca 1923 roku”. Polskość w dzieciach była bardzo silna, po rozwodzie rodziców pozostali z ojcem i następnego roku wraz z nim wyjechali na emigrację.

Na emigracji

W 1920 r. Zygmunt Mokrzecki wraz z córką popłynął do Turcji, zostawiwszy w mieście swoje archiwum naukowe oraz zbiory. Pozostawił wszystko, co było sensem życia: pracę zawodową, dotychczasową karierę, społecznie uznanie.

Jakiś czas mieszkali Mokrzejcy w Konstantynopolu. To miasto stało się swoistą Mekką dla emigrantów z terenów byłego Imperium Rosyjskiego. Po kilku miesiącach dołączył do nich syn, który już w Polsce zdobył różne stopnie w Marynarce Wojennej. Zygmunt Mokrzecki dostał propozycję pracy ze Stanów Zjednoczonych, Bułgarii i Jugosławii. Do tej ostatniej wyjechał wraz z córką i jej mężem Wacławem de Schoene. Pracował w koledżu w Belgradzie, później w Mariborze. W 1921 r. mieszkał w Sofii, gdzie piastował stanowisko inspektora przy Ministerstwie Rolnictwa Bułgarii. Tutaj badał szkodniki róży olejnej, ryżu, tytoniu, rodzynek, opublikował siedem prac naukowych.

Przebywając na emigracji, pragnął dostać się do Polski, podejmując trudne próby poszukiwania miejsca pracy. Dlatego nawiązał kontakt ze znanym pomologiem doktorem Ludwikiem Garbowskim. Wśród trudności był też brak „odpowiednich środków finansowych”, umożliwiających Mokrzeckiemu wyjazd po kraju.

W Polsce

1 stycznia 1922 r. udało się wrócić do Polski. Stało się to możliwe dzięki staraniom rektora Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie i jego kontaktom ze służbami dyplomatycznymi Polski. Okres życia w kraju to dla uczonego czas pracy na rzecz rozwoju nauki polskiej, skupienia nad tworzeniem nowych metod walki z niebezpiecznymi dla gospodarki owadami, zaangażowania w pracę dydaktyczną na kilku uczelniach, przygotowania licznych publikacji. Polski entomolog Janusz Czyżewski z wielkim szacunkiem napisał o Zygmuncie Mokrzeckim: „W Polsce, w okresie międzywojennym wokół niemal legendarnej postaci Zygmunta Mokrzeckiego skryształizowały się kierunki badań entomologicznych oraz zasady



Wizyta prof. L.O. Howarda w Skierniewicach, 1927. Źródło: zbiory Biblioteki Muzeum i Instytutu Zoologii PAN, Repozytorium Cyfrowe Instytutów Naukowych, <https://rcin.org.pl/miiz/dlibra/publication/88627/edition/73706/content>

organizacji ochrony roślin uprawnych. Jego wielki autorytet, zdobyty wszechstronną i twórczą działalnością na obczyźnie, pozwolił Mu po powrocie do kraju skupić i zjednoczyć we wspólnym wysiłku polskich specjalistów”.

Od 1 kwietnia 1922 r. został mianowany na stanowisko profesora zwyczajnego ochrony lasu i owadoznawstwa leśnego w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Objął też kierownictwo zlokalizowanego w Skierniewicach Instytutu Entomologii i Ochrony Lasów. Wykładał entomologię na Uniwersytecie

Warszawskim. Uczestniczył w organizowaniu akcji ratowania polskich lasów od szkodników, na przykład zajmował się zwalczaniem korników w Tatrach i w Puszczy Białowieskiej. Zainicjował stosowanie oprysków lasów prowadzonych przy użyciu samolotów. Dzięki niemu Polska została jednym z pierwszych krajów, gdzie wprowadzono tę nowatorską metodę odznaczającą się bardzo wysoką skutecznością. Wprowadził również stosowanie świec dymnych z arsenem do zwalczania pasożytów drzew owocowych i lasów.



Zygmunt Mokrzecki, zdjęcie zbiorowe, 1928. Źródło: zbiory Biblioteki Muzeum i Instytutu Zoologii PAN, Repozytorium Cyfrowe Instytutów Naukowych, <https://rcin.org.pl/miiz/dlibra/publication/88630/edition/73883>

W różne lata Mokrzecki był zaangażowany w prace doradcze przy instytucjach rządowych oraz przemysłowych. W latach 1923–1929 był doradcą do spraw badań i zwalczania szkodliwych owadów przy Departamencie Leśnictwa w Ministerstwie Rolnictwa i Dóbr Państwowych. Na zaproszenie dyrekcji Polskiego Monopolu Tytoniowego pracował na „czasowym stanowisku rzeczoznawcy do zbadania i zwalczania szkodników i chorób plantacji i surowców tytoniowych”.

Pracował też w dziedzinie ochrony roślin uprawnych. Wraz z fitopatologiem Ludwikiem Garbowskim inicjował pierwszy Zjazd Entomologów i Fitopatologów (1923). Na nim został założony Komitet Ochrony Roślin. W 1925 r. przy udziale obu uczonych powołano Sekcję Ochrony Roślin przy Związku Rolniczych Zakładów Doświadczalnych Polski.

Zygmunt Mokrzecki został twórcą Polskiego Towarzystwa Entomologicznego (1922), a w 1923 r. we Lwowie został wybrany na pierwszego jego prezesa (do końca życia piastował stanowisko prezesa honorowego). W tymże roku zorganizował pierwszy zjazd entomologów i fitopatologów, na którym został wybrany komitet ochrony roślin na czele z nim. Był też uczestnikiem szeregu międzynarodowych forów naukowych. Na przykład w lipcu 1932 r. w Paryżu przebywał na V Międzynarodowym Kongresie Entomologicznym z okazji 100-lecia Francuskiego Towarzystwa Entomologicznego.

Był też członkiem szeregu polskich naukowych instytucji, m.in.: członkiem honorowym Towarzystwa Przyjaciół Nauki w Wilnie i Wileńskiego Towarzystwa Pomologicznego, prezesem honorowym i czynnym sekcji fitoentomologicznej Polskiego Związku Zakładów Rolno-Doświadczalnych, członkiem Polskiego Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika, Związku Leśników Polski, wiceprezesem Polskiego Towarzystwa Anatomiczno-Zoologicznego, członkiem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Był też członkiem honorowym Amerykańskiego Towarzystwa Entomologów Praktykujących, członkiem Bułgarskiego Towarzystwa Entomologicznego i Towarzystwa Entomologicznego, członkiem korespondentem Instytutu Leśnictwa w Leningradzie oraz Czechosłowackiej Akademii Rolnictwa.

Osiągnięcia naukowe

Spuścizna uczonego obejmuje w znacznej mierze opisy wielu owadów szkodliwych w rolnictwie, ogrodnictwie i leśnictwie oraz wnikliwe obserwacje nad ich pojawami w południowych regionach Rosji, głównie na Krymie, oraz w Bułgarii i Polsce. Jest autorem 300 naukowych i popularnonaukowych prac, a także niewielkich książeczek z konkretnymi opisami i radami, które zostały opublikowane po polsku, rosyjsku, bułgarsku, niemiecku, francusku, angielsku i włosku. Przeważająca liczba prac ukazała się w Symferopolu. Jego artykuły i wzmianki chętnie publikowały periodyki rosyjskie, a później polskie i zagraniczne: „Pismo Entomologii Stosowanej”, „Rosyjski Przegląd Entomologiczny”, „Czasopismo Leśne”, „Owocarstwo”, „Zeitschrift fur Wissenschaftliche Insektenbiologie”, „Zeitschrift fur Pflanzenkrankheiten”, „Allgemeine Zeitschrift fur Entomologie” oraz inne.

Obok propagowania nowoczesnych metod ochrony roślin uprawnych przed chorobami i szkodnikami, Mokrzecki zwrócił uwagę na znaczenie naturalnych wrogów (drapieżców i pasożytów) owadów szkodliwych oraz na rolę biocenozy, szczególnie w ochronie dzewostanów leśnych. Napisał pionierskie w skali światowej doniesienia o nowych metodach leczenia i odżywiania drzew (1903), wewnętrznej terapii roślin (1904), leczeniu chlorozy (1904). Poza licznymi nowatorskimi metodami ochrony roślin wynalazł metodę pozakorzeniowego odżywiania roślin, a także opracował nowy kierunek nauki w dziedzinie fitopatologii wewnętrznej terapii roślin.



Zygmunt Mokrzecki, 1936. Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe, <https://www.szukajwarchiwach.gov.pl/jednostka/-/jednostka/5985353/obiekt/330132>

10 grudnia 1927 r. w Warszawie odbyły się uroczystości z okazji 35-lecia pracy naukowej Zygmunta Mokrzeckiego. Był on uznany za „jednego z współtwórców nowoczesnej entomologii stosowanej”. Często, jak odnotował Janusz Czyżewski, uczonego wypowiedział swój pogląd na temat jedności kierunków entomologii: „Nie ma entomologii teoretycznej i stosowanej. Jest tylko jedna nauka o owadach – entomologia, jako jedna z gałęzi nauk zoologicznych, której wyniki badań albo stanowią nowe osiągnięcia wiedzy podstawowej, albo też bezpośrednio mogą być wykorzystane przez praktykę rolniczą i leśną, ewentualnie medycynę i weterynarię”.

Jakim człowiekiem był Zygmunt Mokrzecki, można dowiedzieć się z jubileuszowego artykułu o nim, opublikowanego na łamach czasopisma „Las Polski” (nr 12, 1927): „Na szczególne podkreślenie zasługuje stosunek prof. Mokrzeckiego do młodzieży i kolegów. Miał zawsze, jak to mówią, „szczęście do ludzi”. Gromadził ich wokół siebie i swych zakładów pod hasłem pracy naukowej; kochali go więc szczerze i dziś, w dniu jubileuszu, niejeden liść wawrzynowy, oni właśnie, ci dawniejsi „młodzi” wpięli do laurowego wienca swego nauczyciela, przyjaciela i towarzysza. Zawsze życzliwy i bezinteresowny, pozostał nasz jubilat do dziś taki sam. Rozważając pracę i zasługi prof. Mokrzeckiego, cisną się pod pióro jednak słowa żalu, że człowiek takiej miary i energii, człowiek pełny, mający prawo, powiedzieć o sobie «nihil humanum mihi alienum esse puto» tak długo pozostawać musiał poza krajem, że zaledwie piąta część jego twórczego, dotychczasowego życia oddana być mogła na chwałę i pożytek rodaków” (pisownia zachowana – aut.).

III. Очеркъ дачъ, Изюмскаго лѣсничества, Харьковской губ., въ связи съ дѣятельностію въ нихъ соснового шелкопряда ¹⁾.

Въ составъ Изюмскаго лѣсничества входятъ шесть лѣсныхъ дачъ Изюмскаго уѣзда общою лѣсною площадью до 5,526 дес. Изъ нихъ одна дача (Тихій Байракъ 17 дес.) и 2 урочища (Кругленькое 7 дес. и Пристѣпъ 293 дес. лѣсн. поч.) состоятъ изъ листовнаго лѣса и имѣютъ мало значеніе, какъ въ лѣсохозяйственномъ, такъ и экономическомъ отношеніяхъ; а потому послѣднихъ касаться не буду и перейду къ описанію пяти дачъ съ сосновымъ лѣсомъ. Всѣ онѣ (такъ-же какъ и листовныя дачи) составляютъ отрѣзки отъ крестьянскихъ лѣсныхъ дачъ, съ которыми до выдачи владѣнныхъ записей составляли одно цѣлое; съ выдачею-же владѣнныхъ записей, какъ излишекъ отъ лѣснаго надѣла, перешли въ единственное владѣніе казны. Во всѣхъ 5-ти казенныхъ дачахъ, такъ-же, какъ и въ сосѣднихъ съ ними крестьянскихъ много общаго. Положеніе дачъ ровное; мѣстами слегка холмистое, почва глубокая песчаная съ тонкимъ слоемъ навоза ($\frac{1}{2}$ —

¹⁾ Настоящія замѣтки переданы ассистентомъ Лѣснаго Института И. Я. Шевыревымъ, какъ доставленный, по его просьбѣ, матеріалъ о появленіи *Gastrophysa* риві. Fed.

Pierwsza publikacja naukowa Zygmunta Mokrzeckiego: Мокрецкий С., *Очерк дач, Изюмскаго лесничества, Харьковской губернии, в связи с деятельностью в них соснового шелкопряда*. *Зрѣдло: Лесной Журнал*, 1892, вып. 4, с. 401-418.

W 1935 r. przeszedł na emeryturę. Była mu przyznana w 1931 r., gdy stosownie do wieku miał zakończyć służbę zawodową, ale przedłużano kilkakrotnie jego zatrudnienie na katedrze. Zygmunt Mokrzecki zmarł 3 marca 1936 r. i został pochowany na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

Zygmunt Mokrzecki, wybitny uczony europejskiej skali, przeszedł trudną drogę życiową, ale zawsze była z nim miłość do nauki, która stała się sensem jego egzystencji. Był świetnym uczonym, który wszystkie wyniki badań teoretycznych skutecznie stosował w praktycznej działalności. Do jego osiągnięć należą nowe metody leczenia i opryskiwania drzew, zwłaszcza z aeroplanów, zbadanie roli biocenozy w ochronie plantacji leśnych. Dwuletni pobyt w Charkowie pozwolił mu zorientować się w kwestii dalszej działalności zawodowej i naukowej, opublikować pierwszy artykuł naukowy, zebrać pierwszą kolekcję i postawić pierwsze kroki w karierze zawodowej. Imię uczonego jest na zawsze wpisane na listę zasłużonych dla nauki polskiej, jak również światowej entomologii, a jego pionierskie metody zwalczania szkodliwych owadów są nadal aktualne.

Prof. dr hab. Lubow Żwanko – kierowniczka Centrum Muzealnego w Państwowym Uniwersytecie Biotechnologicznym w Charkowie; specjalizuje się m.in. w badaniach uchoźdźstwa I wojny światowej, historii Polonii Charkowa i Polaków na Ukrainie Wschodniej, historii medycyny i medycyny weterynaryjnej.

Prof. dr hab. Dmytro Kibkało – profesor Katedry Chorób Wewnętrznych i Diagnostyki Klinicznej Zwierząt w Państwowym Uniwersytecie Biotechnologicznym w Charkowie; specjalizuje się m.in. w badaniach chorób wewnętrznych zwierząt, biochemii klinicznej weterynaryjnej, historii medycyny i medycyny weterynaryjnej.

Konsultacja językowa: dr Marcin Lutomiński

Autorzy składają podziękowania Pani Helenie Ozdarskiej z Archiwum Centralnego Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie za udostępnienie skanów „Teki Akt Osobowych, 2722, Mokrzecki Zygmunt” oraz Panu dr. hab. Markowi Bunalskiemu, prof. UPP, z Katedry Entomologii i Ochrony Środowiska Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu, a także Polskiemu Towarzystwu Entomologicznemu za przekazane materiały, które pozwoliły ułożyć niniejsze opracowanie.



Non est necesse vivere – necesse est philosophari

Adam Schaff najwyraźniej wyznawał zasadę: „przyjaciół trzymaj blisko, a wrogów jeszcze bliżej”, stąd jego decyzja, by Dąbmską zatrudnić w PAN-ie. Gdy pojawiła się w Instytucie Filozofii i Socjologii wezwał ją do siebie, by wyznaczyć wzajemne relacje. Dąbmska podziękowała za uwagi, po czym wróciła do domu i napisała memoriał w sprawie uniwersytetów polskich.

Według bohaterki niniejszego tekstu pierwszeństwo nad biologiczną egzystencją miało filozofowanie. Mimo represji i cenzury uparcie zajmowała się filozofią. Żyła w przekonaniu, że: „wolność nauki od nacisków ideologicznych i administracyjnych jest wolnością do właściwej sobie funkcji poszukiwania i przekazywania prawdy” (por. *Gdy myślę o słowie „wolność”*, przedruk w monografii źródłowej *Izydora Dąbmska (1904-1983). Mądrość i prawda*, oprac. Radosław Kuliniak, Mariusz Pandura i Łukasz Ratajczak, Kęty 2023). Była wierną kontynuatorką myśli Kazimierza Twardowskiego.

Izydora Helena Maria Dąbmska przyszła na świat 3 stycznia 1904 roku w Rudnej Wielkiej pod Rzeszowem. Była czwartą córką Stanisława Dąbmskiego z Lubrańca herbu Godziemba i Antoniny z Zalewskich. Ojciec przyszłej filozofki był właścicielem ziemskim, doktorem praw wykształconym na UJ i posłem do galicyjskiego Sejmu Krajowego. Matka Izydory miała artystyczną duszę. Przed ślubem malowała i rzeźbiła. Później opłacała sztukę fotografii, by dokumentować życie rodziny. Małżonkowi pomagała w pisaniu artykułów, apelacji i przemówień. W domu panowała atmosfera wzajemnego szacunku i troski. Dla małej Izydory ojciec był wzorem mądrości i wszelkich cnót. Miała 3 siostry.

Córki początkowo uczyły się w domu, a w szkołach stawały się tylko na egzaminy kontrolne. Pierwszy z nich Izydora zdała w wieku 8 lat w Szkole Ludowej czteroklasowej żeńskiej im. św. Marii Magdaleny w okręgu szkolnym Lwów-Miasto. Kolejne w Wyższym Zakładzie Wychowawczo-Naukowym Żeńskim, prowadzonym przez Marię Frenklównę we Lwowie. W latach 1914-1916 rodzina Dąbmskich przebywała w Białej koło Bielska, gdzie Izydora kontynuowała edukację gimnazjalną. W 1917 roku rodzina wróciła do Rudnej Wielkiej. W tym samym roku dziewczyna zdała bardzo dobrze maturę w Prywatnym Gimnazjum Realnym Sióstr Urszulanek. Jako kierunek studiów wybrała polonistykę i filozofię na UJK. We Lwowie uczyła się już jej starsza siostra Aleksandra.

Początkowo Izydora skupiała się na filologii klasycznej i studiowaniu języka staro-cerkiewno-słowiańskiego, jednocześnie

uczęszczając na wstępne kursy filozoficzne. Już na pierwszym roku chodziła na zajęcia do prof. Kazimierza Twardowskiego (1866-1938), który później został jej mentorem i mistrzem. Podczas studiów uczęszczała także na zajęcia profesorów: Stanisława Witkowskiego (1866-1950), Ryszarda Gansińca (1888-1958), Tadeusza Lehra-Spławińskiego (1891-1965), Juliusza Kleinera (1886-1957), Mściława Wartenberga (1868-1938) i Romana Ingardena (1893-1970). Wydaje się, że z czasem zaczęła ją interesować coraz bardziej filozofia, a studia językowe zostały na drugim planie, choć dostarczyły jej koniecznego warsztatu. W roku akademickim 1924/25 podczas zajęć o Leibnizu, które prowadził prof. Twardowski, studentka Izydora Dąbmska wyróżniła się jako zdolna tłumaczka i przenikliwa filozofka. Rok później profesor zaproponował jej asystenturę na swoim Seminarium Filozoficznym. Tam zaczęła pracować nad rozprawą o sądach hipotetycznych.

Jako asystentka prof. Twardowskiego zajmowała się biblioteką seminaryjną. Jej zadaniem było porządkowanie i katalogowanie księgozbioru oraz nadzór nad nim. Z tego obowiązku wywiązywała się wzorowo. Pod koniec 1926 roku przygotowała rozprawę doktorską na temat interpretacji sądów Edmonda Goblot (francuskiego filozofa żyjącego w latach 1858-1935). Łatwo przeszła przez rygorozę (egzaminy). Uroczysta promocja doktora Izydory Dąbmskiej miała miejsce 26 lutego 1927 roku. Praca została wyróżniona i skierowana do publikacji w Towarzystwie Naukowym we Lwowie.

Nauczycielka i doktorka bez szans na awans

Od swoich podwładnych prof. Twardowski wymagał jednoznacznej pracy w gimnazjach i liceach. Dlatego młoda filozofka musiała uzupełnić swoją edukację o kursy nauczycielskie i zdać państwowy egzamin nauczycielski. Konieczne było też odbycie praktyk nauczycielskich. Od maja 1929 roku pełniła funkcję starszego asystenta prof. Twardowskiego. W listopadzie 1930 roku wyjechała na stypendium naukowe do Wiednia, gdzie szukała kontaktów z Kołem Wiedeńskim. Poznała tam m.in. Mauricego Schlicka (1882-1936). Pokłosiem był artykuł poświęcony

temu środowisku. Na wiosnę 1931 roku wyruszyła do Berlina, by zapoznać się z dorobkiem Hansa Reichenbacha (1891-1953). Zauważyła znaczące różnice w podejściu do teorii nauki. Koło Wiedeńskie rekonstruowało naukę w sposób formalny i logiczny, a Berlińskie postrzegało naukę poprzez jej dyscyplinę, zwłaszcza psychologię i socjologię. Reichenbach zajmował się też logiką w kontekście mechaniki kwantowej. Ostatnim przystankiem w tej pierwszej podróży naukowej był Paryż. Tam podziwiała zbiory Biblioteki Polskiej. Poznała Eugeniusza Minkowskiego (1885-1972), lekarza, psychiatrę, filozofa i współtwórcę podejścia fenomenologicznego w psychiatrii.

W roku szkolnym 1931/1932 podjęła pracę w IX Gimnazjum im. Jana Kochanowskiego we Lwowie. Uczyła tam języka polskiego i propeudyki filozofii. Poza tym, współpracowała z Ingardelem i Kazimierzem Ajdukiewiczem (1890-1963). Wraz z Heleną Słoniewską (1897-1982), koleżanką ze studiów, bezinteresownie opiekowały się chorym Twardowskim. Wspierała także działalność „Ruchu Filozoficznego”. Podczas pracy w gimnazjum odnowiła kontakt z prof. Gasińcem i pomagała mu w redakcji periodyków z zakresu filologii klasycznej.

W kolejnym roku szkolnym dr Dąmbska zaczęła nauczać także w Seminarium Nauczycielskim im. Zofii Strzałkowskiej oraz w Państwowym Żeńskim Gimnazjum im. Królowej Jadwigi. W tej placówce filozofka zbudowała rodzaj seminarium filozoficznego, na którego spotkania przychodzili także profesorowie z UJK.

Iza – bo tak do niej mówili przyjaciele – marzyła o habilitacji. Jednak w tamtych czasach w zaborze austriackim nie było formalnie takiej możliwości. Ustawa dopuszczała, żeby kobiety studiowały i uzyskiwały nawet doktoraty, ale kwestia prowadzenia przez nie wykładów była nadal kontrowersyjna. Przed wojną jedynie Karolinie Lanckorońskiej (1898-2002) udało się uzyskać *veniam legendi*, o czym pisałam w FA nr 7/8 z 2023 roku. Mistrz Dąmbskiej – Kazimierz Twardowski – miał dosyć konserwatywne poglądy w tym zakresie. Dopuszczał zatrudnianie kobiet na stanowisku asystentek, natomiast nigdy oficjalnie nie wsparł żadnej kobiety w kontynuowaniu kariery naukowej. Wyjątkiem była ponoć Dąmbska, ale wsparcie Twardowskiego było kularowe, bardziej nieformalne. Poza tym wkrótce przeszedł na emeryturę i jego zdanie nie było decydujące. Jednakże doradzał jej powiększanie dorobku naukowego, co konsekwentnie robiła.



Izydora Dąmbska Źródło: <http://www.archiwum.wfis.uw.edu.pl>

W latach 30. powstały rozprawy *Zarys historii filozofii greckiej* i *O irracjonalizmie*. Tę drugą napisała z myślą o habilitacji. Teksty Dąmbskiej ukazywały się w periodykach fachowych: „Przeglądzie Filozoficznym”, „Ruchu Filozoficznym”, czy „Kwartalniku Filozoficznym”. Czytało je całe środowisko i tak najprościej można było do niego dotrzeć. W Lwowie wychodziły „Studia Philosophica”, gdzie dr Dąmbska pracowała w dziale sprawozdań. Uczęszczała też nadal na Seminarium Filozoficzne, kierowane w tym czasie przez Romana Ingardena. Ponieważ świetnie znała łacinę i grekę, była niezastąpioną pomocą przy pracy nad dziełami Arystotelesa. W 1936 roku filozofka uczestniczyła w Międzynarodowym Kongresie Nauki w Kopenhadze. Tam poznała Tadeusza Kotarbińskiego (1886-1981), z którym zaprzyjaźniła się na resztę życia. Rok później zmarła matka filozofki Antonina Dąmbska. Profesor Twardowski odszedł (albo jak wolą pisać filozofowie: „przekroczył Styks”) w 1938 roku, a sprawa habilitacji Dąmbskiej zesłała na boczny tor. Profesor Tadeusz Ajdukiewicz był niechętny. Jedyne wsparcie dla projektu habilitacji Dąmbskiej konsekwentnie okazywał Ingarden. Do listy strat końca lat 30. należy doliczyć zgon profesora Mściława Wartenberga i Edmunda Husserla (1859-1938).



Archiwistka, bibliotekarka, psycholożka, pielęgniarka i konspiratorka

Bezpośrednio przed wojną filozofka była zaangażowana w promowanie i porządkowanie spuścizny po prof. Twardowskim. Oprócz pracy w gimnazjach, podjęła także zatrudnienie w Bibliotece Uniwersyteckiej i Ossolineum. Porządkowanie archiwów i zbiorów bibliotecznych przynosiło jej podwójną satysfakcję. Filozofka lubiła poszukiwania biblioteczne i zapoznawanie się z ciągle nowymi autorami i koncepcjami. Było to dla niej inspiracją i przygodą. W tym czasie przetłumaczyła na francuski pracę Władysława Witwickiego (1878-1948) pt. *Wiara oświeconych*. Z tym filozofem łączyła ją także wieloletnia przyjaźń i ożywiona korespondencja. W latach 1937-1940 pracowała w charakterze psychologa w Instytucie Psychotechnicznym i Poradni Zawodowej Patronatu Nad Młodzieżą Rękodzielniczą i Przemysłową we Lwowie. Od maja 1939 roku uczęszczała na Kurs Obrony Przeciwlotniczo-Gazowej we Lwowie. Uczyla się strzelania, służby wywiadowczej i pierwszej pomocy. Zabezpieczała i ukrywała zbiory lwowskiego Polskiego Towarzystwa Filozoficznego.

Wybuch wojny zastał Izydorę Dąmbską we Lwowie. W okresie walk pracowała jako wolontariuszka w Szpitalu Wojennym nr 601 zlokalizowanym w Gimnazjum im. Królowej Jadwigi. W okresie pierwszej okupacji radzieckiej przez krótki czas uczyła w jednym z gimnazjów, ale szybko okazało się, że na język polski, a tym bardziej na filozofię, nie będzie tam miejsca. Na uniwersytet zarządzany przez Ukraińców nie zgłaszała. Pracowała natomiast w Bibliotece Ossolineum. Po zajęciu miasta przez Niemców i zamknięciu uniwersytetu zaangażowała się w tajne nauczanie. Pełniła funkcję kierowniczą oraz prowadziła zajęcia z języka polskiego, propedeutyki filozofii i języka łacińskiego. Dąmbska przyczyniła się do ocalenia wielu zbiorów i archiwaliów lwowskich. Niestety po zakończeniu wojny, nowe polskie władze nie były zbyt aktywne w procesie rewindykacji tych zasobów. Podczas wojny w marcu 1941 roku odszedł ojciec filozofki Stanisław Dąmbski. Ponieważ Rudna Wielka i Lwów znajdowały się ówczesnie w innych strefach okupacyjnych, Dąmbska nie mogła wziąć udziału w ceremonii pogrzebowej. Po jego śmierci napisała traktat *O bezimienności*. Jest to interesujący tekst rozpatrujący różne konsekwencje rezygnacji z własnego imienia i nazwiska. W latach 1944/45 powstał z kolei tryptyk poświęcony zagadnieniu śmierci. Był wyraźnie inspirowany doświadczeniami wojennymi.

Repatriantka, matka zastępcza, profesorka i dysydentka

Na początku 1945 roku stawało się coraz bardziej jasne, że we Lwowie Polacy nie mają czego szukać. Siostry Dąmbskie, Aleksandra i Izydora, zdecydowały się wyjechać. Wsiadły w Rzeszowie, gdzie spotkały się ze swoją trzecią siostrą Zofią. Najstarsza z nich, Maria, zmarła w grudniu 1944 roku. Od Zofii, która odziedziczyła majątek po rodzicach, dowiedziały się, że Rudna Wielka przepadła. Z rodzinnego domu pozwolono Zofii wziąć tylko kilka przedmiotów. Aleksandra rozpoczęła poszukiwania potomstwa zmarłej siostry Marii. Odnalazła je w Mielcu. Zabrała stamtąd najmłodsze z dzieci – Józefa. Izydora natomiast udała się do Krakowa, by odszukać swoich przedwojennych współpracowników. Byli tam już Ingarden i Tatarkiewicz.

Siostry Dąmbskie zdecydowały się wyjechać do Gdańska. Oprócz siostrzeńca Józia, miały także pod opieką Feliksa Sawickiego (1928-1979), chłopca żydowskiego pochodzenia, którego rodzina zginęła w Bełżcu. Izydora podjęła pracę w Bibliotece Miejskiej. Trzeba było uporządkować tam ponad 300 tys. różnych zbiorów. Razem z Heleną Sołtysikową, Janem Tęšiorowskim i Janiną Ślęczką tworzyli zespół o nazwie „Hades”, pracujący przy rewizji magazynów bibliotecznych. Dąmbska nie tylko porządkowała zbiory, ale tworzyła też katalogi systematyczne. Oczywiście, szczególną uwagę zwracała na zachowany dorobek filozoficzny. Jednocześnie współpracowała z Ingardenem nad wznowieniem periodyku „Studia Philosophica”.

Koniec wojny umożliwił filozofce wznowienie starań o veniam legendi. Opiekunem habilitacji został Kotarbiński. Recenzentami byli Tatarkiewicz i Witwicki. Najbardziej prawdopodobna data wykładu habilitacyjnego to 11 maja 1946 roku. Uniwersytet Warszawski zaaprobował wniosek o przyznanie prawa do prowadzenia wykładów dla dr Dąmbskiej, jednak sprawa utknęła w ministerstwie. Dokumenty z Warszawy przysły dopiero po interwencjach w kolejnym roku. Izydora bardzo cieszyła się z faktu, że znów będzie mogła uczyć filozofii, nawet jeśli będzie się to wiązać z dojazdami z Gdańska. Ostatecznie jednak w 1949 roku została docentem prywatnym na Uniwersytecie Poznańskim. Stało się to praktycznie bez zgody filozofki z inicjatywy prof. Ajdukiewicza, który nie wiadomo do końca, czym się kierował.

Dąmbska potrafiła znaleźć w tym dobre strony. Wykładała w Warszawie, w Toruniu i Poznaniu. Jednocześnie pisała. W drugiej połowie lat 40 ukazały się następujące teksty: *Echa platońskie w środowisku uniwersyteckim w Polsce w epoce Rene-*

sansu; *Czterdzieści lat filozofii we Lwowie, 1898-1938; Mity platońskie; W sprawie tzw. nazw pustych; Z filozofii imion własnych.*

W 1948 roku po raz pierwszy Dąbska poważnie zachorowała. Konieczna była operacja i rehabilitacja. Wyszła jednak z tego i kontynuowała swoje liczne zajęcia. Jeszcze z czasów lwowskich, była znana ze swojej zasadniczości. Uważała, że nigdy nie można odstępować od raz przyjętych zasad. Czymś nieakceptowalnym było dla niej bratanie filozofii z polityką i ideologią. Nigdy nie wypowiedziała się na temat obecności krzyży w instytucjach publicznych. Nie angażowała się w spory polsko-ukraińskie czy polsko-żydowskie. Odmówiła wzięcia udziału w I Kongresie Nauki Polskiej. Po nagonce na Tatar-kiewiczza, kierowanej przez Leszka Kołakowskiego (1927-2009) i innych ówczesnych marksistów, także Dąbską odsunięto od dydaktyki. Podzieliła los wspomnianego Tatar-kiewiczza, Ossowskich, Czeżowskiego i Ingardena. Kotarbiński i Ajdukiewicz zostali przesunięci do nauczania logiki. Filozofia miała pełnić jedynie rolę usługową względem marksizmu. Studia filozoficzne w zasadzie przestały istnieć.

W „Myśli Filozoficznej” pojawiała się seria artykułów krytykująca tzw. burżuazyjną szkołę lwowską. Najbardziej bolesnym był dla Dąbskiej tekst Henryka Hollanda (1920-1961) na temat Kazimierza Twardowskiego. Filozofka wyraziła protest, rozsyłając swój list do wszystkich żyjących uczniów profesora. Pisała w nim o zachowaniu pamięci o Twardowskim i potrzebie wolności filozofii polskiej. Tym samym wystąpiła otwarcie przeciwko głównemu teoretykowi marksizmu w Polsce Adamowi Schaffowi (1913-2006) i grupie młodych marksistów, co nie zostało jej zapomniane.

Profesorka bez katedry

Ponieważ Pani Izie nie wolno było wykładać, pracowała nadal w Bibliotece Miejskiej w Gdańsku. Udzielała się też w „Bibliotece Klasyków Filozofii”, gdzie „zesłano” tych, którzy uczyli niewłaściwych treści. Dąbska tłumaczyła tam pracę Leibniza *Nowe rozważania dotyczące rozumu ludzkiego* (1956) oraz *Zasady filozofii* Kartezjusza (1960). W 1955 roku, ku własnemu zdziwieniu, otrzymała tytuł profesora nadzwyczajnego. Była to jednak nominacja bez przydziału. Dopiero w 1957 roku, wraz z powrotem filozofii na uczelnie, pojawiła się szansa prowadzenia dydaktyki. Ostatecznie Dąbska trafiła do Krakowa, z czego bardzo się cieszyła. Była wdzięczna Ingardenowi, Kotarbińskiemu i ówczesnemu dziekanowi Henrykowi Baryczowi (1901-1994) za wsparcie.

Dostała Katedrę Historii Filozofii. Wraz z nią pracowali tam: dr Daniela Gromska (1889-1973), adiunkt Janina Suchorzewska-Kiersnowska (1886-1967) oraz starszy asystent mgr Władysław Stróżewski (ur. 1933). Sporządziła bibliografię pol-

skiej filozofii międzynarodowej. Pomagała prowadzić „Ruch Filozoficzny”. Jesienią 1959 roku udało jej się wyjechać po raz pierwszy od zakończenia wojny. Uczestniczyła w XII Międzynarodowym Kongresie Filozoficznym, który odbywał się w Wenecji i w Padwie. Spędziła także kilka miesięcy w Bibliotece Polskiej w Paryżu, gdzie prowadziła kwerendy i odnowiła przedwojenne kontakty. Mimo różnych trudności, odchodzenia przyjaciół, Dąbska publikowała nadal. Warto wspomnieć o: *Le concept de modèle et son rôle dans les sciences; Sur quelques idées communes à Bergson i Pointcaré et Eddington. Sur le concept de la compréhension.*

W 1960 roku znów zachorowała, ale nie mogła sobie pozwolić na rekonwalescencję. Nadeszła kolejna fala ideologizacji filozofii. Projekt nowego programu nauczania był omawiany na Radzie Wydziału Filozoficzno-Historycznego UJ. Dąbska nie mogła zabrać głosu, bo była zbyt osłabiona, ale napisała pismo protestacyjne do Komisji Programowej. W 1962 roku przyszło jej za swoją niesubordynację zapłacić. Atmosfera na uczelni była ciężka. Organizacja partyjna postanowiła zaatakować prof. Dąbską. Miało to doprowadzić do jej przeniesienia do PAN. Dyrektor Departamentu Szkół Wyższych Zbigniew Rybicki zażądał od Dąbskiej opuszczenia stanowiska pracy na UJ. Schaff najchętniej wysłałby ją na emeryturę (do niej zostało jej jeszcze 11 lat) lub na ponowną banicję do Gdańska. W 1964 roku odeszła z uczelni. Napisała list pożegnalny, ale ten się rzekomo dziekanowi zagubił. Było w nim napisane, co następuje: „Pan Minister usuwa mnie z Uniwersytetu z powodu, że uważam filozofię, jak każdą rzetelną naukę, za wytwór niezależnego i bezinteresownego dążenia umysłu ludzkiego do prawdy i że nie mogę się zgodzić z tym, by należało ją uprawiać na gruncie jakiegokolwiek nakazanej z góry ideologii, a misję wychowawczą Uniwersytetu widzę w tym, by przysposabiać młodzież do niezależnych badań naukowych, nie zaś w tym, by ją urabiał w duchu tej czy innej ideologii politycznej. To, że z tych powodów ustąpić muszę z filozoficznej katedry i Uniwersytet Jagielloński opuścić, jest dla mnie rzeczą nad wyraz ciężką. W niczym jednak nie zachwiałem to mego przeświadczenia o moralnej słuszności zajmowanego przeze mnie stanowiska, którego nadal, tak samo jak dotąd, będę bronić, gdziekolwiek mi jeszcze działać wypadnie” (List I.D. do Rady Wydziału Filozoficzno-Historycznego UJ z czerwca 1964 r., za: *Izydora Dąbska (1904-1983). Mądrość i prawda*, Kęty 2023).

Zakładniczka w „gnieździe marksistów”

Adam Schaff najwyraźniej wyznawał zasadę: „przyjaciół trzymaj blisko, a wrogów jeszcze bliżej”, stąd jego decyzja, by Dąbską zatrudnić w PAN-ie. Gdy pojawiła się w Instytucie Filozofii i Socjologii wezwał ją do siebie, by wyznaczyć wzajemne relacje.



Dąbmska miała siedzieć cicho na zebraniach. Nie mogła prowadzić zajęć dla studentów, a jedynie niewielkie seminarium pod jego osobistą kontrolą. Miała ograniczać się do prac bibliograficznych, a pozostałe teksty dawać do wglądu. Dąbmska podziękowała za uwagi, po czym wróciła do domu i napisała memoriał w sprawie uniwersytetów polskich.

W 1965 roku ponownie ciężko zachorowała i przeszła operację serca. Do wiosny musiała przebywać w ośrodku rehabilitacyjnym w Rabce. Pod koniec roku Czeżowski, Kotarbiński i Ingarden podjęli starania o „uzwyczańnienie” profesor Dąbmskiej. Wniosek w tej sprawie przedstawiono 10 maja 1967 roku na Radzie IFiS PAN. Nikt nie oponował. Po czym teczka ze sprawą Dąbmskiej trafiła do szafy panczernej Schaffa na 7 lat. Do sprawy powrócono dopiero tuż przed przejściem filozofki na emeryturę w 1974 roku.

Dąbmska starała się szukać dobrych stron w przeciwnościach losu. Formalnie zatrudniona w PAN, realnie większość czasu spędzała w ukochanym Krakowie, gdzie zaczęła prowadzić seminarium jako *privatissima* w własnym domu. Na wydarzenia marcowe patrzyła jak Arystoteles na los Aleksandra Macedońskiego. Starała się w tych nawróconych marksistach widzieć ludzi i starać się nie oceniać charakterów. Nie przyłączyła się do moczarowskiej nagonki ani nie czuła specjalnej satysfakcji. Pamiętała atak na szkołę lwowską i cenę, jaką ona i jej koledzy musieli zapłacić. Zastanawiała się, czy Bronisław Baczko (1924-2016), Kołakowski i inni współpracownicy Schaffa, będą się w stanie przyznać do błędów. Wybrali ostatecznie inną wolność – w postaci lepszego życia na Zachodzie. Stał się łatwiej było się przyznać do błędów młodości, a w okresie „Solidarności” wrócić z wzniosłymi hasłami na ustach. Filozofka dostrzegała tę dwoistość, ale jej nie komentowała.

Choć filozofia Dąbmskiej objęta była cenzurą PRL (nie wolno było o niej mówić w prasie, TV, większych zgromadzeniach itp.), Pani Profesor cały czas pisała. W latach 60. powstały najważniejsze prace z teorii poznania: *Dwa studia z teorii naukowego poznania* (1962) i *O narzędziach i przedmiotach poznania* (1967). W 1972 roku, po ponad 30 latach oczekiwania, ukazały się *Dwa studia o Platonie* (temat badawczy, który dzieliła z prof. Witwickim). Potem wyszła rozprawa *O konwencjach i konwencjonalizmie* (1975). W 1984 roku wydano *Wprowadzenie do starożytnej semiotyki greckiej*. Był to wybór starożytnych tekstów ze wstępem Dąbmskiej. Regularnie i licznie pojawiały się teksty filozofki na łamach czasopism polskich i zagranicznych, zwłaszcza francuskich, czego przykłady przytaczałam. Jak widać, mimo ograniczeń, cenzury, kontroli i funkcjonowania na „bocznym torze”, Pani Iza uparcie realizowała swoją filozoficzną misję.

Publikacje przyniosły jej uznanie w kraju i poza nim. Jako pierwsza kobieta w historii stała się członkinią Institut International de Philosophie. Mimo restrykcji otrzymywała nagrody i stypendia, o czym później. Była członkinią towarzystw naukowych. Zaangażowano ją do prestiżowego wydawnictwa *Archive International d'Historie des Idées*.

Koncesjonowana podróżniczka

W odczuciu Dąbmskiej zmiany po 1968 roku były powierzchowne. Wymienili się funkcjonariusze, a ideologia została. Filozofkę bolało, że nie mogła wyjeżdżać za granicę. Przynajmniej to udało się zmienić z pomocą Tatarkiewicza. Była obecna na kilka konferencjach w Paryżu, Amsterdamie i Heidelbergu, gdzie wzorowo reprezentowała ojczyznę. „Zawsze punktualna, z wielką cierpliwością słuchała wszystkich wykładów, gotowa do dyskusji, wykorzystywała te rzadkie szanse konfrontacji z wolną i aktualną myślą filozoficzną (Tamże). Spała w schro-

niskach, była oszczędna i niezwykle skromna. Dzięki temu stypendium na wyjazd można było podzielić na 2 lub 3 osoby.

W 1970 roku Roman Ingarden „przekroczył Styks”. Dąbmska już wcześniej była przewodniczącą Krakowskiego Polskiego Towarzystwa Filozoficznego. Po jego śmierci przejęła także opiekę nad Sekcją Estetyczną. W 1972 roku została członkinią Komisji Nauk Filozoficznych PAN w Krakowie, co było w pewnym sensie wyróżnieniem. W 1974 roku otrzymała amerykańskie stypendium, dzięki któremu mogła pojechać do Dubrownika, Aten i Paryża. Wiosną tego samego roku listonosz przyniósł jej zawiadomienie o przeniesieniu na stanowisko profesora zwyczajnego. Jednak już od miesięcy otrzymywała zawiadomienia o konieczności przejścia na emeryturę. Miała skończone 70 lat.

Niezlomna emerytka

W 1974 roku uczniowie i przyjaciele zorganizowali Dąbmskiej jubileusz. W swojej przemowie filozofka złożyła podziękowania wszystkim uczonym, których spotkała na swojej drodze. Pamiętała też o swoich uczniach. Po raz kolejny podkreślała, że wybór ścieżki filozoficznej wymaga „bezinteresownego umiłowania prawdy, rzetelności, myślenia, wierności i odwagi” (Tamże). W pewnym sensie ważniejsze jest, by filozofować, niż po prostu żyć. Mimo że polityczne czynniki zdecydowały, by po raz kolejny odesłać Dąbmską do lamusa, ona sama nie czekała na emeryturę z radością. Chciała nadal pracować. W 1975 roku z Londynu otrzymała Krzyż Armii Krajowej. Było to odznaczenie, które ceniła najbardziej.

W 1976 roku miała miejsce ostatnia potyczka z Adamem Schaffem. Był dyrektorem IFiS PAN, jakby zapominając o wszystkich krzywdach, które wyrządził Dąbmskiej, zaprosił ją do badań nad... marksizmem. Nie mógł dostać innej odpowiedzi niż ta: „teoria nauki bowiem, jak każda nauka, winna być w moim przekonaniu uprawiana niezależnie, nie zaś służebnie w stosunku do z góry określonej ideologii. Zresztą Pan Profesor zna nie od dziś moje stanowisko” (Tamże).

Filozofka miała skomplikowany stosunek do wiary. Z jednej strony nie wierzyła, że istnieje życie wieczne po śmierci. Z drugiej strony nie wykluczała dogmatycznie tej opcji. Na pewno przygnębiało ją przemijanie, to, że w każdym „teraz” zawiera się unicestwienie życia. Była przekonana o potrzebie kształcenia etycznego już na poziomie szkoły średniej. Znała osobiście Karola Wojtyłę. Była recenzentką magisterium i habilitacji ks. Józefa Tischnera. W wyborze Polaka na papieża widziała znak czasu i nadzieję. Z ruchem społecznym „Solidarność” także sympatyzowała. Do swojej śmierci korespondowała z papieżem.

Pani Profesor napisała około 300 prac, w tym 11 książek, ponad 100 większych artykułów i rozpraw. Znana była także z kilkunastu przekładów dzieł Witwickiego, Leibniza, Kartezjusza, Teofrasta, Twardowskiego, Sekstusa Empiryka, Patakiewicza, Minkowskiego. Współpracując z Biblioteką Polską w Paryżu przygotowała ponad półtora tysiąca not bibliograficznych dotyczących polskich prac filozoficznych. Mimo kilkakrotnego zakazu nauczania, miała swoje grono uczniów. Należeli do nich: Władysław Cichoń, Zbigniew Herbert, Jerzy Perzanowski, Władysław Stróżewski, Adam Węgrzecki, Jan Vetulani, Jan Woleński, Leopold Zgoda, Zbigniew Zwinogrodzki.

Izydora Dąbmska przekroczyła Styks w trakcie drugiej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski, 18 czerwca 1983 roku. Pochowano ją w grobowcu rodzinnym w Rudnej Wielkiej. Choć jak sama mówiła, „nie miała daru pojmowania Chrystusa w wersji dogmatycznej Kościoła” (Tamże), niewątpliwie była osobą wierzącą. Wierzyła w prawdę, naukę i miłość do drugiego człowieka.

Biurokrasfera

Co jest środowiskiem naszego życia? Geograf odpowie, że „atmosfera” lub, bardziej precyzyjnie, „troposfera”, biolog może odpowiedzieć, że „biosfera”, antropolog, że „antroposfera”. Niezależnie jednak od specjalności polski naukowiec ma prawo odpowiedzieć, że podstawowym środowiskiem jego działalności jest biurokrasfera. To takie dziwne środowisko, w którym króluje biurokracja, i to w najrozmaitszych przejawach.

Codziennie mamy kontakt z najniższymi, nie najważniejszymi, lecz uciążliwymi warstwami biurokrasfery. Na załatwienie prostej sprawy musi pracownik „parający się nauką” niejednokrotnie czekać tygodniami, bo Pan/Pani w administracji, który/a tą sprawą się zajmuje, jest na urlopie. Wprawdzie w takiej sytuacji ktoś winien zastępować osobę urlopowaną, ale zwykle ta osoba jest na tyle niezorientowana, że radzi po prostu poczekać na powrót specjalisty z urlopu. Zmuszony jest wielokrotnie podawać te same informacje, które zostały już wprowadzone do odpowiednich systemów informatycznych, ale te systemy to oddzielne księstwa rządzone przez różnych władców i nie mogą sobie nic przekazać (lub nikomu nie chce się sięgać do ich zasobów). Informatyzacja miała ułatwić różne sprawy, ale często skutek jest taki, że ten sam formularz należy wypełnić w formie elektronicznej, a następnie wydrukować, podpisać i zanieść, gdzie trzeba. Recenzję trzeba wysłać w formie pisemnej, ale także zeskanować i wysłać na nośniku elektronicznym (niekiedy, ale nie zawsze, można przesłać elektronicznie). Trudno przecież wymagać, by w instytucji przyjmującej recenzję ktoś posłużył się skanerem i naszą recenzję zeskanował. Zamiast tego dużo prościej jest zażądać, by recenzent oświadczył, że treść recenzji uwiecznionej na nośniku jest identyczna z podpisanym wydrukiem. Kolejna kawa dużo lepiej wtedy smakuje.

Wiadomo, że przestrzeganie reguł jest w pracy, także naukowej, nieodzowne, że trzeba dotrzymywać terminów i zadaniem administracji jest przypominanie o zobowiązaniach pracowników nauki/nauczycieli akademickich i pomoc w ich egzekwowaniu, ale nie przetrzymywanie na nich części swoich obowiązków, na zasadzie zawodów w przeciąganiu liny. Administracja została przecież powołana dla obsługi, ale nie zarządzania pracownikami nauki.

Te uciążliwości codziennego życia naukowca, wynik przepychanki motywowanej imperatywem jak najmniejszego działania, to jednak jest to tylko najniższa warstwa biurokrasfery. Warstwą właściwą jest biurokratyczna wizja rzeczywistości: uporządkować wszystko, włożyć do regularnych tabelki, by nie było pustych pól i nic nie wystawało.

Urlop nauczyciela akademickiego jest (to moje osobiste zdanie) tak paradoksalnie długi, że osoby naprawdę zaangażowane w uprawianie nauki nie mają czasu go w pełni wykorzystać i rosną zaległe urlopy. Trzeba je wykorzystać, bo inaczej PIP nałoży karę na przełożonego. No ale wtedy nic nie wolno – np. podpisywać dokumentów (wiadomo przecież, że na urlopie obowiązuje ścisły zakaz działalności służbowej). Uczestniczyć w zebraniu będąc na urlopie? Chyba wolno, ale głosować na posiedzeniu rady już nie. Dobrze że podczas urlopu choć przelew wypłaty można odebrać, a policja myśli nie kontroluje czy przypadkiem pracownik nie rozważa tematów związane z pracą. Zgodę na zmianę terminu urlopu musi wyrazić rektor i choć wiadomo, że nie on to robi w praktyce (przykład przystosowania do życia w biurokrasferze), to w myśl biurokratycznych reguł powinien osobiście kontrolować terminy urlopów tysięcy pracowników uczelni i ich zmiany. Czyżby celem tego zapisu było ograniczenie jego możliwości zajmowania się sprawami bardziej ważkimi?

Komu przyznawać wyróżnienia, ordery czy medale? Najprościej zrobić tabelkę z rokiem otrzymania poprzedniego odznacze-

nia i pilnować, by wszyscy coś dostawali w regularnych odstępach czasu. Znam wiele miejsc, w których taka zasada funkcjonuje. Trochę to przeczy samej idei wyróżniania, ale duch biurokracji triumfuje i spokój w zespole jest zachowany (osoby dotknięte naukowym czy dydaktycznym ADHD mogą trochę narzekać, ale przecież powszechnie wiadomo, że one zawsze generują problemy). Zaryzykuję tezę, że w naszym szkolnictwie wyższym korelacja pomiędzy medalami i odznaczeniami a rzeczywistymi osiągnięciami wykraczającymi poza długość stażu pracy jest co najwyżej umiarkowana, a gdyby w jakiś sposób te osiągnięcia skwantyfikować i skorelować z liczbą i ważkością wyróżnień, wartość współczynnika korelacji nie osiągnęłaby istotności statystycznej.

Spójrzmy jednak na problem najważniejszy, górne warstwy biurokrasfery: biurokratyczną ocenę działalności naukowej. Wydawać by się mogło (i z pewnością wielu decydemtów się wydawało), że wprowadzenie ilościowej miary oceny aktywności naukowej opartej na punktowej ocenie „efektywności publikacyjnej” zależnej od rangi czasopism lub wydawnictw, w których te publikacje się ukazały, wytworzy parametr wymierny, eliminujący arbitralność oceny i w zasadzie uniwersalny. W zasadzie, bo skoro ranga czasopism mierzona wskaźnikami cytawalności jest różna w różnych dyscyplinach, stworzono system wyrównujący szanse różnych dyscyplin poprzez arbitralne przypisanie czasopismom „punktów ministerialnych”. Wadom tego systemu, unikatowego w skali światowej (oczywistym nawet przed świątobliwym gwałtem dokonany na nim przez ministra Czarnka), poświęcono zbyt wiele krytycznych esejów, by warto było powtarzać podnoszone w nich argumenty. Przerazającym owocem tego systemu stała się zmiana sposobu myślenia znacznej części, jeśli nie większości pracowników nauki, a zwłaszcza kierowników zespołów naukowych w naszym kraju: głównym problemem stało się takie publikowanie wyników, by uzyskać jak najwięcej punktów ministerialnych. A przecież, parafrazując słynne powiedzenie, nie o taką naukę walczyliśmy. Wyobrażałem sobie, że uprawianie nauki powinno wyglądać mniej więcej tak: szef zespołu olśniony świetnym, nowym pomysłem kieruje pracą zespołu zmierzającą do rozwiązania problemu badawczego, w miarę potrzeby nawiązując współpracę z innymi zespołami dysponującymi odpowiednią aparaturą i wiedzą ekspercką, zmierzając do przygotowania jak najlepszej publikacji w świetnych czasopiśmie, najbardziej cenionych w danej dyscyplinie czy interdyscyplinarnych. Odwiedzając różne ośrodki naukowe, kilkakrotnie widziałem widniejące w widocznym miejscu hasło: „Nasz cel to Cell” („Cell” – świetne czasopismo poświęcone biologii komórki, o wartości impact factor 42,5, CiteScore 74,8; a liczbie punktów ministerialnych jedynie 200, tak jak wiele innych, dużo gorszych czasopism). Czy choć jedna publikacja w czasopiśmie takiej rangi nie powinna być oceniana jako dużo ważniejsze osiągnięcie niż uciulanie nawet 1000 punktów ministerialnych miernymi publikacjami?

No tak, słyszałem często, ale system punktowy wymusza przynajmniej aktywność publikacyjną, a przez to badawczą, wszystkich pracowników, pod groźbą otrzymania negatywnej oceny okresowej, co w inny sposób jest trudno osiągalne. Hmm... czy chodzi o jakąkolwiek działalność, byle dostarczała punktów ministerialnych? I czy dopiero ocena okresowa, a nawet trzy kolejne są potrzebne, by stwierdzić, że czyjaś działalność naukowa jest niewystarczająca? Szef zespołu wie to doskonale dużo wcześniej. No ale obowiązujące, przyjazne pracownikowi prawo pracy nie pozwala na natychmiastowe podziękowanie pracownikowi za współpracę ze względu na niską efektywność jego wysiłków. Prawa pracy nie zmienimy tak łatwo, a można się też zastanawiać, czy warto to robić pochopnie. Czy jednak nie ma

możliwości zwiększenia efektywności pracy naukowej w istniejących ramach prawnych? Pewnym rozwiązaniem mogłoby być przesuwanie pracowników nauki z zespołów mniej aktywnych do bardziej aktywnych naukowo, w których realizowane projekty stwarzałyby szanse większej aktywności naukowej i wręcz ją wymuszały. Takie rozwiązanie, stosowane w niektórych instytutach PAN, wydaje się nierealne w uczelniach, z ich sztywną strukturą katedr i zakładów, do których pracownicy są przypisani jak chłop pańszczyźniany do ziemi. System feudalny jednak w końcu załamał się, czego jedną z przyczyn była jego niska konkurencyjność. Analogiczny proces można w nauce przeprowadzić w sposób dużo szybszy i bardziej racjonalny.

Wracając do wierzchołka naukowej biurokrasfery, warto przypomnieć tekst prof. L. Kaczmarka z marcowego numeru „Forum Akademickiego” o systemie ewaluacji placówek naukowych w Portugalii. Nie nawołuję do wiernego kopiowania jakiegokolwiek wzorca, ale ewaluacja, w moim przekonaniu, winna obejmować wiele aspektów działalności placówki, w tym najważniejsze osiągnięcia, wagę tematyki badawczej, strukturę placówki i perspektywę jej rozwoju, a także rady i sugestie dotyczące dalszej działalności. Bo przecież powinno w ewaluacji chodzić nie tylko (a może nawet nie tyle) o to, kto jest lepszy, a kto gorszy, lecz by wszędzie podwyższał się poziom badań naukowych.

Pracownicy uczelni rozliczani są nie tylko z pracy badawczej, lecz także dydaktycznej. Trudno przecenić rolę Państwowej, a następnie

Polskiej Komisji Akredytacyjnej w dbałości o jakość dydaktyki w uczelniach wyższych. Czy jednak i ta działalność nie wkroczyła w obszar biurokrasfery? Większość działań Komisji sprowadza się do papierologii, zgodności opasłych sprawozdań w wymogami. Oczywiście, to jest konieczne, by nie dochodziło do jawnych patologii nauczania, ale czy wystarczające? Czy test kompetencji (zdolności wykonania praktycznego zadania, np. szczegółowego zaplanowania procedury sklonowania konkretnego genu czy syntezy inhibitora proteazy określonego wirusa w biochemii czy biotechnologii, przy nieograniczonym dostępie do internetu, ale w czasie na tyle ograniczonym, by wymagał solidnej znajomości podstaw niezbędnej wiedzy) nie byłby lepszym sprawdzianem poziomu nauczania niż zgodność sylabusów z odpowiednimi kryteriami?

Nasza działalność, w zamierzeniu mająca mieścić się w sferze normalnego, sensownego działania opartego na priorytetach merytorycznych (którą można określić mianem normosfery), ciągle styka się z biurokrasferą, w której priorytety ustępują pokusie łatwiejszego, lecz nie zawsze merytorycznie słusznego przewartościowania. Biurokrasfera – tak jak strefa dla palących na lotnisku – jest potrzebna, ale nie powinna niepotrzebnie rozszerzać się kosztem normosfery. Jej rola wobec normosfery powinna pozostać służebna i musimy zachowywać ciągłą czujność, by te role nie uległy odwróceniu.

Grzegorz Bartosz, Uniwersytet Rzeszowski



rys. Sławomir Makiel

Skąd nasz ród?



Książka została podzielona na 28 mini rozdziałów, w których autor dokonuje krótkiej dokumentacji początków państwa polskiego na przykładzie wybranych zagadnień. Nie jest to publikacja o charakterze monograficznym, lecz niewątpliwie stanowi asumpt do pogłębienia wiedzy w temacie polskiej państwowości za czasów Piastów. Urbańczyk weryfikuje pewne mity założycielskie (obecne w historii wszystkich narodów) i proponuje nowe spojrzenie na niektóre wydarzenia. Jednocześnie, jak każdy solidny naukowiec, opiera się na dostępnych źródłach.

Dla innych naukowców specjalizujących się w odkrywaniu i opisywaniu wydarzeń, które legły u fundamentów szeroko pojmowanej polskości, wiedza zawarta w książce może nie być niczym nowym, ale „przeciętny” czytelnik znajdzie w niej wiele interesujących informacji.

Urbańczyk stwierdza, że nasza wiedza o prapoczątkach Polski to głównie wynik historycznych badań milenijnych z lat 50-60 XX wieku, których wyniki zostały ugruntowane w powszechnej świadomości, nawet pomimo braku materiałów źródłowych (a czasem nawet wbrew nim). Istotną rolę w owych badaniach odgrywał walor propagandowy oraz próba udowodnienia tezy o odwiecznym i prapolskim charakterze naszych ziem. Uczony nie potępia jednak efektów tych ustaleń, świadomy ich wagi, ale wskazuje na brak krytycyzmu towarzyszący ówczesnym działaniom. Właściwie każdy rozdział stanowi próbę nowego spojrzenia, odkłamania lub uściślenia dotychczasowych ustaleń. Dowiemy się zatem, że istnienie plemion Polan, Wiślan czy Opolan nie znajduje potwierdzenia w źródłach. Legendę o naszym pochodzeniu od Sarmatów chyba już dawno włożyliśmy między bajki. Nawet dynastia piastowska okazuje się być wymysłem Galla zwanego Anonimem, jej genealogia została stworzona na zamówienie Bolesława III Krzywoustego. To może chociaż sam fakt istnienia Słowian nie podlega dyskusji? Tutaj wkraczamy na teren rozważań terminologicznych, bowiem dawne ludy nazwaliśmy Słowianami my, współcześni, ale na pewno tak o sobie nie myśleli ludzie tamtych czasów. Być może towarzyszyła im świadomość plemienna, ale nie narodowa. Zresztą proces „stawiania się” narodów był nie tylko efektem rozwoju ewolucyjnego i działań politycznych, ale niebagatelny wpływ miały nań również warunki klimatyczne. Nawet ranga Gniezna okazuje się mniej doniosła i brakuje go wśród najwcześniejszych grodów tamtych czasów, a przewodnią rolę powinien odgrywać Poznań. Również stwierdzenie, że Mieszko I przyjął chrzest w 966 r. jest jedynie przyjętym założeniem, bo ani nie możemy być pewni imienia pierwszego władcy, ani tym bardziej daty rocznej, chociaż Sejm RP ustalił 22 lutego 2019, że odbyło się to w Wielką Sobotę 14 kwietnia 966 r. Być może proces chrystianizacji rozpoczął się wcześniej, ale przez pierwsze dekady przebiegał opornie (brak dowodów materialnych) i dopiero za rządów Bolesława Chrobrego nabrał dynamizmu. Badacz porusza także kwestię wierzeń naszych przodków, ale zaznacza, że wiedza na ten temat jest szczątkowa, a źródła bardzo skąpe. Ciekawie wypada także rozdział o słowiańskich „zankach”, czyli grodach, których pierwotna funkcja była nie tyle militarna, co służyła umacnianiu władzy politycznej i konsolidacji ludności na danym obszarze.

Każdy naród aspiruje do wielkości, często utraconej, a nieraz wymaganowej, wszak propaganda historyczna, jak widać, ma się dobrze bez względu na ustrój i odległość w czasie. Urbańczyk przypomina, że i dzisiaj nie brakuje fantastów zwanych turbosłowianami, zwolenników Wielkiej Lechii, którzy swe mocarstwowe ciągoty opierają na wątych podstawach historycznych. W *Korzeniach Polski* nie tyle burzy więc pewne wyobrażenia, co raczej doprecyzowuje prawdę historyczną i apeluje o zachowanie naukowego profesjonalizmu.

Jacek Hnidiuk

Przemysław URBAŃCZYK, *Korzenie Polski*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2024.

Ludzie w drodze



W czerwcu 2021 roku na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego odbyła się konferencja „Nomadyczność. Podmioty – przestrzenie – pojęcia”. W 2024 roku Wydawnictwo UJ opublikowało tom pod tym samym tytułem, zredagowany przez Jakuba Kornhausera oraz Zofię Małysę-Janczy. Poza tym, że książka stanowi pokłosie wspomnianej konferencji, otwiera ona też serię Heterotopie. Będą się w niej ukazywać pozycje, w których kategoria nomadyczności ma odgrywać centralną rolę. Na Hetero-

topie składać się mają przede wszystkim monografie, a także opracowania tekstów źródłowych. Oprócz samego pojęcia nomadyczności, kolejną ważną inspiracją jest dla wydawców serii koncepcja „innych przestrzeni” Michela Foucalta, która zostaje zreinterpretowana „na korzyść doświadczania różnych form bycia w świecie”. Pomysłodawcy Heterotopii oświadczają, iż Foucaultowska idea „przyswieca nam, gdy chcemy zaproponować czytelnikom podróz w nieznanne – jesteśmy przekonani, że tylko tam czeka prawdziwa lekturowa przyjemność”. Już w tym miejscu można wyrazić oczekiwanie na kontynuację tego przedsięwzięcia wydawniczego.

Redaktorzy omawianego tomu poprzedzili go dziesięciostrońnicowym wstępem. Przywołują w nim głośny reportaż niemieckiego pisarza, dziennikarza i podróżnika Wolfganga Büschera. Chodzi tu o wydaną w 2011 r. książkę *Hartland. Pieszko przez Amerykę*. To, co Büscher pisze o wędrowaniu i wędrowcu, zdaniem Kornhausera i Małysy-Janczy bardzo dobrze pasuje do kluczowej w recenzowanej publikacji kategorii. Czytamy: „Nomadyczność, co za tym idzie, wiązały się ze specyficznym pojmowanym stanem alienacji – wyosobnieniem spośród norm społecznych (podmiot nomadyczny byłby kimś, kto, w sposób świadomy lub nie, wkłada kij w tryby mechanizmów relacji międzyludzkich, łamie tabu i porywa się z motyką na słońce), ale także z praktyk funkcjonowania w przestrzeni (przestrzeń staje się w tej optyce zdecentralizowana, pozbawiona standardowych punktów odniesienia i wszelkich elementów znaczących). Deformacji ulegają również pojęcia przydatne w codziennym funkcjonowaniu; ruch, który stanowi nieodłączną część tego, co nomadyczne, sprawia, że cała rzeczywistość ulega ciągłym przeobrażeniom”.

Powyższe refleksje idealnie oddają sens właściwie wszystkich prac zawartych w publikacji. Jeśli nie liczyć wstępu, to na książkę składa się czternaście lub piętnaście artykułów. Skąd ta wątpliwość, co do liczby tekstów? Po prostu, nie do końca wiadomo, jak traktować *Mikrowyprawy* Jakuba Kornhausera. Choć dzieli się one na dwie części: *Nieustannie w drodze* i *Nieustannie w ruchu*, a na dodatek umieszczone w dość sporej odległości od siebie, to jednak wydaje się, że można z powodzeniem czytać je jako całość.

Trudno wyróżniać bądź ganić poszczególne artykuły składające się na *Nomadyczność*. Mamy tu dość duże zróżnicowanie tematyczne i właściwie każdy tekst wydaje się na swój sposób interesujący i warty uważnej lektury. Poziom prac jest wyrównany, choć są tu teksty zarówno badaczy uznanych, jak i początkujących. Spory rozrzut problematyki sprawia, że wszyscy czytelnicy powinni znaleźć dla siebie coś zajmującego. Pewien obraz tomu może dać wymienienie nazwisk i tematów analizowanych przez autorów publikacji. Należałoby tu przywołać: Thomasa Bernharda, Agnieszkę Pająckowską, literaturę triesteńską, Martina Kukućina, poezję Nowej Fali, Krzysztofa Siwcyzka, Michała Książka, Herberta G. Wellsa, Alhierda Bacharewicza, Jacques’a Joueta i Michela Houellebecqa. Widać zatem, że w świetle koncepcji nomadyczności są tu rozpatrywane bardzo różnorodne zjawiska. Nie tylko literackie. Miłośnikom gier komputerowych można polecić lekturę artykułu poświęconego *Pokémon Go*.

Tomasz Klusek

Nomadyczność. Podmioty – przestrzenie – pojęcia, red. Jakub KORNSHAUSER, Zofia MAŁYSA-JANCZY, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków, 2024, seria: Heterotopie.

Nieoczywisty „sarmatyzm”



Współcześni twórcy, badacze, dydaktycy, publicyści, marketingowcy, studenci, uczniowie i inni użytkownicy języka polskiego mniej lub bardziej świadomie posługują się określeniami: Sarmaci, Sarmata (rzadziej: Sarmatka), sarmacka/-i/-ie, sarmackość, sarmatyzm. Na podstawie ich wypowiedzi można mieć nieraz wątpliwości w kwestii zasadności stosowania tych słów. „Sarmatyzm” i inne podobne określenia to coraz częściej sygnały, swoiste etykiety czy klisze – rozjaśniające lub zaciemniające obraz rzeczywistości.

Tymczasem literaturoznawca dr Maciej Nawrocki na 400 stronach swojej monografii wyjaśnia, skąd wywodzi się to pojęcie, jak było i jest rozumiane. Porządek rozważań jest chronologiczny, co pozwala czytelnikowi śledzić przemiany i powroty w myśleniu o „sarmatyzmie”, a jednocześnie daje możliwość zapoznawania się z książką we fragmentach, które mimo powiązań ze sobą stanowią odrębne całości.

Autor zwraca uwagę m.in. na zaskakujący fakt: „Trudno w historii odnaleźć konkretny moment, w którym zaczęto posługiwać się słowem «sarmatyzm». Na pierwszym etapie funkcjonowania nie zostało ono w żaden sposób oficjalnie wprowadzone do publicznego obiegu ani w ogóle zdefiniowane, w przeciwieństwie do wielu ówczesnych pojęć dyskursu politycznego czy – mówiąc szerzej – publicznego”. Początkowo „sarmatyzm” był wiązany głównie z poglądami przeciwników reform wprowadzanych przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, ze staropolskim ubiorem, z nieufnością wobec obcych wzorów kulturowych, z antyintelektualizmem, antychrześcijaństwem (sic!), z kulturowym zapóźnieniem czy z ustrojem feudalnym. W XVIII wieku „sarmatyzm” był neologizmem, jednym z pierwszym słów charakteryzujących część polskiej rzeczywistości. Z czasem pojęcie to rozumiano raczej lub tylko jako rodzimość, swojskość, niekiedy grubiańskość, rubasznosc, ciemnotę, a innym razem jako kostium historyczny czy synonim kultury staropolskiej, anachroniczną obyczajowość opartą na patriarchalizmie, polską starożytność, dawną polskość czy – najszerszej – polskość. Później z kolei zaczęto utożsamiać „sarmatyzm” z kategorią estetyczną, ściślej: właściwością sztuki polskiej XVII i XVIII wieku; czasem wprost utożsamiano to pojęcie z „polskim barokiem szlacheckim”. „Sarmatyzm” bywał przeciwstawiany „kosmopolityzmowi”, „semityzmowi” albo ogólnie „nowoczesności”.

Słowo „sarmatyzm” funkcjonuje w polszczyźnie przez ponad 250 lat, ale wciąż jest redefiniowane i dookreślane, a nawet poszerza swoje pole semantyczne. Jak konkluduje badacz: „Obecnie możemy mówić o pewnej dyskursywnej polifonii, w ramach której przenikają się rozmaite głosy na temat «sarmatyzmu»: krytyki i apologie, stanowiska publicystyczne i akademickie, odczytania lewicowe i prawicowe, perspektywy emocjonalne i obiektywizujące”.

Autor monografii bardzo skrupulatnie odnotowuje i komentuje wieloznaczność pojęcia w rozmaitych tekstach źródłowych: utworach literackich, publicystyce, słownikach, artykułach i syntezach dotyczących literatury i kultury polskiej. Szerokie i pogłębione badania Macieja Nawrockiego dowodzą, że w zasadzie można mówić nie tyle o „sarmatyzmie”, co o „sarmatyzmach”.

Książka jest erudycyjną i pasjonującą monografią nie tylko o rozumieniu „sarmatyzmu”, lecz także o rozumieniu ważnej części polskiej tożsamości. Niezależnie od ocen szlachty polskiej i „sarmatyzmu” (sarmackości) warto zapoznać się z klarownie przedstawionymi wynikami badań znawcy tej problematyki. Śmiało można polecić lekturę tej pracy wszystkim zainteresowanym polską kulturą, zarówno tą dawną, jak i najnowszą (w tym również widzom serialu *1670*).

Marcin Lutomiński

Maciej NAWROCKI, *„Sarmatyzm”. Historia pojęcia*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2025, seria: Monografie FNP.

Prawda leży tam, gdzie leży



Istnieje taki mechanizm psychologiczny, że kiedy ludzie starają się przekonać wzajemnie do swoich racji, radykalizują się. Podział między nimi staje się coraz głębszy. Znamy to ze świata polityki, z mediów. Według części socjologów całe polskie społeczeństwo jest podzielone na pół. Jedni są za tradycją, inni za postępowaniem. Jedni chcą świeckiego państwa, inni „bronią” Kościoła. Jedni liberalni, drudzy solidarni

itd., itd. Tymczasem w gruncie rzeczy większość ludzi jest, jakby to ujął Leszek Kołakowski, „konserwatywno-liberalnymi socjalistami” czy inaczej mówiąc: mają poglądy bardziej zniuansowane, są bardziej refleksyjni niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Postawę taką można za Arystotelesem nazwać „mądrością złotego środka”. Tak też czyni Sławomir Jarmuż w swojej książce.

Książka składa się z 23 esejów, każdy poświęcony jest innemu zagadnieniu, w każdym przypadku autor szuka złotego środka. Rozprawia się ze stereotypami, mitami, popularnymi przekonaniem, pokazując ich złożoność i nieoczywistość. Odwołuje się do licznych badań, głównie psychologicznych, ale jego rozważania mają charakter filozoficzny. I tak np. w rozdziale *Dawać czy brać – między altruizmem a egoizmem* poznajemy mechanizmy psychologiczne skłaniające do pomagania innym, ale również efekt utopionych kosztów, kiedy inwestujemy w coś, chociaż już nie warto; poznajemy też to zjawisko z perspektywy teorii gier. Ostatecznie „złoty środek w przypadku dawania i brania – pisze autor – nie polega na banalnym stwierdzeniu, że jedno i drugie jest potrzebne z zachowaniem odpowiedniej proporcji, która powinna być przesunięta w stronę dawania. Tego rodzaju konkluzja jest bardzo ogólna, mało użyteczna i poznawczo nieciekawa. Złoty środek to raczej wskazanie, w jakich warunkach dawanie daje większe pożytki poszczególnym ludziom i całym społecznościom, a w jakich powinno ustąpić braniu lub podejściu opartym na wzajemności. Ważna jest także perspektywa czasowa, a więc odpowiedź na pytanie o skutki dawania i brania w czasie. Mądre działanie powinno więc uwzględniać nie tylko etyczne kierunkowskazy, lecz także wiedzę o prawidłowościach związanych z dawaniem i braniem”.

Złoty środek można osiągnąć tworząc nowatorską syntezę różnych stanowisk, które same w sobie są niedoskonałe. I tak np. złotym środkiem między tchórzostwem a zuchwałością jest odwaga. Dbałość o zdrowie jest z kolei mądrym rozwiązaniem między unikaniem badań a hipochondrią. Zaangażowanie jest rozsądną postawą między lenistwem a nadaktywnością. A hojność wydaje się złotym środkiem między skąpstwem a rozrzutnością.

Kolejne rozdziały książki przekonują m.in., że pogląd, iż ludzie dzielą się na optymistów i pesymistów nie jest tak mądry jak ten, że każdy z nas ma tendencję do obu tych postaw. Że kiedy mowa o naturze ludzkiej, najczęściej chodzi o naturę człowieka Zachodu, gdyż większość badań, na które się powołujemy, prowadzono w tym właśnie kręgu kulturowym. Dowiemy się również, że poczucie szczęścia jest w psychologii właśnie tylko subiektywnym odczuciem.

Między wierszami znajdziemy tu też konkretne rady czy strategie. Poznamy np. metodę tzw. paradoksalnego planowania, która polega na tym, że wypisuje się zarówno rzeczy, które zamierzamy zrobić, jak i te, których nie będziemy robić. Taki zabieg może być przydatny w zwalczaniu prokrastynacji, czyli tendencji do odkładania zadań na później.

Największym walorem książki jest pokazywanie sposobów mądrego myślenia, „wypośrodkowanego”, z zastrzeżeniem, że „złoty środek” nie musi leżeć pośrodku.

Anna Jawor

Sławomir JARMUŻ, *Mądrość złotego środka*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2025.

Między faktem a fikcją



Książka prof. Beaty Stuchlik-Surowiak składa się z piętnastu tekstów, bibliografii oraz indeksu osobowego. Wnikliwe opracowanie porusza kwestię ponadczasową – brutalność ludzką, która nie jest zjawiskiem charakterystycznym wyłącznie dla czasów współczesnych.

Autorka przytacza opinię Zbigniewa Kuchowicz, jakoby ówczesne zamiłowanie do tyranii spowodowane było m.in. wiarą w dobroczynny wpływ kar cielesnych. Co więcej, system społeczny zapewniał nieograniczoną władzę nad poddanymi, co skutkowało podejmowaniem sadystycznych praktyk bez większych konsekwencji. Niemniej jednak staropolskie zbrodnie nie wynikały wyłącznie z potrzeby zaspokojenia wewnętrznych „zachcianek”. Często motywem popełnianych morderstw były kwestie polityczne lub finansowe. W narracji nie brakuje także przestępstw uwarunkowanych nastrojami społecznymi oraz relacjami międzyludzkimi.

Badaczka podejmuje refleksje na temat granicy pomiędzy faktem, historią a literaturą. Zestawia zapiski kronikarskie i pamiętnikarskie, akta sądowe, publikacje naukowe, teksty kultury i legendy, dzięki czemu opracowanie przybiera formę dzieła interdyscyplinarnego. Niemniej praca skłania się w stronę literaturoznawstwa, co skutkuje pominięciem szczegółów prawnych.

Stuchlik-Surowiak stanęła przed trudnym wyzwaniem badawczym. Relacje pomiędzy wspomnianymi źródłami są zazwyczaj skomplikowane, ponieważ niejednokrotnie ujawniają niespójności. Dodatkowo należy wziąć pod uwagę takie aspekty, jak brak obiektywizmu ze strony kronikarzy (np. sympatie i antypatie Jana Długosza) lub konsekwencje dystansu czasowego dzielącego przestępstwo od jego udokumentowania.

Analiza zróżnicowanych źródeł unaocznia możliwy kształt określonej zbrodni. Badaczka nie narzuca jednak najbardziej prawdopodobnej wersji wydarzeń, lecz porównuje wszelkie relacje i motywy. Zróżnicowany jest także dobór sprawców zbrodni; m.in. opisane są historie magnatów i szlachty, raubritterów, duchownych oraz osób świeckich. Nie pominięto także kwestii kobiecej – w interesujący sposób łamany jest stereotyp uległej, pobożnej żony. Przestępstwa popełnione przez kobiety cechują się wielostronnościami motywami: od chęci osiągnięcia korzyści materialnej, po zemstę na przemocowym małżonku.

Zaletą opracowania są szczegóły opisywanych zbrodni. Niektóre cytaty służą dokładnej retrospekcji przestępstw. Jednak zjawisko nie dominuje całego tekstu, przytaczane są także fragmenty powieści, wierszy, pieśni czy wpisów internetowych. Badaczka nawiązuje też do dramatów teatralnych, filmów czy obrazów. Dzięki temu zarysowują się różne interpretacje i hipotezy rozpowszechniane na przestrzeni wieków.

Dodatkowo opracowanie przybliży różne aspekty obyczajowości staropolskiej, np. obrazuje hierarchię społeczną (w tym sytuację chłopstwa i kobiet) oraz codzienne przyzwyczajenia ówczesnego społeczeństwa. Wśród narodu uchodzącego za bogobojny szerzyła się demoralizacja, a kultura śmierci przybrała także wymiar rozrywkowy: chodzono oglądać publiczne egzekucje, jakby były przedstawieniami teatralnymi.

Publikacja ma oryginalną wartość poznawczą. Grupą docelową mogą być historycy, poloniści, prawnicy, ale i czytelnicy spoza kręgu akademickiego. Książka łamie stereotyp cnotliwego społeczeństwa i unaocznia, że staropolska obyczajowość miała wpływ na kulturę następnych epok aż do współczesnych mediów. Autorka podkreśla, że badania nie wyczerpują tematu oraz zachęca do analizy kronik i pamiętników.

Weronika Zuzanna Jabłońska

Beata STUHLIK-SUROWIAK, *Szkieł o zbrodni w kulturze staropolskiej (XV-XVII wiek). Między faktem, historią a literaturą.* Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2025.

Sztuka dominikanów, ciąg dalszy...



Czytelnicy otrzymali kolejny zbiór tekstów poświęconych sztuce związanej z ważnym ośrodkiem, jakim był klasztor Ojców Kaznodziej w Krakowie. Z wielu powodów był on znaczący dla sztuki nie tylko krakowskiej. Przyczyną tego znaczenia jest przede wszystkim fakt, że mamy do czynienia z klasztorem, który działał bez przerwy przez ponad 800 lat. I chociaż samą świątynię kilkakrotnie dotknęły pożary, które niemal w całości zniszczyły jej wystrój, to paradoksalnie przyczyniły się one do dalszego rozwoju sztuki. Daje to ogromne

możliwości badania twórczości od średniowiecza aż po czasy współczesne. Oczywiście trudno jest szczegółowo omówić zbiór ponad trzydziestu tekstów o bardzo zróżnicowanej tematyce, jednakże należy podkreślić fakt, że są one bardzo wartościowym składnikiem wiedzy na temat sztuki klasztornej w Polsce.

Znaczącą część książki stanowią artykuły prezentujące architekturę kościoła św. Trójcy w Krakowie, jej rozwój oraz przemiany w stylistyce. Warto zwrócić uwagę, że teksty te dają czytelnikowi wiedzę nie tylko na temat historii architektury, dzięki nim poznajemy także historię społeczną Polski czy historię liturgii (warto zwrócić uwagę na wpływ reform potrydenckich na sztukę krakowskich dominikanów).

Istotnym elementem publikacji jest także fakt, że część artykułów skłania do namysłu nad metodologią oraz rozwojem dyscypliny. Przykładem mogą być artykuły poświęcone rzekomemu warsztatowi dominikańskiemu w XVII wieku czy też nagrobkowi Barbary Orlikówny. Rozwój wiedzy, badania archiwalne oraz technologiczne pozwalają na rewizję wcześniejszych ustaleń, ich potwierdzenie lub falsyfikację. Jednocześnie teksty zawarte w omawianej książce stawiają postulaty badawcze, których realizacja pozwoli na dalszy rozwój naszej wiedzy na temat sztuki sakralnej w Polsce.

Należy także wskazać ważne grupy artykułów zawartych w *Sztuce w kręgu dominikanów...* Pierwszą stanowią teksty poświęcone ikonografii – malarstwu, ale także sztuce monumentalnej. Badacze często pomijają w swoich rozważaniach znaczenie paramentów liturgicznych w ikonografii, o ile nie są to najwyższej klasy arcydzieła. W omawianej książce takiej luki nie ma, co znacząco uzupełnia nasz stan wiedzy.

Kolejną grupą są omówienia zabytków kultury materialnej, rzemiosło artystyczne, przyrządy geograficzne czy – rzecz niebagatelna – zbiór „skarbów” zgromadzony przez ojca Studzińskiego w trakcie jego prac archeologiczno-konserwatorskich. Redaktorzy tomu wskazują na ogromne znaczenie dorobku zasłużonego dominikanina, nie tylko artefaktów ale także zdjęć i zapisków, postulując ich opracowanie, digitalizację i udostępnienie kolejnym badaczom.

Na koniec trzeba wskazać na omówienia (bardzo często w formie komunikatów) prac konserwatorskich. Dają one bezcenną wiedzę nie tylko na temat technologii ważnych zabytków (w kościele św. Trójcy znajduje się wszak płyta Kallimacha), ale także na temat rozwoju sztuki oraz faz przebudowy lub uzupełnień dominikańskiej świątyni.

Podsumowując, omawiany zbiór tekstów jest konsekwentnym rezultatem prac środowiska skupionego wokół historii sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Artykuły skupione wokół jednego ośrodka, jakim był klasztor dominikański w Krakowie, są odpowiedzią na szereg ważnych pytań związanych ze sztuką, i kulturą artystyczną, nie tylko kręgu dominikańskiego, ale całej Polski (i nie tylko). Warto także podkreślić, że książka ta nie jest banalnym cicer cum caule, lecz widać wyraźnie, że badania krakowskich uczonych są systematyczne i oparte nie tylko na współpracy badawczej, lecz także starannie przemyślanej metodzie badawczej.

Juliusz Gałkowski

Sztuka w kręgu krakowskich dominikanów. Nowe studia. pod red. Anny MARKIEWICZ, Marcina SZYMY i Marka WALCZAKA, Wydawnictwo Towarzystwa Naukowego „Societas Vistulana”, Kraków 2024.

Skrzydlate świnię

Film pod powyższym tytułem pokazuje dwie konkurencyjne grupy kibiców piłkarskich. Technicznie obie grupy robią to samo: noszą stroje z emblematami swojej drużyny, wywieszają transparenty, śpiewają i skandują na meczach, a nade wszystko obrażają zawodników i kibiców przeciwnej drużyny. Różnica polega na tym, że „ultrasi” robią to z przekonania, zaś „skrzydlate świnię” są opłacane przez właściciela klubu, któremu kibicują. Autorzy filmu stawiają pytanie, na ile można być prawdziwym kibicem za pieniądze. Ale pytanie to można zadać w znacznie szerszym kontekście, wykraczającym poza stadiony piłkarskie.

Bezinteresowne poszukiwanie prawdy (cytuję za rotą przysięgi doktorskiej) za pieniądze to typowy oksymoron. Korzystając z terminologii filmu, naukowców można podzielić na „ultrasów”, czyli bezinteresownych poszukiwaczy prawdy oraz „skrzydlate świnię”, które z uprawiania nauki (jak również z jego pozorowania) uczyły sobie wygodny sposób na życie. Kolejne reformy szkolnictwa wyższego prowadzą do stopniowego pogarszania sytuacji „ultrasów”. Skutkuje to zmianą nastawienia, w wyniku czego rozsądni „ultrasi” stają się „skrzydlatymi świniami” (co zresztą ma miejsce także w filmie).

Teoretycznie wielkich odkryć naukowych mogą dokonywać także cyniczni ciułacze ministerialnych punktów, jednak intuycyjnie przeczuwam, że większe szanse na takie odkrycia mają marginalizowani bezinteresowni poszukiwacze prawdy. Scena z filmu, w której dwie panie upokarzają szefa „ultrasów”, znakomicie oddaje sytuację bezinteresownych poszukiwaczy prawdy na naszych uczelniach.



Rys. Sławomir Makal



Rys. Sławomir Makal

Sukces naszego grafika

Znany grafik Sławomir Makal, nasz redakcyjny ilustrator, zdobył jedną z głównych nagród w Międzynarodowym Konkursie Rysunku Satyrycznego „Karpik”, organizowanym przez Ośrodek Kultury w Niemodlinie im. Agnieszki Osieckiej.

Celem konkursu jest ukazanie tradycji, cech i przywar narodowych w krzywym zwierciadle za pomocą unikatowego wyrazu artystycznego, jakim jest rysunek satyryczny. Tematem przewodnim i inspiracją dla rysowników z całego świata są ryby (szczególnie karp), wędkarze, połowy - widziane przez pryzmat różnych narodowości, kultur oraz technik artystycznych. W konkursie biorą udział wybitni artyści tego gatunku, zarówno krajowi, jak i zagraniczni. W ciągu dwudziestu lat udział wzięło w nim ponad półtora tysiąca rysowników z 70 krajów, nawet z tak odległych jak Birma, Iran, Nigeria, czy Indie, którzy nadesłali prawie cztery tysiące prac.

Unia Europejska wspiera strategiczną dla Polski infrastrukturę badawczą.

OPI PIB ogłasza nabór wniosków o dofinansowanie
w ścieżce dla projektów z Polskiej Mapy Infrastruktury Badawczej.

opi.org.pl/feng

Fundusze Europejskie

dla Nowoczesnej Gospodarki

Działanie 2.4 Badawcza Infrastruktura Nowoczesnej Gospodarki

Budżet konkursu wynosi 350 mln złotych.

Termin naboru: 15 grudnia 2025 r. – 31 marca 2026 r.

Wspieramy rozwój infrastruktury badawczej o kluczowym znaczeniu dla polskiej gospodarki, a także rozwój kompetencji kadry naukowej w obszarze wykorzystania tej infrastruktury, komercjalizacji, transferu technologii i zarządzania innowacjami.

Dostęp do nowoczesnych rozwiązań B+R ułatwi przedsiębiorstwom i jednostkom badawczym korzystanie z osiągnięć nauki oraz wprowadzanie innowacji.

Nabór prowadzi Ośrodek Przetwarzania Informacji – Państwowy Instytut Badawczy.



9.

Śląski Festiwal Nauki Katowice



6–8 grudnia 2025

Międzynarodowe Centrum Kongresowe



Eksperymentuj!

Największe zagęszczenie popularyzatorów nauki na m² już w grudniu w Katowicach!

Eksperymentuje każdy z nas. Od dzieciństwa sprawdzamy, testujemy, modelujemy, prognozujemy: czy to gorące? czy wytrzyma mój ciężar? co zrobi, jeśli to powiem? może to ich zachęci do przeczytania? spróbujemy jeszcze tego; itd. Eksperyment rzuca wyzwanie zarówno ignorancji, jak i najlepszej teorii naukowej. **Mówi im: sprawdzam!**



www.slaskifestiwalnauki.pl